

Magdalena Kubasiewicz



**Wiedźma  
Jego Królewskiej  
Mości**

Magdalena Kubasiewicz



**Wiedźma  
Jego Królewskiej  
Mości**

GENIUS  
CREATIONS

# SPIS TREŚCI

<a href="#"><u>COŚ WYJĄTKOWO PASKUDNEGO</u></a>	<a href="#"><u>7</u></a>
<a href="#"><u>GOŚCIE, GOŚCIE</u></a>	<a href="#"><u>23</u></a>
<a href="#"><u>DUSZE CZUWAJĄ</u></a>	<a href="#"><u>41</u></a>
<a href="#"><u>BIAŁA JAK ŚNIEG</u></a>	<a href="#"><u>62</u></a>
<a href="#"><u>CZERWONE JAK KREW</u></a>	<a href="#"><u>91</u></a>
<a href="#"><u>GŁUCHY TELEFON</u></a>	<a href="#"><u>112</u></a>
<a href="#"><u>GDY PUŁAPKA STAJE SIĘ MYSZĄ</u></a>	<a href="#"><u>149</u></a>
<a href="#"><u>„NIE JESTEM MARTWA”</u></a>	<a href="#"><u>177</u></a>
<a href="#"><u>CZARNE JAK HEBAN</u></a>	<a href="#"><u>196</u></a>
<a href="#"><u>NA IMIĘ MI SARA</u></a>	<a href="#"><u>211</u></a>
<a href="#"><u>BAJKA O CZARNOKSIĘŻNIKU</u></a>	<a href="#"><u>241</u></a>
<a href="#"><u>I DUCHY PORWAŁY JEGO DUSZĘ</u></a>	<a href="#"><u>267</u></a>

*Kasi Piekarz i Monice Słszak*  
*Za wszystkie rozegrane sesje i partie Munchkina*

*Adamie!*

*Źle zrozumiałeś moje intencje. Posłanie Cię na Warwel nie jest karą ani nawet formą nauuczki za Twój ostatni wybryk – o którym, prawdę mówiąc, dawno już zapomniałem. Posyłam Cię na zamek, ponieważ po ostatnich wydarzeniach potrzebuję w Krakowie kogoś zaufanego, kto nie będzie tak strachliwy jak Remigiusz ani tak mało utalentowany jak Paweł.*

*Sprawa nocnego króla udowodniła, że są na świecie moce, o których wiemy niewiele bądź nic. Zniszczono część dawnych strażników miasta i stolica wciąż może być zagrożona. Nie wiemy, czy ta sprawa nie wywrze jakichś przykrych efektów ubocznych. Chcę, żebyś zebrał jak najwięcej informacji: o magii Warwelu, o Smoku Warwelskim, o historii Lustra Twardowskiego, o poprzednich Pierwszych i krakowskich demonach. Chcę też, żeby ktoś, kogo znam, był na miejscu, jeśli po raz kolejny na ulicach Krakowa pojawią się niebezpieczne stworzenia.*

*Nade wszystko jednak ktoś musi obserwować Sarę Weronikę Sokolską.*

*Po walkach w Krakowie zdobyłem więcej informacji o Pierwszych Polani<sup>1</sup> i obecnie daleki jestem od stwierdzenia, że Sara nie nadaje się na to stanowisko. A raczej: nie jest odpowiednią osobą do sprawowania funkcji oficjalnie, jednocześnie będąc jedną z niewielu, które mogą sprostać pewnym... nieoficjalnym obowiązkom. Gdyby król był dostatecznie przenikliwy, mianowałby jakiegoś czarodzieja na swego oficjalnego reprezentanta, jej pozostawiając działanie w cieniu. Być może był za młody, gdy obejmował swoją funkcję, bądź zbyt do Sary przywiązany. Jednak źle się stało, że nie podjął takiej decyzji. Tak, między innymi też dlatego Ciebie tam posyłam – liczę, że uda się to tak zorganizować.*

*Nie chodzi mi więc o to, byś Sarę dyskredytował, rzucił jej klody pod nogi czy też poszukiwał sposobów na szantaż. Chcę, żebyś obserwował, czy ostatnie wydarzenia nie wpłynęły na nią w szkodliwy sposób.*

*Sara – nie bez powodu nazywana przez niektórych Piekielnicą – nie ma za grosz taktu. Często popełnia błędy, kierując się uporem zamiast logiką. Bywa nadmiernie pewna siebie i zbyt agresywna. Wiedziona dumą w przeszłości odrzucała oferty pomocy, co wiele razy odbijało się jeśli nie na niej, to na innych. Przekonana o swojej racji miewa tendencje do ignorowania rzeczy oczywistych. Jest jednak potężna i obeznana w rodzajach magii obcych większości magicznych. To zarówno jej siła, jak i nieustanne zagrożenie – dla niej i wszystkich, którzy ją otaczają.*

*Mówiąc krótko, Adamie: Sara spojrziała w przeklęte lustro, które na wielu już sprowadziło szaleństwo, przywołała ducha, a później weszła do samego serca miejsca, którym władały ciemne moce. Zdaje się też, że miała konszachty z demonami. Obawiam się, że może osunąć się w szaleństwo bądź sięgnąć po magię, jakiej nikt nie powinien przywoływać.*

*Pilnuj jej Adamie.*

*Irreportuj.*

*Krystian*

---

<sup>4</sup>Pierwszy Polanii – nadworny czarownik/mag/czarodziej władcy Polanii. Tytuł tradycyjnie nadawany przez monarchów Polanii. Wiąże się ze znacznymi przywilejami, takimi jak prawo do natychmiastowych osądów w sprawach, w które zamieszane są ciemne moce. Pierwszy Polanii zajmuje się ochroną władcy przed działaniem magii oraz kontrolą magicznej aktywności w Krakowie. Oficjalnie jest zwierzchnikiem wszystkich osób władających magią w stolicy, w rzeczywistości jednak jego władza nad nimi pozostaje raczej w sferze teorii niż praktyki. Najślynniejszymi osobami pełniącymi to stanowisko byli Jan Twardowski, Mieszko Czartoryski i Kalina Czerwona Iskra.

# PROLOG

## COŚ WYJĄTKOWO PASKUDNEGO

Na rynek nieustannie trafiają magiczne przedmioty. Lustra umożliwiające komunikację, amulety tworzące ochronne tarcze, noże, które się nie tępią. Prawda jest jednak taka, że to tandeta, zwykłe rzeczy obłożone podstawowymi zaklęciami, wyczerpującymi się z czasem. Sztuka tworzenia prawdziwie potężnych magicznych przedmiotów, tak zwanych artefaktów, dziś została niemal zapomniana. Zanikać zaczęła mniej więcej w okresie rewolucji przemysłowej, a wydaje się, że ostateczny cios zadała jej pierwsza wojna światowa.

Naszyjnik Wenus, którego posiadacz zyskiwał możliwość wpływu na innych; Lustro Mistrza Twardowskiego, umożliwiające zobaczenie przyszłości; miecz czyniący wojownika niewrażliwym na ciosy, wedle legend stworzony przez Merlina – to tylko niektóre z owych „prawdziwych” artefaktów. Nie były to przedmioty jedynie obłożone zaklęciami, a dysponujące swoją własną magią – i, jak wierzą niektórzy, także własną wolą. Niestety, dziś większość z nich została bezpowrotnie utracona, podobnie jak magia, za pomocą której zostały stworzone.

Swietlana Sniegow, wstęp do „Zapomianej sztuki tworzenia artefaktów”

O śmierci Janusza Klonka, wykładowcy na Wydziale Magicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, jako pierwsza dowiedziała się Andzia Podrzucka. Padło na nią, ponieważ była najodważniejsza ze wszystkich dziewięciorga studentów trzeciego roku czarodziejstwa i magii stosowanej. Gdy profesor spóźniał się już godzinę, a młodzi czarodzieje zaczęli się zastanawiać, czy nie dostał zawału (spóźnienia bowiem absolutnie do Klonka nie pasowały), jako jedyna znalazła w sobie dość męstwa, by zapukać do jego gabinetu. I potem jeszcze nacisnąć klamkę.

W oczach większości studentów był to wyczyn porównywalny do kopnięcia w zadek Smoka Wawelskiego.

Aha – pomyślała Andzia, po zajrzeniu do środka. – Rzeczywiście nie żyje.

Taka była pierwsza myśl dziewczyny na widok ciała rozciągniętego na podłodze. Ponad wszelką wątpliwość rzeczony ciało należało do profesora. Dość przystojny mężczyzna wyglądający na trzydzieści parę lat, z gęstymi, czarnymi włosami i wąskimi ustami. Niektóre naiwne studentki z początku (zanim objawił pełnię swej piekielnej natury) nawet do niego wzdychały. Nie Andzia. Andzia uważała, że się farbują. I że ma za wielki nos.

Ale się wścieknie. Ta krew się pewnie nie spierze – to była druga Andziowa myśl. Nieco irracjonalna, bo Janusz już na nic wściekać się nie mógł. Ale gdyby mógł, wściekłby się na pewno, Andzia miała pewność. Klonek słynął bowiem z trzech rzeczy: ironicznego uśmiechu, nienagannego ubioru i bycia wredną piłą, znajdującą przyjemność w sadystycznym upokarzaniu i dręczeniu studentów oraz niszczeniu ich pewności siebie.

Nie będzie kolokwium – zaświtało wreszcie w głowie Andzi. – Hurra!

Cofnęła się, zamknęła drzwi i się obróciła. Osiem par oczu wpatrywało się w nią z napięciem. Grupy studiujące magię praktyczną zawsze były mało liczne.

– Wiecie, kolosa nie będzie – oznajmiła Andzia ze stoickim spokojem. – Ktoś nam ubił profesora.

Szkoda, że nie wiedziała kto. Może wysłałaby kosz kwiatów z podziękowaniami?

\*\*\*

Sklep nosił szumną nazwę „Artefakty”, choć oferował głównie przedmioty obłożone prościutkimi zaklęciami. Żaden szanujący się czarodziej nie byłby nimi zainteresowany, ale tacy stanowili znikomy procent populacji, właścicielowi nie brakowało więc klientów. Dzieciaki wydawały długo ciułane kieszonkowe na magiczne zabawki, mężczyźni kupowali na Walentynki zakłete róże, kobiety



chętnie sięgały po zaczarowaną biżuterię albo lusterka pozwalające sprawdzić, jak wyglądałoby się w danej fryzurze czy makijażu, zaś magicy-amatorzy zostawiali tu fortuny. Prawdziwych artefaktów nie znajdowało się w takich sklepach, ale zarówno prowadzącemu sklep Mikołajowi Kordeckiemu, jak i jego klientom to nie przeszkadzało. Kordecki dbał o odpowiedni asortyment, reklamę i klimat – starannie zaplanował wystrój, rzucał tajemnicze półsłówka i nawet przygarnął ogromnego, czarnego kocura, lubiącego wygrzewać się na parapecie. Interesował się wszelkimi magicznymi przedmiotami i chociaż te, które sprzedawał, tak naprawdę niewiele mogły, był specjalistą od artefaktów. Większość stałych gości nigdy nie uwierzyłaby w to, że Mikołaj nie jest czarodziejem. A nie był, tak jak nie był nim jego ojciec – można by ich określić jako magów z bardzo ograniczonym talentem, umożliwiającym wyczuwanie magii. W wyczuwaniu magii Mikołaj był bardzo dobry, potrafił nawet rozpoznać czarodziejów, czarownice i magiczne istoty oraz ocenić ich zdolności, czego nie umiałaby zrobić większość magicznych... ale tym wolał się za bardzo nie chwalić.

Kobieta, która weszła do sklepu w deszczowe piątkowe popołudnie, była bez wątplenia czarownicą. Takie przychodziły tu rzadko i dlatego Mikołaj znał okularów (tak naprawdę nie miał wady wzroku: był to element jego starannie kreowanego wizerunku) śledził, jak przemierza sklep, oglądając kryształowe kule, magiczne lusterka i świecące kwiaty. Ostatnia czarownica odwiedziła „Artefakty” przed rokiem i wyśmiała asortyment Mikołajaja. Nie przejął się tym specjalnie: tacy zawsze mieli się za lepszych od innych, choć swoją niezwykłość zawdzięczali jedynie kaprysowi losu, który obdarował ich magiczną mocą. Czarownice zawsze wydawały mu się nieco niestabilne emocjonalnie, co prawdopodobnie było związane ze specyficzną magią, jaką władały.

– I jak długo to działa? – spytała czarownica, stukając palcem w różę emanującą błękitnym blaskiem. Mikołajaja swędziały opuszki palców. Miał ochotę kichać i zrobiło się mu jakoś mdło. Miał lekką alergię na magię czarownic, a magia tej konkretnej szczególnie się mu nie podobała.

– Gwarancja jest na dwa lata – odparł uprzejmie. Kobieta wyglądała na jakieś dwadzieścia parę lat i pewnie była studentką na Uniwersytecie Warszawskim, jedną z tych, które przyjeżdżają z głębokiej prowincji i próbują coś udowodnić. Nie nosiła kurtki, tylko znoszoną bluzę, chociaż zbliżał się już grudzień. Wiatr rozczochrał jej czarne włosy ścięte na wysokości brody; była blada i używała chyba

jakiejś mocnej szminki. Gdyby nie magiczna aura, uznałby ją za jedną z tych dziewcząt zafascynowanych wampiryzmem, choć każdy rozsądny człowiek wiedział, że prawdziwy, cuchnący rozkładem krwiopijca i przystojny wampir z filmów niewiele ze sobą mają wspólnego.

– Czyli jakieś dwa lata i dwa miesiące – podsumowała. Wyprostowała się i zwróciła na Mikołaja spojrzenie fioletowych oczu. – Rozmawiam z właścicielem?

– We własnej osobie – przyznał Mikołaj. – Przepraszam... Chyba ma pani coś na szyi...

Kobieta odruchowo podniosła rękę, blade palce przesunęły się po skórze. Coś ciemnego, co początkowo wziął za robaka, znikło, nim zdążyła tego sięgnąć – i gdy to zobaczył, poczuł, że robi mu się jeszcze bardziej niedobrze. Rozejrzał się po sklepie, z ulgą odnotowując, że nie był w środku sam. Jakaś kobieta oglądała magiczne lusterka, a jeden ze stałych klientów przeglądał przedmioty z wystawy.

– Brudne? – spytała, opuszczając dłoń. – Czy towar na półkach to cały pana asortyment?

– Przepraszam, coś mi się wydawało. Czasem pojawiają się edycje limitowane – odparł, zastanawiając się, czy czarownica nie jest jedną z osób nadzorujących magiczne biznesy. Może znowu złożono na niego jakiś donos i doszukiwali się „towarów spod lady”? Loża Magii rozerwałaby go na strzępy, gdyby wyszło na jaw, że sprzedawał prawdziwe artefakty bez licencji. – Zazwyczaj z biżuterii, ale obecnie nie mam niczego takiego. Szuka pani czegoś konkretnego?

– Już znalazłam. Staram się ustalić... historię tego przedmiotu. Swego czasu przeszedł przez pańskie ręce.

Wyciągnęła z kieszeni spranych džinsów kartkę. Wahał się, zanim ją przyjął, bo znowu wydało mu się, że coś pełza po skórze kobiety, tym razem na nadgarstku. A gdy rozłożył wręczony mu papier i zobaczył rysunek – marnej jakości, jednak bez wątplenia przedstawiający przedmiot, który rzeczywiście doskonale pamiętał – natychmiast pożałował, że w ogóle zaczął z czarownicą rozmawiać.

– Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc – oznajmił zdecydowanie, przekazując jej kartkę. Coś przesunęło się po policzku kobiety i teraz był już pewien: to nie żadne złudzenia, ale ona tego czegoś nie widzi albo nie chce zobaczyć – przyłgnęły do niej okrucy obcej, mało przyjemnej magii. Nie zaabsorbowane, nie złączone na dobre z aurą, ale istniejące. I bardzo mroczne.

– Proszę sobie darować – rzuciła ze zniecierpliwieniem. – Kalina, dawna Pierwsza Czarodziejka, albo kupiła od pana ten sztylet, albo przyniosła go tutaj z jakichś powodów.

– Jak mówiłem, nie mogę pani pomóc – powtórzył cierpliwie Mikołaj. – Proszę o opuszczenie mojego sklepu, inaczej będę musiał wezwać policję.

Złość kobiety sama w sobie nie wywarłaby na nim żadnego wrażenia. Swego czasu zapłacił krocie pewnemu dyplomowanemu specjalście od czarów ochronnych, aby rzucił kilka na sklep. Oprócz standardowego pakietu obejmującego zaklęcia antywłamaniowe, wykupił także te chroniące przed nadmierną wilgocią, kradzieżą, nieprzepuszczające na zaplecze bez jego zgody oraz obronne. Kosztowało to majątek, ale było warto – raz próbowano go okraść i włamywaczy spotkała przykra niespodzianka. Gorzej, że gdy czarownica się zdenerwowała, znów coś ciemnego przesunęło się po jej brwi i szyi, a on omal nie zwymiotował na własne buty. Przypominało mu to trochę pająki, chociaż ten kształt pewnie nadawał im jego umysł.

– Pan pozwoli, że się przedstawię. – Sądząc po tonie, nawet gdyby nie pozwolił, zostałby zignorowany. – Nazywam się Sara Sokolska, jestem nadworną czarownicą jego królewskiej mości i obawiam się, że jeśli chodzi o sprawy magii, to żadna policja nie może mnie znikąd wyrzucić.

Cudownie. Mikołaj przymknął oczy, odliczając w myślach do dziesięciu. Kichnął, gdy doszedł do siedmiu. Magiczna alergja, mroczna moc, którą przywlekła Sokolska i w dodatku fakt, że rzeczywiście nie bardzo mógł wiedźmę wyrzucić, to wszystko zaczęło go przerastać. W pewnym sensie to była kontrola, chociaż niestety niesprowadzająca się tylko do tego, czy nie sprzedaje jakichś podejrzanych artefaktów spod lady.

– Zapraszam na zaplecze – powiedział i nawet we własnych uszach zabrzmiał jakoś słabo. Nie przez stanowisko Sokolskiej, raczej z powodu czarnych pajaków, które się po niej przemieszczały. Znikły teraz – już ich nie wyczuwał ani nie widział, wiedział jednak, że gdzieś tam są.

Zaplecze, w przeciwieństwie do samego sklepu, nie było przesadnie zagracone. Trzymał tu czasami cenniejsze przedmioty robione na zamówienie, ale poza tym umeblowanie składało się ze stolika, czajnika elektrycznego, fotela, szafki, w której trzymał coś do przegryzienia, i dwóch krzeseł. Wskazał jedno z nich, czekając aż Sokolska usiądzie, ale oparła się tylko o stół. Też nie usiadł: gdyby siedział,

górowałyby nad nim, w pewien sposób zyskując przewagę. Mikołaj bardzo chciałby, żeby po prostu zniknęła. Niegdyś ponoć istniał artefakt, który mógł spełniać takie życzenia, ale to było w dawnych czasach i mogło być wyłącznie bajką. Kolejną alegorią.

Czekał na pytania, te jednak nie padały. Sokolska milczała, tylko się mu przypatrując, a on, choć zazwyczaj brzydził się przemocą, miał wielką ochotę ją uderzyć.

– Nie sprzedałem tego sztyletu Kalinie – stwierdził w końcu sucho, podpierając się o ścianę, by nie stać przed kobietą na baczność niby jakiś uczeń.

– Mój dziadek był specjalistą od artefaktów i zdaje się, że jednym z jej nauczycieli. Ojca adoptował, więc nie odziedziczyliśmy jego mocy, ale zostawił nam sporo opracowań. Kilka lat temu szukała informacji.

– Krótko przed swoim zniknięciem.

Nie brzmiało to jak pytanie, Mikołaj jednak skinął głową.

– Niewiele mogłem jej powiedzieć. Nie jestem moim dziadkiem – mruknął. Przypatrywał się szyi czarownicy, ale pająki już się nie pojawiły. – Sztylet prawdopodobnie wykuto specjalnie po to, aby mógł zabić jakąś konkretną istotę. Przynajmniej kilka wieków temu i nie wiem, co to było. Zwykle broń tego typu ulega zniszczeniu po wypełnieniu zadania, więc albo był wyjątkowy, albo nigdy go w ten sposób nie użyto. Jak pani pewnie wie, można nasączyć go własną magią. Wykorzystać jako swego rodzaju przekaźnik. Może zabić niemal każdą istotę i zapewne świetnie sprawdzi się podczas wielu rytuałów. To potężny przedmiot, obecnie rzadko się takie spotyka, choć jeśli wierzyć zapiskom, w przeszłości było ich więcej. Być może karmi się krwią i mocą, zyskując dodatkową siłę, bo magia w nim...

Mikołaj urwał i wzruszył ramionami. Magia sztyletu była niezbyt przyjemna, potężna, trudna do określenia, jakby zmienna. Sara odchyliła głowę, przez chwilę zapatrzywszy się w sufit. Pająk spacerował po jej wargach i Kordecki wzdrygnął się mimowolnie. Czarownica chyba oczekiwała czegoś więcej, bo westchnęła z pewną rezygnacją, połykając przy tym strzęp ciemnej energii.

– Żadnych informacji o jego historii? Skąd go wytrzasnęła?

– Przykro mi. Wspomniała tylko, że weszła w jego posiadanie kilka miesięcy wcześniej.

– Świetnie – mruknęła sarkastycznie Sokolska. Z kieszeni wyjęła zapalniczkę i wyciągnęła ją w jego stronę. Dopiero po chwili zrozumiał, o co chodzi. Przedmiot emanował dość silną aurą, na którą nie od razu zwrócił uwagę, bo pozostawała częściowo zagłuszona przez moc Sary. Mikołaj unikał skupiania się na magii kobiety, ale i tak mógł powiedzieć, że jest silniejsza i jednocześnie bardziej niespokojna niż u większość czarownic. – Co możesz powiedzieć o tym?

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego – przyznał, tym razem szczerze zafascynowany, przeciągając palcami po znakach wyrysowanych na powierzchni zapalniczki. – Nie może być bardzo stara, ale chyba tworzy własną magię. Nie przypomina niczego, o czym czytałem. Silna, bardzo jasna aura. Zgaduję, że wytwarza magiczny ogień i światło...

– Ameryka, Kolumbie – oznajmiła Sara. Została zignorowana, podobnie jak fakt, że zaczęła zwracać się do niego na ty.

– ...zapewne znacznie silniejsze niż w przypadku standardowej magii, ale to wciąż coś, co, jeśli się nie mylę, ma służyć nie do ataku, a oczyszczenia i ochrony. Skąd ją pani wzięła?

– Z szuflady – odparła, odbierając mu zapalniczkę. Gwałtownie cofnął rękę, pełen obaw, że pająk, który zwinął się na jej palcach, postanowi przeskoczyć na jego dłoń. Zwalczył w sobie irracjonalną chęć wyrwania kobiecie przedmiotu. Coś przepelnionego tak dobrą magią nie powinno znajdować się w rękach Sokolskiej. Wydawało się, że nawet zapalniczka nie zdołała jej ochronić. A może wręcz przeciwnie, już ją chroniła i dlatego obce elementy aury postrzegał jako pająki, nie coś nierozzerwalnie połączonego z czarownicą? Na litość boską, kogo trzymał przy sobie ich władca?

– Coś jeszcze?

– Nie. To wszystko.

Sara skrzywiła się nieznacznie, schowała zapalniczkę i ruszyła do wyjścia.

Pierwsza Polanii – zdaniem Mikołaja – najwyraźniej wplątała się w coś wyjątkowo paskudnego.

\*\*\*

Sara nigdy nie była typem naukowca. Brakowało jej systematyczności, cierpliwości, a także obeznania w autorach i tytułach. Edukacja na uniwersytetach nie bez powodu była uważana za tak istotną. Chociaż chodziło przede wszystkim o to, aby niedoświadczeni magiczni nie zrobili nikomu krzywdy, dawała także

podstawy teoretyczne, a teoria była czymś, czym Sokolska nigdy specjalnie się nie interesowała. Nazwiska znanych czarodziei, które wbijano do głów studentom Wydziałów Magicznych, Sarze nic nie mówiły. Nie wiedziała, które księgi są wartościowe, a które to ładnie opakowane bzdury. Nie zbudowała podczas studiów sieci relacji i nie miała pojęcia, w czyich zbiorach mogą znajdować się odpowiednie pozycje. Istniały wprawdzie ułatwiające poszukiwania internetowe bazy danych, także te tajne, do których wprowadzono całkiem sporo informacji i do których jako nadworna czarownica miała dostęp. Ale też bazy te nigdy nie były pełne – pomijając już to, że po prostu nie istniała możliwość przechowywania absolutnie wszystkiego, niektóre książki nie dawały się tą metodą kopiować i zdarzało się, że wrzucone na dysk dane wysadzały go w powietrze. A bywały i informacje, które obawiano się rozpowszechniać w ten sposób<sup>2</sup>. Co więcej, sama Sokolska bała się szukać w nich pewnych rzeczy, przekonana, że zostawi to łatwy do znalezienia ślad.

Przez ostatnie miesiące z dość mizernymi rezultatami sukcesywnie przetrząsała archiwa, niegdyś zakłete przez Kalinę, zamkową bibliotekę, a nawet zbiory Wydziału Magicznego, gdzie wpuszczano ją niechętnie i gdzie sama niechętnie wchodziła, wiedząc, że później dokładnie sprawdzą książki, które czytała. Nauczyła się właściwie na pamięć listy nazwisk wszystkich specjalistów od rytuałów w kraju, podobnie jak imienia każdego silniejszego czarodzieja mieszkającego w Krakowie bądź okolicach. Prośbą, groźbą, przekupstwem i podstępem zdobyła część archiwalnych raportów Loży Cienia. Sprawdziła listę wszystkich akcji jednostki specjalnej z ostatnich paru lat. Spędziła miesiąc w Republice Federacyjnej Niemiec. Krótko mówiąc, szukała czegokolwiek, co mogłoby dostarczyć jej informacji o Klausie, a przede wszystkim odpowiedzieć na dwa pytania: jak i przez kogo został przywołany z powrotem.

Wszystko na próżno. Nie znalazła niemal niczego. Właściwie tyle, ile już wiedziała – do przywołania potrzeba było ofiary i dużej ilości mocy. Ustaliła, że prawdopodobnie nocny król pojawił się w mieście mniej więcej w czasie, gdy zniknęła Kalina i Sara zastanawiała się, czy to nie on stał za jej odejściem. Być może pewnej nocy Czerwona Iskra, sądząc, że jest bezpieczna w swoim mieście, nie odkryła zagrożenia w porę. Zginęła osaczona gdzieś w mroku, zabita przez nocnego króla, tak jak omal nie skończyła sama Sara. Ocaliło ją przed tym

przecież tylko to, że Klaus znał jej twarz – że nie zaatakował kobiety, którą miał za swoją śmierć.

I która faktycznie się nią stała.

W końcu odwiedziła dom Kaliny. Budynek leżał pod Krakowem, a obłożono go taką liczbą zaklęć i magicznych barier, że żaden z okolicznych mieszkańców zapytany, nie umiałby powiedzieć, o jaki dom chodzi. Istniała tylko garstka czarodziei zdolna do utkania tak potężnych osłon. Sara podejrzewała, że swego czasu właścicielka musiała poświęcić przynajmniej rok na przygotowanie odpowiednich czarów. Ona sama nie umiałaby stworzyć choćby połowy z nich. Nawet podtrzymywanie wszystkich zaczynało z upływem czasu przekraczać jej możliwości – słabły powoli, ale sukcesywnie i prawdopodobnie za kilka lat dom należący niegdyś do Kaliny Czerwonej Iskry przestanie być bezpiecznym miejscem, do którego nikt się nie zbliży. Nie lubiła tutaj przychodzić: do uroczego, staroświeckiego domku, umeblowanego głównie antykami, pełnego cennych obrazów i suszonych kwiatów, emanującego magią Kaliny i jakimś sposobem nawet po latach pachnącego jej perfumami. Rękę właścicielki dało się wyczuć w każdym pomieszczeniu. Ilekroć Sara przekraczała próg, zawsze miała wrażenie, że za chwilę z któregoś z pokoi wyjdzie Kalina: w swoich eleganckich ubraniach szytych wedle historycznych wzorców, z czerwonymi włosami ułożonymi w wymyślną fryzurę. Od dnia, w którym czarodziejka zniknęła, Sara odwiedzała jej schronienie raz na jakiś czas, by upewnić się, że zaklęcia nie straciły swojej mocy. Sama nie była pewna, dlaczego to robi – początkowo oczekiwała, że Kalina wróci, później weszło jej w nawyk. Raz przeszukała pomieszczenia, usiłując znaleźć jakieś wskazówki, które mogłyby wyjaśniać nagłe zniknięcie dawnej Pierwszej Czarodziejki Polanii, ale wyglądało na to, że Kalina nie szykowała się do żadnego wyjazdu, nie pozostawiła też zapisków, które mogłyby być pomocne. Sara zresztą w tych poszukiwaniach nie była zbyt uważna: tak naprawdę nie miała pewności, czy rzeczywiście chce wiedzieć, co spotkało czarodziejkę. Ostatecznie przejrzała kilka książek, zabrała jedną, i pozwoliła, aby resztę rzeczy Kaliny powoli pokrywał kurz.

Jednak w listopadzie Sara przemknęła przez dom niczym huragan, sprawdzając każdy kąt. Bo Kalina przecież musiała coś wiedzieć. Po pierwsze, to ona zdobyła sztylet, który zakończył pierwsze życie Klause i oddała go Sarze. Po drugie, była Pierwszą Polanii, znacznie lepiej sprawdzając się na tym stanowisku niż Sokolska.

Sprytna, potężna Czerwona Iska miałaby nie zorientować się, że w mieście dzieje się coś tak paskudnego? Tym razem Sara zwróciła uwagę na to, że Kalina ewidentnie była zainteresowana artefaktami. Sokolska podczas przeszukiwania dwukrotnie natknęła się na adres warszawskiego sklepiku Mikołaja, znalazła też nazwisko pewnego demonologa. Wcześniej obecność kilku opracowań o podejrzanej tematyce, których na pewno nikt o zdrowych zmysłach nie pokazałby studentom, jakoś Sary nie dziwiła – w końcu Kalina była Pierwszą, musiała sobie radzić z różnymi rodzajami magii. Teraz jednak przestudiowała je uważnie i poczuła ukłucie niepokoju. Trzy z książek były bowiem bardzo stare, niemalże niemożliwe do zdobycia, i traktowały o podobnej tematyce: demonów, starych bogów oraz wykorzystywaniu ich mocy. W niektórych miejscach też, jak mogła stwierdzić Sara, zawierały poważne błędy. W odkrytym schowku („odkrywając” go Sara omal nie spaliła połowy pokoju i sama została lekko poparzona – zaklęcia Kaliny wpuszczały ją do domu, ale najwyraźniej w tym miejscu czarodziejka już nie życzyła sobie jej obecności) odkryła jeszcze starszą, bezcenną księgę. Napisaną po łacinie, relacjonującą eksperymenty z próbami przedłużania życia. Sara spróbowała spalić ją w kominku razem z podejrzаныmi opracowaniami. One spłonęły, księga niestety nie.

Najpierw pofatygowała się osobiście do Warszawy do „Artefaktów”, później spróbowała odnaleźć demonologa – jak się okazało, zmarł w tajemniczych okolicznościach, mniej więcej w tym okresie, gdy znikła Kalina.

W głowie Sokolskiej powstało nieprzyjemne podejrzenie, że dawna Pierwsza Polanii wplątała się w coś wyjątkowo paskudnego.

---

<sup>2</sup> (...) Najgłośniejszym przypadkiem tego typu była próba wprowadzenia do Internetu zachowanych fragmentów dzienników Howarda Deightona, jednego z najsłynniejszych angielskich czarodziei, który jakoby dożył w tajemniczy sposób aż trzystu lat. Okazało się, że Deighton zabezpieczył swoje prace magią nieznaną współczesnym czarodziejom. Komputery zajmującego się digitalizacją dzieł magicznych oddziału Fundacji Na Rzecz Magii Bez Barrier oszalały, a systemy bezpieczeństwa zaczęły atakować pracowników. Sprawę usiłowano wyciszyć, jednak w następstwie pożaru, śmierci kierownika oddziału i ran odniesionych przez osoby obecne w budynku, część informacji wyciekła. Zaogniło to debatę na temat magii i technologii oraz znalazło finał w sądzie (patrz: proces Leight przeciwko Leight).



# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## GOŚCIE, GOŚCIE

Ze snu wyrwało ją walenie w drzwi i – cóż za niespodzianka! – podniesiony głos króla.

– Wstawaj, ty cholerna wiedźmo! – Krzyki nie licowały z królewską godnością. Podobnie jak przekleństwa i osobiste dobijanie się do sypialni nadwornej czarownicy o nieprzyzwoicie wczesnej porze. Najwyraźniej tego ranka Julian Łukomski miał jednak królewską godność w głębokim poważaniu. Nie po raz pierwszy zresztą: ostatnimi czasy tego typu pobudki zdarzały się na tyle często, że w końcu Sara zakłęta drzwi tak, żeby przed dziewiątą rano nie przepuszczały nawet monarchy.

Sądząc po natężeniu wrzasków, właśnie odkrył ten fakt i nie był z tego zadowolony.

– Co ty sobie myślisz?! Że możesz mi bronić dokądś wchodzić w moim własnym zamku?! Wylaż stamtąd natychmiast. Nie śpij!

Spać przy akompaniamencie takich wrzasków mógłby chyba wyłącznie trup. Czarownica leżała po prostu na łóżku, kontemplując sufit i zastanawiając się, czy Julian mógłby przełamywać klątwy snu krzykami, zamiast w tradycyjny sposób, i jak wielką sensację wywołałaby sprawa o mobbing wytoczona przeciwko władcy Polanii.

– Sanika!

– Idę!

Odrzucona kołdra spadła z łóżka, bose stopy dotknęły podłogi. Zimnej. Chłód wgrzyzał się głęboko w wawelskie mury i zimą część mieszkalna miała ustawiczne kłopoty z ogrzewaniem. Palono w kominkach, wykorzystywano drobne czary, tu i ówdzie ukradkiem znoszono elektryczne grzejniki, nic nie mogło jednak do końca wypędzić ziąbu z kamiennego zamku. Szczęśliwie Sara lubiła zimno. I lubiła zimę. Tym, czego nie lubiła, były poranne pobudki. Spała mało, zazwyczaj nad ranem, i naprawdę drażniło ją, że wszystkie nieszczęścia zdawały się spadać na Kraków i królewską głowę właśnie wtedy, kiedy ona pogrążała się we śnie.

– Co znowu? – burknęła, z rozmachem otwierając drzwi.

Julian Łukomski liczył sobie dwadzieścia sześć lat i mniej więcej na tyle wyglądał. Średniego wzrostu, z brązowymi włosami i ciemnymi oczyma, zazwyczaj nienagannie się prezentujący, mógłby uchodzić za przystojnego. Mógłby, gdyby ostatnimi czasy – wiedziony trudną do pojęcia logiką – nie zdecydował, że z brodą będzie wyglądał poważniej. Być może za dużo napatrzył się na wizerunki czcigodnych przodków. Porządna broda jednak nijak nie chciała mu rosnąć i w konsekwencji młody król przypominał raczej dzieciaka zapuszczającego pierwszego wusa niż poważnego monarchę. Obecnie wyglądał w dodatku nieco nieporządnie: jakby wciągał na siebie ubrania w pośpiechu, nie troszcząc się o ich dopasowanie i dopięcie wszystkich guzików. Rzeczywiście, działo się coś niedobrego.

Nie przybiegł jednak w pizamie. To przynajmniej oznaczało, że koniec świata jeszcze się nie zbliżał.

– W moich komnatach jest duch – poinformował, ledwo drzwi stanęły otworem.

– Duch? Jaki duch? – spytała czarownica z niezrozumieniem, tłumiąc ziewnięcie. Na królewskiej twarzy irytacja została zastąpiona ewidentną chęcią mordu.

– Półprzezroczysty – wycedził Julian, bezceremonialnie łapiąc Sarę za ramiona i potrząsając nią. Kobieta syknęła zirytowana, król jednak, zupełnie się tym nie przejmując, rozpoczął proces ciągnięcia jej w stronę własnych komnat. – Obudź się wreszcie! Coś wlaźło mi do pokoju! Jęczy, straszy, obraża, unosi się w powietrzu, przedmiotami próbuje rzucać. Za bardzo mu nie wychodzi, ale się stara. Chodź i zrób coś z tym, do diabła!

– Zupełnie niemożliwe – zaprotestowała, usiłując uwolnić ramię z uścisku.

– Wawel ma potężne osłony, żaden poltergeist się nie przecisnie. Widma też tu nie wywołasz, a już twoja sypialnia...

– Świetnie! Zatem idź tam i wytłumacz temu poltergeistowi, widmu, czy co to jest, że nie ma prawa siedzieć w moim zamku, a już zwłaszcza w mojej sypialni.

– Irytacja pobrzmiwała w głosie króla, a palce zaciskały się na ramieniu czarownicy jak imadło. W końcu od tego miał nadworną czarownicę, by zajmowała się takimi sprawami i nie planował jej odpuścić. Z siłą, jakiej trudno byłoby się po nim spodziewać, wlekł ją korytarzem. Będę mieć siniaki – oceniła

Sara z niezadowolaniem, zaprzestając prób uwolnienia. W historię o duchu nie bardzo wierzyła: aura zamku pozostawała senna i spokojna, potęgując w niej samej chęć zwinienia się na łóżku. Sięgnięcie ku osłonom spowijającym Wawel ciasną siecią wykazało niezbitcie, że nikt ich nie naruszył. Żadni obcy nie przedarli się do środka, nikt wewnątrz nie stosował mrocznej magii, większość mieszkańców była pogrążona we śnie. Żeby zacząć mącić w królewskiej sypialni, potrzeba by najmniej ze trzech czarodziei pierwszej klasy, a i tak wymagałoby to sporo czasu i wysiłku. Nie przeszłoby też niezauważone. Julianowi musiało się coś przyśnić – sny na Wawelu bywały wręcz zaskakująco realistyczne na skutek natężenia magii. Lub też poniosła go wyobraźnia...

Ta myśl sprawiła, że w głowie Sary rozbrzmiały dzwonki alarmowe. Julian był bowiem, przynajmniej w jej własnej opinii, mężczyzną całkowicie pozbawionym wyobraźni. Może posiadał odrobinę fantazji, kiedy był jeszcze dzieckiem i chował się pod kołdrą, przerażony opowiedzianymi mu historiami – co zresztą niezmiernie wtedy bawiło Sarę. Ta odrobina zniknęła jednak już dawno, mniej więcej w momencie, w którym zbyt wcześnie włożono mu koronę na głowę.

– Puść mnie, przecież muszę mieć wolne ręce, jeśli coś tam siedzi – uświadomiła Juliana. Król uznał słuszność tego argumentu i zwolnił uścisk, choć wciąż przypatrywał się czarownicy tak, jakby oczekiwał, że uwolniona natychmiast rzuci się do ucieczki. – Możesz go opisać? Trochę dokładniej niż „półprzezroczysty”?

– Myślisz, że się mu przyglądałem? – mruknął niechętnie Julian, zatrzymując się w pobliżu wejścia do własnej sypialni. Stał teraz przed nią jeden z członków ochrony zamku. – Ubierałem się, kiedy usłyszałem wrzaski i zobaczyłem za sobą lewitującego mężczyznę. Było przez niego widać pokój. Mogłem kogoś po ciebie posłać, ale nie bardzo miałem ochotę tam zostawać, więc pofatygowałem się osobiście. Strażnik pilnuje, czy duch nie postanowi sobie pospacerować. Saniko, nie życzę sobie nawiedzonego zamku. Nawiedzone zamki wyszły z mody dobre dwieście lat temu.

– Świetnie. – Z opisu wyglądało to na poltergeista albo efekt jakiegoś złośliwego zaklęcia. Problem w tym, że na Wawelu takie rzeczy naprawdę nie miały prawa się dziać. – Lepiej tu zostań.

Przechodzeniu przez próg towarzyszyło mrowienie na powierzchni skóry, świadczące o tym, że zabezpieczenia wciąż działały. Królewskie komnaty obłożono

kilkoma potężnymi czarami, które nie tylko uniemożliwiały wkroczenie do nich niepowołanym, ale powinny też zatrzymać większość zaklęć. A już z pewnością wszelkie złośliwe poltergeisty.

Nie czuła żadnej obcej magii. Była już nawet gotowa uznać, że Julian mimo wszystko cierpiał na jakieś przywidzenia i może powinien porozmawiać ze specjalistą, gdy jednak w pewnym momencie zadarła głowę...

Przy okazałym żyrandolu wisiał mężczyzna. Półprzezroczysty, widać było przez niego odnawiany niedawno sufit. Z lekka ogłupiała Sara przypatrywała się istocie: pan w średnim wieku, na oko koło pięćdziesiątki, z posiwiałymi bokobrodami, w długiej, staroświeckiej, eleganckiej kamizelce. Nie wyglądał na jednego z tych śmiesznych „duszków”, białych i bezkształtnych, które z zaświatami miały tyle wspólnego, co ona z baletem, a którymi magiczna brać czasem straszyla nie ulubiane osoby. Nie przypominał też poltergeista, widma ani tym podobnych cholerstw.

Właściwie wyglądał jak prawdziwy duch.

\*\*\*

Oto kilka faktów o Pierwszej Polanii.

Miała jakieś trzydzieści cztery lata, choć ani na tyle nie wyglądała, ani nie zachowywała się jak przystało na poważną, dorosłą osobę. Ciemne włosy ścinała dość krótko, a te zwykle sterzczały na wszystkie strony. Była blada, chuda i nosiła ubrania nieprzystające osobie o jej pozycji. Lubiła frytki, nie znosiła zapachu jabłek i często znikwała, nikomu nie mówiąc, dokąd idzie. Szybko doprowadzała zazwyczaj spokojnego króla do szału i oprócz niego nie miała przyjaciół – bo i nie nadawała się na przyjaciółkę. Wszak była nadmiernie agresywna, nieco egoistyczna i mało przyjemna w obyciu.

Przede wszystkim jednak była czarownicą. Magia pozostawała tym, co ją definiowało, nie narzędziem w ręku zaledwie, a częścią jestestwa. Posiadała dość mocy, aby pod względem talentu faktycznie zasługiwać na funkcję nadwornej czarownicy.

Tym bardziej więc Julian nie rozumiał, dlaczego zamiast po prostu pozbyć się ducha, szalała po bibliotece. W dodatku przejawiając przyprawiający wręcz o ból głowy brak szacunku do cennych ksiąg, gromadzonych przez całe pokolenia. Chwytała tom, przerzucała parę kartek, po czym rzucała książkę gdzie popadnie.

– Coś siedzi w mojej sypialni, a ty sobie czytasz? – burknął, podnosząc jeden z woluminów. – Wiesz, że ta książka ma prawie dwieście lat?

– Nie. Szukam czegoś, bo coś siedzi w twojej sypialni.

Sara podsunęła sobie stołek, by dostać się do wyższych półek. Nie słynęła ani z cierpliwości, ani z opanowania, i teraz była równie zirytowana jak Julian. Głównie dlatego, że nie miała pojęcia, co się dzieje. Co gorsza, nie potrafiła poradzić sobie z duchem grasującym po królewskich pokojach żadną ze znanych sobie metod. Nie pomogły zaklęcia, naprędce narysowany krąg odesłania ani nawet próba zaatakowania ducha – zakończona zresztą uszkodzeniem sufitu.

– Dlaczego po prostu tego czegoś nie odeślesz?

– Bo to duch.

– No co ty nie powiesz. Wielkie dzięki za uświadomienie, sam nigdy bym nie zauważył! – wycedził Julian, przysiadając na fotelu i obserwując Sarę buszującą pomiędzy regałami. Czarownica zeskoczyła ze stołka. Brwi miała zmarszczone, a usta zaciśnięte.

– Nie rozumiesz. Dusze umarłych nie wracają w ten sposób bez powodów. Nie same z siebie. W porządku, czasem, w bardzo określonych okolicznościach, zostaje pewne echo i dochodzi do nawiedzeń, ale to też nie wygląda tak. Jakaś część... jestestwa danej osoby zostaje po tej stronie i nie rusza dalej. Poltergeisty z kolei to nie duchy. To emanacje magii i negatywnych uczuć. Coś takiego, jak siedzi u ciebie... trzeba przywołać. A to nie jest łatwe.

Król nie był kompletnym laikiem w sprawach magii. Orientował się mniej więcej, jaka jest różnica między czarodziejką, a czarownicą. Wiedział co nieco o ograniczeniach magii, magicznych zabezpieczeniach i drobnych czarach użytkowych, pozwalających oszczędzić państwowemu budżetowi wydatków. Sporo wiedział o istotach magicznych, bowiem konflikt wokół ich praw toczył się od początków jego panowania. Głowę Juliana jednak zaprzętała przede wszystkim polityka zagraniczna, projekty ustaw i zapamiętywanie zasad postępowania podczas spotkania z japońskim cesarzem. O duchach wiedział tyle, ile opowiadano w bajkach.

– Raz jednego przywołałaś i przesłałaś z nim przez miasto – powiedział władca powoli. W jego duszy zakiełkowało paskudne podejrzenie. – Mówili o tym później w telewizji, ktoś nawet wrzucił filmik do Internetu...

– Tak, nie mam nic lepszego do roboty, niż nawiedzać twój pokój – parsknęła, siadając na stołku, z którego przed chwilą zeskoczyła. – Zresztą... Ja

posłałabym ci poltergeista. Nie umiem sama przywoływać duchów, które odeszły. Wtedy... miałam pomocnika.

Skrzywiła się. Nie wspominała tego dobrze. Sary wcale nie ciągnęło do zabaw taką magią. Kontakt z duszą księcia wyrwaną z niebytu, Wyraju bądź odmętów piekieł – naprawdę nie wiedziała – nie należał do przyjemnych. Sama pomoc była jeszcze gorsza: aby uchylić zasłony pomiędzy światami musiała posunąć się aż do targów z demonem.

– Nie umiesz przywołać – powtórzył Julian. Pierwsze podejrzenie umarło śmiercią naturalną, za to pojawiło się drugie, znacznie paskudniejsze. Bo gdyby to Sara nasłała na niego rozżłoszczonego ducha, pozbyłaby się go w sekundę, a on mógłby wymyślić jakąś genialną zemstę. W innym wypadku jednak... – Ale umiesz odesłać, prawda?

Sara milczała.

To było bardzo wymowne milczenie.

– Sanika? Żartujesz, prawda? Na pewno wiesz, jak pozbyć się tego tałatajstwa. Musisz wiedzieć! Jesteś Pierwszą Polanii. Ty zawsze wiesz takie rzeczy. Ba, wiedzieć takie rzeczy to twój obowiązek! – Julian mówił coraz szybciej i coraz bardziej nerwowo, w nie do końca pasujący do niego sposób. Oczyma wyobraźni już widział przyszłe tygodnie przyzwyczajania się do nowego współlokatora. Wspólne wieczory. Uroczę pobudki. Podwójne randki...

W tym momencie wyobraźnia Juliana zawyła w proteście i wyemigrowała na Karaiby.

– Nie wiem, ale się dowiem – obiecała, unosząc rękę w geście poddania. Zresztą nie to martwiło ją najbardziej. Istniały różne sposoby na radzenie sobie z demonami i innymi istotami pogranicza. Któryś musiał tutaj zadziałać, pozostawało jedynie sprawdzić, który. – Nie patrz tak na mnie, muszę się upewnić, co zadziała, a to i tak najmniejszy problem. Martwi mnie co innego. Skąd ta cholera się tu wzięła? Słyszałaś, co mówiłam o przywoływaniu?

– Cudownie. Mamy na zamku czarodzieja bawiącego się w wywoływanie duchów w mojej sypialni? – jęknął król, jakby zapadając się w sobie. Minę miał niewyraźną. Ostatnimi czasy coraz częściej przychodziło mu na myśl, że źródłem większości jego problemów jest magia. Katarzyna zginęła przez jakieś mroczne rytuały, z podobnego powodu jakiś czas temu Kraków ogarnął chaos, państwowe elity skakały sobie do gardeł w kwestii praw syren i rusałek. Sara cała była jednym

wielkim problemem, a teraz jeszcze coś ewidentnie sprowadzonego magią zamieszkało mu w sypialni.

Świat byłby piękniejszy, gdyby magia istniała tylko w bajkach. Niestety, bajki pozostawały tylko bajkami, a on musiał rządzić krajem, w którym kilkanaście procent mieszkańców posiadało magiczne zdolności, kolejne kilka zaś podpadało pod kategorię istot magicznych – i swoim istnieniem generowało debaty w rodzaju „czy skrzatom należą się prawa obywatelskie” albo „czy rusałkom należy się ochrona jako gatunkowi zagrożonemu wyginięciem”. Nie wspominając o ostatniej bolączce króla, czyli o Ruchu Obrony Topielic, którego członkowie udowadniali, że to, że topielice czasem kogoś utopia, nie jest dostatecznym powodem do eksterminacji całego gatunku. Jest ich w końcu niewiele, zasługują na ochronę, a dzikie zwierzęta przecież też zabijają ludzi i nikt nie chce wystrzelać wszystkich...

– O to chodzi. Osłony zamku nie zostały naruszone – mruknęła niechętnie czarownica, sięgając dłonią po jedną z książek i przerzucając strony. Chłam, chłam i chłam. Poltergeisty. Przypadki nawiedzeń. Chłam. – Nie czuję nic niewłaściwego. Jeśli ktoś to przywołał... to ktoś, kto tu mieszka albo pracuje.

Ktoś, kto prawdopodobnie przynajmniej pod niektórymi względami jest silniejszy ode mnie – dokończyła w myślach, ale takie słowa nie przeszłyby jej łatwo przez gardło. Chociaż istniała też druga możliwość: ten ktoś miał pomoc jak ona. Tyle że...

– W dodatku ten duch nie może być niebezpieczny. Inaczej aura już by szalała – dokończyła.

– Cudownie, więc to żaden problem. Niech zjawia panoszy mi się po pokoju i wrzeszczy. Skoro nie urwie mi głowy, to wszystko w porządku!

– Cieszę się, że tak do tego podchodzisz! – Czarownica cisnęła trzymaną książką o podłogę z taką siłą, że wiekowy grzbiet uległ uszkodzeniu. Wściekała się często, nie zawsze mając ku temu konkretne podstawy. Najczęściej zaś przy Julianie. – Może więc po prostu wrócę spać?!

– Nie płacę ci za spanie. Zrób coś z tym duchem! Z tym, który go przywołał, też – zażądał Julian. Podniósł się z miejsca i zaczął nerwowo krążyć po pomieszczeniu, przesładowany chęcią uduszenia swojej nadwornej czarownicy. Nie wydawał się szczególnie przejęty jej krzykami: przywykł do humorów

Sokolskiej i zazwyczaj nie robiły na nim wrażenia. – Ktoś, kto tu pracuje? Paweł albo Adam?

Gniew Sary opadł. Ochłonęła równie szybko, jak wcześniej się wściekła. Paweł albo Adam. Tego pierwszego byłaby w stanie podejrzewać o różne rzeczy, ale nie miał dość mocy i odwagi na takie wybryki. Ten drugi pozostawał jednak zagadką. Młodzieniaszek nasłany prawdopodobnie przez Lidię. Mógł „podrzucić” ducha do komnat króla, w kolejnej próbie dyskredytacji Pierwszej. Mógł też posiadać wystarczające siły – Sokolska nie zdołała jeszcze w pełni wy badać jego możliwości.

– Wątpię, żeby Paweł. Może Adam. Byłoby najlepiej. Zajmę się tym...

Nie musiałyby szukać jakiegoś zakamuflowanego czarnoksiężnika, który jakimś cudem dołączył do pracowników lub mieszkańców Wawelu. W dodatku utarłaby Lidii ten śliczny nosek, gdyby jej poplecznik z hukiem wyleciał z zamku.

– To co mam teraz zrobić?

Sara wzruszyła ramionami.

– Przenieść się chwilowo do innej komnaty?

\*\*\*

Jednostka specjalna, zajmująca się usuwaniem paranormalnych zagrożeń z Krakowa i okolic, rzadko była wzywana do miejsc przyjemnych. Dość często wysyłano ich na cmentarze. Czasem do okolicznych lasów. Zdarzało się, że musieli odwiedzać piwnice lub rudery, z rzadka też stare kamieniczki, najczęściej w pobliżu Rynku, jakby centrum miasta automatycznie przyciągało problemy.

Jednak do urzędu miejskiego w Krakowie Wolfiego oddelegowano po raz pierwszy.

Urząd był okazałą budowlą zwieńczoną ozdobną attyką. Posadzono przed nim parę drzew, urządzono klomb. W przeszłości gmach kilka raz przechodził z rąk do rąk, stając się własnością kolejnych szlacheckich rodów – do dziś od jednego z nich chętnie zwano budynek Pałacem Wielopolskich.

– No to sprawdźmy, co się tu urzędnikom panoszy – westchnął Wolfi, spoglądając na swoją grupę, dziś występującą w nieco innym składzie niż zazwyczaj. Niski, ciemnooki Jacek, który potrafił przewidzieć przyszłość (niestety, najwyżej trzy minuty do przodu, ale to już nie raz uratowało im tyłki). Mag Marek, zdolny manipulować ogniem. I Pszczoła, czarownica o twarzy pokrytej bliznami. Akurat na Pszczołę Wolfi uparcie nie patrzył. Wcale nie ze względu na



blizny – gdy ostatni raz współpracowali, popisowo zwała akcję, doprowadzając przez to do śmierci członka zespołu, i Wolfi do tej pory nie mógł jej wybaczyć. Dziwił się, że w ogóle została w pracy. Nie zgadzał się też trzymać Pszczoły w swoim oddziale, choć czarownica mogłaby być w wielu wypadkach przydatna. Tego wieczora musiał zrobić wyjątek.

– A jak coś tam siedzi, to niby jak to wyczujesz, hę? – burknął Stas, od niedawna zarządzający jednostką specjalną. – Potrzebujesz czarownicy albo czarodzieja. Marylka ma urlop, Gonzo jest zajęty, Maciek wczoraj oberwał. Na jakieś straszne walki się nie zanosi, a do rozeznania młoda się nadaje.

Słońce już dawno zaszło, a z nieba sypał śnieg. Odwiedzili urząd po zakończeniu godzin pracy, żeby za wiele osób nie pałętało się im pod nogami. Magia, kurwa, w urzędzie miasta. Jak to brzmiało...

– Proszę, proszę... – Do środka wpuścił ich mężczyzna o rozbieganym spojrzeniu. Raz po raz rozcierał ręce i często zerkał na boki, jakby oczekiwał, że coś zaraz na niego wyskoczy z kąta. Jeśli Wolfi wcześniej by sądził, że ktoś tu się wygłupia, teraz musiałby uznać, że jednak coś było na rzeczy. – Konrad Mikołajczyk. Pan Wilczyński? Muszę zobaczyć...

Wolfi westchnął, wyciągając legitymację. Urzędnik sięgnął po nią, upuścił, podniósł, obejrzał i szybko wepchnął ją Wolfiemu z powrotem. Wyglądał, jakby w każdej chwili mógł zejść na zawal.

– Najwięcej... incydentów na drugim piętrze...

– Niechże pan się uspokoi – mruknął Wolfi, starannie skrywając irytację. – Do tej pory nie było ofiar, jak rozumiem? Problemy zaczęły się przed dwoma tygodniami. Pracownicy, przede wszystkim po zmroku, widują jakąś czarną istotę. Czy może pan powiedzieć coś więcej?

Mikołajczyk nie wydawał się zachwycony pytaniem. Po prawdzie, chyba marzył o tym, żeby jak najszybciej stąd uciec. W teorii jednostce specjalna przybyła tu, żeby pomóc, ale niektórzy obywatele nie mieli o niej najlepszej opinii. Wolfi był absolutnie pewien, że to przez nadawany od dwóch lat serial, „Magia i mieczem”

– jej pracowników uparcie przedstawiano tam jako idiotów, drani albo niebezpiecznych szaleńców, którzy albo utrudniają bohaterom działanie swoim przywiązaniem do procedur, albo sami są czarnymi charakterami. Szefostwo powinno w końcu pozwać producentów o zniesławienie.

– To takie... poczucie obecności – wymamrotał w końcu Mikołajczyk. – Kroki za plecami. Czasem słychać płacz. W szybach widać odbicie kogoś, kogo nie ma. Parę osób widziało... kobietę. Dwóch pracowników złożyło już wypowiedzenie, pani Jadzia tydzień temu dostała ataku serca. Mówiła coś o krwi, chociaż podłoga była czysta. Zawsze krążyły jakieś opowieści, ludzie plotkowali, czasem coś się zobaczyło, ale teraz przydarza się to ciągle. Wszystkim. Jeśli to nie ustanie, trzeba będzie przenieść urząd...

Urzędnik przesunął wzrokiem po podwładnych Wolfiego. Pszczoła zdjęła wprawdzie płaszcz, ale wciąż nie pozbyła się szalika, przysłaniającego część twarzy. Nawet w ten sposób nie zdołała jednak zakryć całej blizny i Mikołajczyk przez chwilę przypatrywał się czarownicy, która szybko odwróciła głowę. Na szponach strzygi było jakieś paskudztwo. Rany długo nie chciały się goić, mimo zastosowania zakłęb leczniczych.

– Kojarzysz coś? – spytał Wolfi, odwracając się ku niej, nieprzejęty tym, że najwidoczniej poczuła się urażona. – Nie pasuje do większości stworzeń, może to jakiś czar?

Znał różne magiczne kreatury, zwłaszcza te, którym zdarzało się siać zamęt w miastach. Opis ewidentnie jednak do żadnej nie pasował. Specjalistką od czarów była w ich grupie Pszczoła, choć i jej brakowało wiele do naprawdę wyedukowanych czarodziejów. Najpotężniejsi magiczni rzadko mieli ochotę nadstawiać karku w jednostce. Płaca może i była niezła, jednak spokojnie mogli zarobić tyle samo bądź więcej nie ryzykując przesadnie życia.

– To może być... rodzaj klątwy – przyznała ostrożnie kobieta, wciąż zapatrzona w ścianę. – Albo przywołanie jakiejś pomniejszej, demonicznej istoty. Gdyby była silniejsza, ktoś już by zginął.

– Czyli istnieje szansa, że nic nas nie zeżre – podsumował Jacek z krzywym uśmiezkiem, mającym niewiele wspólnego z prawdziwą wesołością. – Budynek jest pusty, mam nadzieję.

Sprawa nie wyglądała szczególnie poważnie. Nikt nie zginął, mienie nie uległo zniszczeniu. W urzędzie normalnie pracowano. Nie schodzili do jakiejś mrocznej piwnicy, w której ktoś regularnie rozrywa ludzi na strzępy. Mieli przede wszystkim ustalić, co się tu kręci. Mimo to lepiej, żeby żadni cywile nie pałętali się im pod nogami. Raz już ciągnano ich po sądach, bo ktoś znalazł się tam, gdzie nie powinno go być.

– Czujesz coś? – wymruczał później Wolfi, gdy badali korytarze i kolejne pomieszczenia, do których wstępu im udzielono. Tłumaczenie, że powinni móc wejść wszędzie, jeśli mają sprawdzić budynek porządnie, nie pomogło. Niektóre sale pozostały dla nich zamknięte.

Pszczółka pokręciła głową.

– Nic.

Wolfi zmarszczył brwi, odruchowo sięgnął dłonią do rękojeści miecza. Wartego majątek, posrebrzanego, zakłętego, wyświęconego i cholera wie, co jeszcze, ale często sprawdzającego się w walce z nadnaturalnym cholerstwem lepiej niż broń palna. Tyłu ludzi nie mogło mieć przecież zbiorowych omamów. Albo tu się coś zaległo, albo działała jakaś magia – a choć Pszczółka nie władała dużą mocą, to zazwyczaj bez problemu wyczuwała, że coś jest nie tak. Wolfiemu wcale się nie podobało, że niechciani lokatorzy urzędu pozostają niewidzialni dla szóstego zmysłu czarownicy.

– Jacek?

– Nic. Nie rozpraszaaj mnie. – Jacek szedł tuż za nim, nie zwracając dużej uwagi na otoczenie. Starał się skupić na przewidzeniu najbliższej przyszłości, na wypadek gdyby coś miało zaraz wyskoczyć na nich zza jakiegoś rogu.

– Em? Chłopak?

Dwóch „chłopaków” – i jedna dziewczyna – odwróciło się jak jeden mąż. Tyły obstawiał Marek, po którego palcach przeskakiwały iskry. W każdej chwili był gotów wezwać ogień do obrony. Nie patrzył na nich, a za siebie, w korytarz.

– Kurwa, mówiłem, że budynek ma być pusty! – wściekł się Wolfi, gdy wreszcie dotarło do niego, co zwróciło uwagę Marka. Młoda kobieta, ciemnowłosa, otulona ciemnym płaszczem, stała pod ścianą, przypatrując się im. Jacek i Pszczółka nie sygnalizowali niebezpieczeństwa, więc raczej nie był to żaden demon czy szalona czarodziejka. Przynajmniej taką Wolfi miał nadzieję. Jednak na wszelki wypadek powoli wy dobył miecz z pochwy. – Co się tak gapisz, paniusiu? Mów, kim jesteś i wypierdalaj!

Dziewczyna skinęła lekko głową, jakby chciała potwierdzić, że odejdzie, skoro on tego sobie życzy. Potem przeniknęła przez ścianę, obok której stała.

Wolfi z tępą miną przez chwilę obserwował miejsce, gdzie zniknęła. Nie przeraził się, bowiem widywał już różne dziwne rzeczy, ale to było coś nowego.

– Pszczółka?

Oszpecona twarz czarownicy wyrażała konsternację. Najwidoczniej to było coś nowego i dla niej.

– Nie wiem. Nie czuję zaklęć.

Marek powoli zbliżył się do ściany. Przyjrzał się jej uważnie, po czym zapukał.

– Cholera, czekasz, czy ktoś odpowie „proszę”? – wyburczał Jacek. Był spięty, ale nie przesadnie. Talent zawodził go rzadko i ufał, że zostanie ostrzeżony przed ewentualnym niebezpieczeństwem. – Czyli co? Włóczy się tu jakiś czarodziej?

– Który przełazi przez ściany i którego widują w odbiciach, a tak poza tym to przeocząją? Pszczoła, jest jakiś czar, który pozwala robić takie cuda?

– Chyba... chyba nie – wymamrotała niepewnie kobieta. Była czarownicą, nie czarodziejką, stąd znała niewiele tradycyjnych zaklęć. – No i nic nie czuję. Jest jeden taki, co potrafi wędrować poza ciałem, ale to jakieś wielkie halo, szycha, niezwykła magia, no i skoro ktoś tu bredził o krwi...

– Zajebiecie. Czyli co? Mamy ducha? – podsumował zrezygnowany Wolfi.

# ROZDZIAŁ DRUGI

## DUSZE CZUWAJĄ

– Jak nieźbicie wynika z badań naukowych, duchy nie pojawiają się samoistnie. Czasem pozostaje jakieś echo, coś na kształt... odcisku, ale niezdolne do komunikacji i świadomych działań. Wedle niektórych teorii, może dojść do tego, jeśli w momencie śmierci osoba odczuwała wyjątkowo silne emocje; dodatkowo zazwyczaj w miejscu, gdzie umarła, albo gdzie ją pochowano. Ale dzieje się tak bardzo rzadko. Umarli nie wracają sami z siebie.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem.

Sara siedziała bokiem na fotelu, przerzuciwszy nogi przez podłokietnik. Krystian Chmielewski, który zajął miejsce naprzeciwko, zachowywał dla odmiany w pełni wyprostowaną postawę.

Krystian, wiceprzewodniczący Loży Magii, wyglądał na osobnika po trzydziestce, jasne włosy miał tu i ówdzie poprzetykane przedwczesną siwizną, a w kącikach brązowych oczu rysowały się pierwsze zmarszczki. Nosił niemodne okulary w drucianych oprawkach. Na kolanach jak zwykle trzymał książkę. Sara mogła uchodzić za sporo od niego młodszą, a na jej widok zapewne niejedna starsza pani uznałaby, że dziewczyna właśnie wybiera się na czarną mszę. Kontrast między nimi od razu rzucał się w oczy.

– Czyżbyś interesowała się teoriami dotyczącymi duchów? – Brwi Krystiana powędrowały w górę. Przez chwilę przypatrywał się czarownicy, zaraz jednak znów skierował wzrok na szachownicę, ustawioną na stoliku pomiędzy nimi. – Tracisz gońca.

Palec czarodzieja przesunął się nad białą wieżę, wskazując ruch, nie dotykając jednak figury. Sara wyciągnęła rękę, sama przestawiła wieżę, a potem natychmiast wykonała też ruch czarnym pionkiem.

– Czemu tak cię to dziwi?

– Myślałem, że masz w pogardzie wiedzę teoretyczną... Jak zwykle działasz bez należytego namysłu i się odsłaniasz.

– Gdybym nad każdym ruchem zastanawiała się tyle, co ty, siedzielibyśmy nad tą partią do wiosny – wytknęła czarownica, poprawiając się w fotelu. – Wyjaśnisz wreszcie, czemu się fatygowałeś? Bo chyba nie po to, by ze mną zagrać albo dać mi wykład o duchach.

Odległość nie stanowiła dużej przeszkody dla Krystiana. Był jedynym spośród zarejestrowanych czarodziei, który potrafił opuścić ciało i wędrować w niematerialnej formie, dokąd tylko zechciał. Jego niezwykły talent musiał mieć jakieś ograniczenia, jednak znał je tylko sam Chmielewski. Co za tym idzie, był też prawdopodobnie jedyną osobą w kraju, która ot tak mogła pojawić się ni z tego, ni z owego w sypialni Sary. Absolutnie nic (a próbowała już naprawdę wielu rzeczy) dotąd go nie powstrzymało.

– Ranisz me serce. Może po prostu się stęskniłem? – zakpił. – Wszystko wskazuje na to, że macie w Krakowie prawdziwych gości z zaświatów. Coś takiego zdarza się rzadko. Dziwisz się, że Loża wyraża... zainteresowanie?

Nie dziwiła się. Była pewna, że to nastąpi, choć nie spodziewała się, że tak szybko. Duch pojawił się w komnatach Juliana rano, a już wieczorem w jej własnym pokoju także zmaterializował się niechciany gość.

– Ktoś ich przywołał. Muszę dowiedzieć się, kto i dlaczego, a potem to zakończyć. To wszystko.

Pozornie niedbale wzruszyła ramionami. Sprawa niepokoiła ją, ale prędzej dałaby się chyba obedrzeć ze skóry, niż przyznała do tego Chmielewskiemu. „Ktoś” albo musiał być potężny, ewentualnie szczególnie utalentowany w tej mrocznej dziedzinie magii, albo zawarł jakieś ryzykowne umowy. Na razie duchy zdawały się nieszkodliwe, Sara obawiała się jednak, że to się niedługo zmieni. W dodatku wszelkie naruszenia równowagi pomiędzy światem żywych i umarłych wywoływały w niej obawy – mogły nieść za sobą przykre konsekwencje, nie mówiąc o tym, że sprowadzały złe wspomnienia.

– Brzmi to tak prosto w twoich ustach, Piekielnico. Duch powstaje na Wawelu. Legenda pałacu Wielopolskich ożywa. Otrzymuję doniesienia o jakiejś Białej Damie, straszącej turystów. Tak dużo przypadków? Przywoływanie duchów wymaga mocy i wiedzy. W dodatku nie igra się ze śmiercią bez powodów. A co, jeśli ten ktoś pójdzie o krok dalej? W historii miały miejsce... mało przyjemne incydenty. Skoczek.

Sara z pozornie obojętną miną przestawiła konika szachowego Krystiana. Dała jej to chwilę na zebranie myśli i skonstruowanie sensownej odpowiedzi. Chmielewski może i wyglądał nieszkodliwie, ale należało zachowywać przy nim daleko posuniętą ostrożność. Nie chodziło tylko o to, że ukończył studia z notami, jakich nie osiągnął nikt w historii Wydziału Magicznego. Jego informatorzy byli bezbłądni, potrafił też wysnuwać właściwe wnioski.

– Opętania zdarzają się, ale od dawna nie udokumentowano żadnego przypadku, w którym maczałby palce duch. Jeśli zaś boisz się przywracania do życia... Naprawdę sądzisz, że mógłby trafić się nam drugi Twardowski?

Nie chodziło o to, że to co zrobił – czyli przywołanie do życia zmarłej królowej – było głupie. Bardzo wielu ludzi ożywiłoby tych, którzy odeszli, nie przejmując się ewentualnymi konsekwencjami. Wymagałoby to jednak mocy, jaką od czasu zniknięcia Mistrza Jana nie dysponował żaden śmiertelnik. Prawdopodobnie Krystian i Sara razem wzięci nie byłiby w stanie mu dorównać.

– Zdołałaś zapanować nad jego lustrem.

Na moment uniosła na niego wzrok, a przez jej bladą twarz przebiegł grymas wściekłości. Przesunęła figurę, nawet nie patrząc na szachownicę, i pozbawiła Krystiana hetmana.

– I co z tego? Teraz chodzę i przywołuję sobie dla zabawy duchy?

– A nie?

Pionki posypały się po podłodze, gdy czarownica szybkim ruchem porwała szachownicę i cisnęła nią prosto w Chmielewskiego. Odruchowo spróbował zrobić unik. Spóźnił się o ułamek sekundy, drewno jednak przeniknęło przez jego głowę i uderzyło o ścianę.

– Właściwie to dobrze, bo zaczynałaś wygrywać – skomentował po chwili, znów się prostując. Wodził spojrzeniem za wściekłą czarownicą, która poderwała się z miejsca i zaczęła krążyć po pomieszczeniu. Nie pierwszy raz miała problemy z zapanowaniem nad własnymi emocjami. On dla odmiany pozostawał doskonale spokojny, co tylko jeszcze bardziej denerwowało Sarę. – Znów zachowujesz się jak dziecko.

– Przywołałam ducha raz – wycodziła Sara, zatrzymując się i zaciskając palce na oparciu fotela, z którego dopiero co wstała. Zdołała zapanować nad mięśniami twarzy, w głosie jednak wciąż pobrzmiwały wściekłe nuty. – W konkretnym,

kurwa, celu, kiedy odmówiono pomocy, a ja nie mogłam być wszędzie jednocześnie!

– Nie unos się tak – poradził z niewzruszonym spokojem Krystian. – Siadaj. Dobrze wiesz, że musiałem zapytać. To mroczna, rzadko spotykana magia, z którą ty raz już dałaś sobie radę.

Nie usiadła. Być może po części właśnie dlatego, że zasugerował, żeby to zrobiła. Przesadzała, wiedziała o tym, jednocześnie jednak w pewnych sytuacjach miała problemy z racjonalnym zachowaniem. Logika Sary często ustępowała miejsca gniewowi.

Nie zachowuj się jak dziecko, wiedźmo – słowa rozbrzmiały w jej głowie, sprawiając, że jeszcze mocniej zacisnęła zęby.

– Świetnie. Ducha wsadziłam Julianowi do pokoju, żeby go zdenerwować. Zadbałam też o nawiedzenie urzędu, bo urzędnicy mnie wkurzają. A ten duch zamordowanej dziewczyny w parku? Niby czemu go przyzwałam? Albo martwa staruszka siadająca obok łóżek pacjentów w jednym ze szpitali?

– Nie wiem. Po co miałby robić to ktokolwiek inny? – Chmielewski wzruszył ramionami. – Mamy tu problem. Ludzie się boją, a samo zjawisko jest ze wszech miar niepokojące...

– Och, MY mamy problem. Jak miło – burknęła Sara, odpychając się od krzesła i wracając do krążenia po pokoju. Z jednej strony słowa Krystiana oznaczały deklarację, że tym razem inni magiczni nie mają zamiaru udawać, że nic się nie dzieje i zostawić czarownicy samej z problemami. Ostatnio takie postępowanie omal nie doprowadziło do zniszczenia stolicy i tym razem ani Loża, ani nadworna czarownica nie chciały ryzykować bezpieczeństwa miasta, odrzucając możliwość współpracy. Z drugiej, Sara naprawdę nie lubiła, kiedy ktoś pałętał się jej pod nogami i patrzył na ręce. – Sądźmy, że to duch Alberta Łukomskiego.

– Doprawdy? – Krystian zdjął okulary, teatralnie dmuchnął na zupełnie czyste szkło. Skubany, wiedział, oczywiście. Z pewnością otrzymał już stosowny raport. Sara chwilami miała wrażenie, że jego podwładni przekazują mu informacje telepatycznie. – Jeśli dobrze pamiętam, to brat pradziadka obecnego króla. Panował zaledwie dwa miesiące.

– Nie zasłynął z miłego usposobienia. Trudno się dziwić, że ktoś postanowił go zastrzelić<sup>3</sup> – wymruczała czarownica. – Sprawdź krypty. Zamknęliśmy je dla zwiedzających. Tam odczyty są zakłócone, może ktoś się w nich bawił...



– ...i można spróbować zniszczyć ciało, jeśli egzorcyzmy zawiodły – dokończył Krystian, a Sara spojrzała na niego krzywo. To rozwiązanie zaproponował Adam i musiała niechętnie przyznać, że pomysł miał szansę się sprawdzić. – O co z pewnością bardzo wiele osób będzie mieć pretensje. Podania, zgody, protesty...

Twarz czarownicy wykrzywiła się jeszcze bardziej. Wyglądała, jakby znowu miała zamiar coś rzucić. Nie znosiła biurokracji. Pomijała ją, kiedy tylko mogła, a nawet wtedy, kiedy nie mogła, czasem generując tym samym nowe problemy. Ekshumacja zwłok dawnego władcy, w dodatku w celu ich unicestwienia, wiązałyby się z całym stosem dokumentów i pozwoleń, gdyby chciała załatwić to w oficjalny sposób.

– Mamy wkurwiającego ducha, a ta magia jest niebezpieczna. Chrzanię pretensje. W takich sprawach jestem wyższą instancją.

– A król...?

– Król poleciłby mi podpalić całe krypty, byleby pozbyć się lokatora – prychnęła Sara. Przykucnęła przy stoliku i zaczęła zbierać rozsypane po podłodze figury. Mogła wygrać tę partię, ale poniosła ją złość i w konsekwencji nie było zwycięzcy.

Krystian przypatrywał się jej jeszcze przez chwilę, nim znikł.

\*\*\*

Myśl o pokazaniu księgi Kaliny Krystianowi zrodziła się w głowie Sary i zaledwie po kilkunastu sekundach umarła. Prawdopodobnie Chmielewski ze swoimi licznymi kontaktami – ba, siatką szpiegowską niemalże! – byłby w stanie nie tylko przetłumaczyć tekst lepiej niż Sara, ale też ustalić jego pochodzenie i odkryć, jak trafił w ręce Czerwonej Iskry. Po pierwsze jednak, czarownica musiałaby wyjaśnić, skąd w ogóle to cudo ma, a po drugie, rozpowszechnianie takiej wiedzy nie wydawało się jej najlepszym pomysłem.

Pojawienie się duchów znów skierowało myśli Sary ku podejrzanym zapędom Kaliny i znalezionej książce. Próby uzyskania nieśmiertelności były czymś, co magiczni podejmowali od setek lat i co w najlepszym razie kończyło się niepowodzeniem – w najgorszym wyrastającymi kłami, pazurami, czasem nawet futrem. Twardowski zaczął bawić się w konszachty z demonami, by wreszcie ożywić królową – i w rezultacie zmusiło go to do ucieczki na drugą stronę lustra.

Ludzie nie byli nieśmiertelni. Magia dawała odporność na wiele chorób, mogła trochę przedłużyć życie, walczyć z oznakami starości. Większość czarodziei dożywała w dobrym zdrowiu jakichś stu pięćdziesięciu lat. Ale moc nie zapewniała wiecznego życia. Pogoń za kamieniem filozoficznym, eksperymenty z krwią i eliksirami, podejrzone rytuały – to wszystko po prostu nie skutkowało. Zaś zapiski znalezione w domu Kaliny sugerowały, że istnieje jedna furtka – wystarczyło „przestać być człowiekiem”. Ich lektura wywoływała u Sary dreszcze, bo przecież było w tym trochę racji. Tak stało się przecież w pewnym sensie z Klausem. On jednak nigdy nie był w stu procentach zwykłym śmiertelnikiem, więc czy mogło to zadziałać w przypadku normalnych ludzi? I dlaczego, na Merlina i Morganę, interesowała się tym Kalina?

Nigdy nie odnaleziono jej ciała. Poszukiwania prowadzili najlepsi czarodzieje Łoży oraz kilku znamienitych przedstawicieli Konwentu Europejskiego. Kaliny szukali ludzie króla, prywatni detektywi i policja. Całe śledztwo utrudniał fakt, że Czerwona Iskra była naprawdę bardzo, bardzo dobra w ukrywaniu swoich sekretów, lubiła też czasem płatać drobne psikusy. Używano potężnych zaklęć, do których poprawnego rzucenia potrzeba było kilku osób. Żadne – jak dowiedziała się Sara dopiero jakiś czas po objęciu stanowiska – nie zdołało nawet zawyrokować z całą pewnością, czy poszukiwana osoba pozostaje żywa, czy jest już martwa. Ostatecznie wszyscy zgodzili się, że Czerwona Iskra zginęła, bo niby gdzie miałyby się podziewać? Czarodziejki takie jak ona nie znikają bez śladu. Była ekscentryczna, ale na pewno nie na tyle, aby nagle zaszyć się gdzieś w Himalajach w poszukiwaniu oświecenia. Wcześniej też nic nie wskazywało na to, że spodziewa się jakichś kłopotów.

Przynajmniej wedle wersji oficjalnej. Sara teraz z całą jasnością widziała, że to nie do końca tak. Kalina szykowała sobie następczynię. W dodatku nie szukała jej pośród dawnych uczennic, przyjaciół czy utalentowanych studentów. Wybrała małą Sarę, niechętną ofiarowanej pomocy, oporną, zbyt upartą, łatwo wpadającą w złość. Silną, ale byli i inni, także silni, którzy przyjęliby protekcję Kaliny z pocałowaniem ręki. Nie głupią, jednak na pewno nie genialną, daleko ustępującą pod względem intelektu oraz wiedzy takiemu Chmielewskiemu. Mogło chodzić tylko o jedno: moc Sary była stara, a czarownica dobrze znała mroczne rodzaje magii i pamiętała czasy, gdy istoty obecnie zepchnięte w cień chodziły pomiędzy ludźmi.

Kalina nie hodowała by sobie takiej konkurencji bez powodu. Musiała wiedzieć, że może zniknąć. Musiała też sądzić, że po jej odejściu w Krakowie może zacząć się dziać coś bardzo nieprzyjemnego. Coś, z czym konwencjonalne metody, w innych sytuacjach wystarczające, pozostaną nieskuteczne. To nie byłoby już ważne

– Kalina odeszła, koniec, kropka, zagadka jej zniknięcia szybko przestała zaprzętać głowę Sary – gdyby nie sztylet, w jakiś sposób łączący dawną Pierwszą z nocnym królem.

A o wszystkim, co wiązało się z nim, czarownica myślała często.

\*\*\*

Filmik został nagrany koło dwudziestej. Godzinę później trafił do sieci, a następnego dnia do większości mediów. Kiedy dzieje się coś makabrycznego, a wokół przebywa cały tłum ludzi, ktoś na pewno sięgnie po aparat albo telefon komórkowy.

Początkowo mało kto zwrócił uwagę na chłopaka wędrującego po Rynku. Zima zmusiła kawiarnie do ukrycia kolorowych parasoli, a bywalców do przeniesienia się do ogrzewanych pomieszczeń, centrum miasta nie było jednak opustoszałe. Turyści fotografujący kościół Mariacki po zmroku, studenci wracający z ostatnich zajęć, mieszkańcy przemierzający się pomiędzy lokalami – był tylko jednym z wielu, a zapadające wcześniej ciemności utrudniały dostrzeżenie pewnych szczegółów. Później nie dało się już stwierdzić, kto pierwszy zauważył Tomasza Lemiatowskiego – prawdopodobnie było to jakieś dziecko, bo uwagę innych ściągnął dziecięcy krzyk.

Chłopak mógł mieć najwyżej dwadzieścia parę lat. Mimo mrozu nie miał ani czapki, ani szalika. Jego jasne włosy były pozlepiane i przyprószone śniegiem, a policzki blade. Ciemny płaszcz i buty, które nosił, wyglądały na nowe, dobrej jakości, a ich barwa sprawiała, że trochę trudniej było dostrzec na nich krew. Czerwień znaczyła jego klatkę piersiową, plamiła plecy, zostawiła krwawą smugę na szyi. Skórzane rękawiczki też były uwalane krwią.

Jak na kogoś, kto ewidentnie odniósł ciężkie obrażenia, wykazywał się zadziwiającą żywotnością. Filmik pokazywał, jak krąży w kółko przy Sukiennicach, wprawdzie z nieobecny wyrazem twarzy, jakby był w szoku, ale zupełnie sprawnie. Jakaś odważniejsza kobieta próbowała pytać, czy nie potrzebuje pomocy

– nie padała jednak żadna odpowiedź. Ktoś poza zasięgiem kadru krzyczał, że wzywa policję. Chłopak zachowywał się, jakby nie widział zamieszania wokół:

ludzi przystających, żeby popatrzeć, i tych, którzy na jego widok czym prędzej się oddalali. Zdawał się czegoś szukać, nie reagował na żadne kierowane do niego słowa. A potem rosły mężczyzna – zdaje się, że medyk – podszedł wreszcie bliżej, próbując dotknąć nieszczęsnej ofiary, by zbadać, jak poważne są obrażenia.

Jeśli nie patrzyło się dostatecznie uważnie, można było przegapić, że ręka lekarza przeniknęła na wylot przez okrwawione ramię. Nie dało się jednak przeoczyć tego, że chwilę później chłopak po prostu przeszedł przez samego niedoszłego samarytanina – zupełnie, jakby jednego z nich tam nie było.

– Chodzi tu tak od wczoraj? – spytała Sara, obserwując, jak chłopak w płaszczu niezmordowanie krąży koło Sukiennic. Niebo dopiero szarzało – zimowy świt nastawał późno. Płatki śniegu osiadały na czarnych włosach wiedźmy. Ludzie zaczęli kręcić się w okolicy, policja jednak odgrodziła część placu, nie dopuszczając za blisko gapiów.

– Nieustannie – potwierdził ze zmęczeniem dowodzący akcją Ostrowski. – Tomasz Lemiatowski, lat dwadzieścia trzy. Student czarodziejstwa i magii stosowanej. Koledzy rozpoznali go na filmiku, przyszli tu, a potem zgłosili się do nas.

– Brak reakcji na bodźce? – mruknęła nieuważnie czarownica.

– Brak. Jakby nie dostrzegał niczego, co dzieje się wokół.

Sara przygryzła wargę. Duch w komnatach Juliana pozostawał jak najbardziej świadomy istnienia żywych i z dużym zaangażowaniem obrażał wszystkich dookoła, wydawał im rozkazy oraz groził śmiercią. Właściwie wydawało się, że nie wie, że umarł i dalej uważa, że jest władcą Polanii. W przypadku Lemiatowskiego sytuacja była zupełnie inna, bardziej przypominał owe „echo”, o którym opowiadał Krystian, ale skoro w Krakowie masowo materializowały się duchy, nie mogła uznać, że sprawy nie są powiązane. A szkoda. Ze zmęczeniem pomyślała o tym całym zamieszaniu: wcześniej chociaż duchy miały na tyle przyzwoitości, by pojawiać się tylko tam, gdzie nie dopadną ich media...

– Coś jeszcze?

– Tak. We wtorek rano był na zajęciach. Musiał zginąć pomiędzy dwunastą we wtorek, a dwudziestą w czwartek. Zakładając, że faktycznie nie żyje, ale w tej sytuacji... Wykluczylismy iluzję. Szukamy ciała i próbujemy się dowiedzieć, kto widział go ostatni.

Sara skinęła głową. Kto i dlaczego zabił Tomasza, samo w sobie nie bardzo ją interesowało. Na świecie każdego dnia umierali ludzie. Problem polegał na tym, że znakomita większość z nich po śmierci nie powracała. Śledztwo w sprawie śmierci Lemiatowskiego należało do policji. Ona miała dowiedzieć się, co sprawiło, że duch pozostał po tej stronie. Ruszyła w kierunku Tomka po rozmiękłym, brudnym śniegu. Nie zwrócił na nią uwagi, wciąż kontynuując wędrówkę. Krążył niespokojnie, rozglądał się na boki, jakby na kogoś czekał, nie zatrzymał jednak wzroku na nikim, kto przebywał obecnie na Rynku. Sara zbliżyła się, próbując wyczuć w powietrzu magię. Aura Rynku jednak pozostawała taka jak zwykle – rozdygotana, niejednorodna, nosząca ślady rzucanych tu nieustannie drobnych zaklęć, ale nieodbiegająca w żaden sposób od normy. To na swój sposób było równie niepokojące, jak samo krwawe widmo: duchy pojawiały się, a Sara nie wyczuwała żadnych śladów magicznej ingerencji.

Czarownica długo obserwowała ducha, stojąc zaledwie kilka kroków od niego. Wiatr szarpał kolorowy szalik i krótkie czarne włosy Sary, nie dotykał jednak płaszcza chłopaka. Płatki śniegu przenikały przez ducha, opadając na ziemię. Lemiatowski pozostawał niematerialny, jak książkę, którego Sara sprowadziła przed kilkoma miesiącami. Nienależący już do świata żywych, ale przywiązany do niego cudzą mocą.

Dopiero po dobrych dwudziestu minutach czarownica zaprzestała obserwacji. Podeszła bliżej i obesła ducha, przypatrując się plamom na jego ubraniu. Wyglądało na to, że umarł z powodu wykrwawienia. Przez płaszczy trudno było z całą pewnością określić, czym zadano rany, ale obstawiałaby kulę, ewentualnie dźgnięcie czymś ostrym. Tomek raz przeszedł przez jej ramię, lecz nie towarzyszyły temu żadne sensacje. Wiedziała, że próbowano już z nim rozmawiać, ale bez skutku. Zignorował zarówno policjantów, jak i dwójkę swoich kolegów, którzy usiłowali nawiązać kontakt.

Jak go przywołano? Kto, dlaczego? I przede wszystkim... jakim cudem powracało coraz więcej duchów?

Sara nie próbowała nawiązać kontaktu w tradycyjny sposób. Przykucnęła, zaczęła powoli przesuwając się po okręgu, wodząc palcem nad rozmokłym śniegiem i nucąc coś cicho. Znaki rozblyskiwały na moment, by zaraz zniknąć. Wyciągnęła sztylet, lekko nacięła skórę na nadgarstku, pozwoliła, by krew kapnęła na ziemię. Szukała wskazówek, usiłowała sięgnąć do niewidzialnych śladów, które musiały

pozostać na krakowskim Rynku. Duch przecież nie powinien pojawić się tutaj bez powodu. Magia rozlała się wokół, a tuż obok Sary rozległo się ciche przekleństwo.

Poderwała się i zrobiła krok, by oddalić się od kręgu. Lemiatowski wciąż krążył niespokojnie, teraz jednak mruczał coś pod nosem i rozcierał dłonie. Rozglądał się dookoła, tak samo jak przedtem, ale spojrzenie miał znacznie przytomniejsze, a krew nie płamiła już jego ubrania. Wciąż ewidentnie nie dostrzegał – lub też nie chciał dostrzec – Sary. Na moment oparł się o budynek, by zaraz znowu powrócić do spaceru. Czarownica przekrzywiła lekko głowę. Może faktycznie na kogoś czekał? Nie usłyszała ani nie zobaczyła nikogo poza Tomaszem, ale chłopak nagle stanął w miejscu i opuściwszy głowę, spojrzał na swoją klatkę piersiową. Z jego ust wydobył się zdławiony okrzyk. Lemiatowski uniósł ręce do piersi i padł na kolana, zaś sekundę później zwałił się na ziemię.

Znaki rozbłysły raz jeszcze, po czym duch znikł.

Sara uniosła brwi. Tego ostatniego się nie spodziewała. Usiłowała jedynie zmusić miejsce do pokazania jej, co działo się tu ostatnio, a tymczasem chyba sprawiła, że duch odtworzył ostatnie chwile swojego życia i po powtórnym śmieci znikł na dobre. Efekt był jednak całkiem przydatny – duch mógł odstraszać turystów. Choć i tak musiała przyznać, że po prostu liczyła na odkrycie czegośkolwiek.

– Panowie! – zawołała. – Wygląda na to, że wasza ofiara zginęła właśnie tutaj! A skoro nikt tego nie zauważył, to pewnie nocą.

Cofnęła się jeszcze o krok, jednocześnie odcinając umysł od śladów pozostałych po śmierci chłopaka. Nie chciała odczuwać jego szoku, bólu i przerażenia. Szkoda tylko, że wiedza o tym, jak i gdzie zginął, tak niewiele jej dawała.

\*\*\*

„Czuwamy”.

Napis umieszczony za panowania poprzedniego króla na baldachimie skrywającym wejście do krypt tego dnia wydawał się Sarze szczególnie adekwatny do sytuacji. Niestety – dusze faktycznie czuwały. Zwłaszcza jedna, a Sara przez chwilę nawet poczuła się nieco dziwnie na myśl o zejściu do korytarzy umieszczonych pod katedrą. Szczątki dawnych królów Polanii by jej nie przeszkadzały, gdyby pozostały tylko szczątkami.

– Sarkofag Aleksandra Łukomskiego obecnie znajduje się w Krypcie Srebrnych Dzwonów, ale oczywiście musimy sprawdzić całe podziemia – poinformował

Adam, idący za czarownicą. Był niski, brązowowłosy, blady i piegowaty. Zdaniem Sary należał do osób wyjątkowo irytujących, ale że Sokolską irytowali niemal wszyscy, trudno byłoby uznać ją za wyrocznie w kwestii cudzych charakterów. – Powiedz mi coś, czego nie wiem – odparła bezbarwnym głosem, schodząc w dół. Musieli przemierzyć korytarze, którymi połączono poszczególne krypty, poszukując jakichkolwiek odchyłeń od normy. A w przypadku braku takowych, wbrew wszelkim przepisom i w głębokiej tajemnicy (której pewnie i tak nie da się utrzymać, skoro poinformowano Łożę) otworzyć jeden z sarkofagów, zniszczyć ciało i odprawić stosowny rytuał. Brzmiało prosto. Mimo to czarownica miała głowę pełną złych przeczuc, na jakie zazwyczaj sobie nie pozwalała. Po raz kolejny zastanowiła się, czy przenosiny na Hawaje nie byłyby dobrym pomysłem. Chociaż nie, źle znosiła nadmiar słońca i zbyt wysokie temperatury. Może w takim razie Norwegia?

Minęli pierwszą kryptę, gdzie znajdowały się groby kilku bohaterów narodowych oraz przynajmniej dwóch szczególnie zasłużonych Pierwszych. Starannie odnowiona, trochę przypominała Sarze wnętrze małego kościoła. Nie znaleźli też niczego w drugiej, gdzie spoczywał Stefan Łukomski, pierwszy władca tego nazwiska na polańskim tronie. Krypta ukryta pod Wieżą Srebrnych Dzwonów leżała niemalże na samym końcu i nim do niej dotarli, Sara miała już serdecznie dość. Podchodziła do każdego sarkofagu, badała ściany, szukała jakichkolwiek nieprawidłowości. Chwilami zdawało się jej, że coś po niej pełza, ale nie było niczego, co wskazywałoby na naruszenie zaklęć ochronnych.

Nic obcego nie zagościło w aurze Wawelu.

Może dlatego, że duch tak naprawdę nie był obcy? – przeszło jej przez myśl, gdy dotarli wreszcie do kamiennego piedestału, na którym umieszczono przypominający nieco trumnę sarkofag Aleksandra. Kiedyś mieszkał na Wawelu, był jego panem. Ludzie mogli zapomnieć, krótko panujący król stał się tylko paroma linijkami w podręcznikach historii, ale tu ślad pozostał.

– Naprawdę sądzisz, że to podziała, czy tylko chcesz wpędzić mnie w kłopoty?

– mruknęła, przesuwając dłonią po ciężkim wieku. Adam uśmiechnął się do niej, a Sarze od razu przypomniał się przyjaciel Juliana, Kacper. To nie było miłe skojarzenie: Kacper był sprytny, złośliwy i zawsze coś knuł.

– A jeśli to drugie, to czy kłopoty są dla ciebie jakąś nowością?

– Ostatnio żadną – przyznała w zamyśleniu, odsuwając się i pozwalając, by Adam wyszeptał odpowiedni czar. Tak naprawdę wciąż sądziła, że to on mógł przywołać ducha i stąd tak szybko odkrył możliwy sposób na zaradzenie problemowi. Tylko co z innymi? Adam opuszczał Wawel rzadko, tymczasem informacji o gościach z zaświatów przybywało. Każda kolejna utwierdzała czarownicę w przekonaniu, że ktoś nie tylko maczał palce w magii, której tykać nie powinien, ale i sięgnął po nieludzką pomoc.

Wiek uniosło się, poderwane zaklęciem Adama. Trup nigdzie nie wywędrował. Zapach nie należał do najprzyjemniejszych, choć samo ciało nie robiło na Sarze wrażenia: widywała już znacznie gorsze rzeczy. Dość obojętnym spojrzeniem zmierzyła szczątki, a potem przyglądała się, jak Adam rzuca kolejny czar. Pozwoliła mu dokończyć inkantację, nie mając pojęcia, czy jego zaklęcia ochronne przyniosą jakikolwiek efekt, po czym wyciągnęła z kieszeni zapalniczkę i pstryknęła. Błękitne iskry posypały się na jej palce.

– W proch – wymruczała cicho. Łukomski był w tej chwili tylko padliną, przynajmniej dla Sary, nieposiadającej wielkiego szacunku wobec doczesnych szczątków. Bez wahania pozwoliła więc ognikom zeskoczyć na ciało i zacząć je pochłaniać. Wolną ręką przesunęła po twarzy, pomasowała skronie. Ubytek energii nie był bardzo wielki, ale nagły i wywołał pulsujący ból głowy. Adam z zaciekawieniem obserwował, jak trup rozsypuje się w proch, potem odprowadził uważnym spojrzeniem dłoń Sary, gdy chowała zapalniczkę pokrytą runami do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Artefakt pod postacią zapalniczki?

– Nie do końca – odparła krótko. Sądząc po jego minie, najwyraźniej liczył na jakieś dodatkowe wyjaśnienia, ale żadne nie padły. Sara wycofała się, zaczęła, aż Adam zatrzaśnie z powrotem wieko i zapieczętuje je odpowiednim zaklęciem. W końcu po co ogłaszać wszem i wobec, co zrobili? Nikt za szybko nie zajrzy do sarkofagu.

– Chodźmy sprawdzić efekty – westchnął czarodziej, wychodząc na korytarz. Zatrzymał się w pół ruchu, tak nagle, że Sara omal na niego nie wpadła. Syknęła cicho ze złości i odruchowo odskoczyła. Nie od razu dostrzegła to, co zwróciło uwagę Adama. Dopiero gdy wskazał ręką, zauważyła mglistą, niewyraźną sylwetkę stojącą w korytarzu.

– Kurwa mać – wyrwało się jej. – I to ma być efekt twoich zaklęć?



– Te zaklęcia nie działają w ten sposób! – zaprotestował Adam, a minę miał tak zdumioną, że prawie mu uwierzyła. Prawie. – Może to ta twoja dziwaczna zapalniczka?

– Ona koncentruje moc, kretynie! I na pewno nie wystarczy do przywołania duchów. Zejdź mi z drogi.

Przepchnęła się obok czarodzieja i podeszła do ducha. Gnana złością zapomniała o środkach ostrożności: nie pomyślała nawet, że to mógł być podstęp. Ale nie był.

Kobieta – chyba dość młoda, ale o zniszczonej twarzy, odziana w jasną szatę – spojrzała na Sarę z ciekawością, po czym kiwnęła jej głową i uśmiechnęła się. Nie była ani tak nieświadoma jak chłopak z Rynku, ani tak wściekła jak dawny król, który zagnieździł się w pokojach Juliana. Czarownica – nieco zdumiona tym uprzejmym powitaniem – straciła rezon. Zresztą sama nie wiedziała do końca, co właściwie chciała zrobić. Sprawdzić, z czym mają do czynienia tym razem? Zaatakować? Kobieta uniosła rękę, machnęła nią i ruszyła korytarzem. Czy ja śnię? – zastanowiła się zirytowana Sara. Wahala się przez moment: duch mógł w teorii wciągać ją w jakąś pułapkę, ale przecież to był Wawel, tu moc Sary, moc Pierwszej, pozostawała największa. Dlatego ostatecznie ruszyła w ślad za widmem, nie zwracając uwagi na ciche protesty Adama.

Kobieta zatrzymała się przy wejściu do jednej krypt. Sara zajrzała do środka i poczuła, że robi się jej niedobrze.

W środku snuły się duchy.

---

<sup>3</sup> Pierwszy, nieudany zamach na Alberta Łukomskiego, miał miejsce w dniu jego koronacji, 7 maja 1920 roku. Zamachowiec usiłował zabić świeżo koronowanego monarchę za pomocą czarów, spłonął jednak żywcem, uśmiercony przez Alfreda Potockiego, ówczesnego Pierwszego Czarodzieja Polanii. Tożsamości napastnika nigdy nie ustalono. Dwa miesiące później króla zastrzelono podczas spotkania z ambasadorem Avenburga. Zabójca, Dorian Laven, popełnił samobójstwo zaledwie chwilę później. Wywołało to pogorszenie stosunków pomiędzy państwami.

# ROZDZIAŁ TRZECI

## BIAŁA JAK ŚNIEG

Lubiła Kraków o trzeciej nad ranem – cichy, ciemny i spokojny. Tylko w niektórych oknach wciąż płonęły światła, widomy znak, że ktoś czuwa pomimo późnej pory.auta z rzadka przejeżdżały zwykle ruchliwymi ulicami. Z dala od nocnych klubów ciężko było napotkać jakichś przechodniów, zwłaszcza w grudniu, gdy oddech zamieniał się w parę, a śnieg skrzypiał pod podeszwami butów. Minęła dwóch podchmielonych studentów wracających z domówki, a przechodząc przez jedno z osiedli natrafiła na starszego pana wyprowadzającego psa. Jednak mało kto decydował się na spacer o tej porze. Nocne wędrówki po opustoszałym mieście przynosiły spokój, którego Sara nie mogła odnaleźć za dnia.

Krążyła po Krakowie przez dobre dwie godziny, bezcelowo przemierzając główne ulice i ciasne zaułki. W końcu nogi zanosły czarownicę tam, gdzie od czerwca ciągnęło ją niezmiennie: do Parku Łukomskiego. Większość jej nocnych wędrówek kończyła się właśnie w tym miejscu. Nawet gdy uparcie próbowała wybierać inne kierunki, wystarczyła chwila zamyślenia, by bezwiednie skręciła w stronę parku. Nie umiała tego wyjaśnić. Po potyczce z nocnym królem nie pozostały żadne ślady, przynajmniej pozornie – jednak ludzie nawet za dnia jakby rzadziej niż kiedyś przemierzali parkowe aleje. Może przyczyną był zwykły strach? W końcu w zeszłym roku media bardzo szybko rozpowszechniły informacje o tym, że to miejsce zostało odcięte od świata i kumuluje się w nim zła energia. W gazetach później pojawiło się zdjęcie zniszczonej alejki, zwalonego drzewa, resztek ławki. A może innych odganiało to samo, co ją przyciągało? Nieokreślone poczucie dawnej obecności?

Istniały rodzaje magii, które zawsze wabiły czarownice.

Księżyc wyjrzał zza chmur, gdy przeskakiwała przez ogrodzenie. Na nagich gałęziach drzew osiadł szron, biel przysypała krzaki i żywopłoty, zasy py zalegały na trawnikach. Ścieżki były śliskie, błyszczące od lodu. Sara szła więc ostrożnie, patrząc pod nogi – i gdy uniosła głowę, by spojrzeć na ławkę postawioną w miejscu tej, na której niegdyś siedział nocny król, miała wrażenie, że krew

zamarzła jej w żyłach. Bo ktoś tam był – początkowo mogłaby przysiąc, że właśnie on. Ale nie. To była dziewczyna, w stroju niepasującym do pory roku, bez kurtki, za to z mocnym makijażem na twarzy. Siedziała na ośnieżonej ławce, obejmując się ramionami. Sara może przesłaby obok niej obojętnie, ale to miejsce, ta ławka i fakt, że młoda kobieta tak mocno odstawała od otoczenia, zatrzymały czarownicę.

– Cześć – rzuciła Sara, podchodząc bliżej. Z bliska mogła stwierdzić, że dziewczyna nie jest ładna, jedynie wystrojona i wymalowana. Nos jak kartofel, zbyt podłużna twarz, jasne pasemka we włosach zniszczonych od prostowania. Brak gęsiej skórki na nagich, opalonych ramionach, siniaki na szyi. – Jesteś martwa?

– Cześć – usłyszała w odpowiedzi czarownica. Do tej pory żaden duch nie był zbyt skłonny do kontaktu. Dziewczyna wyprostowała się i wyciągnęła przed siebie nogi. – Chyba tak. Pamiętam, jak umierałam i mogę przenikać przez drzewa, więc na to wygląda. A ty? Jesteś jakimś medium, też martwa, czy coś?

– Bardziej „czy coś” – odparła uczciwie Sara. Kontakty z drugą stroną istnienia były czymś, czego zazwyczaj pilnie unikała. Teraz jednak zgarnęła ręką śnieg z ławki i przysiadła na zimnym drewnie. Park Łukomskiego w księżycowe noce był miejscem, w którym nic nie mogło jej zaskoczyć. Nawet pogawędki ze zmarłymi przyjmowała jako coś oczywistego. – Wiesz, dlaczego wróciłaś? Widziałaś jeszcze jakieś... duchy?

– Nie, raczej nie. Ostatnie co pamiętam, to jak mnie dusił jeden taki. Chyba że właśnie chodzi o tego palanta, który mnie zabił? Niedokończone sprawy i tak dalej? I widziałam. Tak sądzę. Jedna taka się tu dziś włóczyła, ale nie chciała ze mną rozmawiać...

Dziewczyna westchnęła, odchyliła głowę, by spojrzeć na gwiazdziste niebo. Siedziały przez chwilę w milczeniu, dwie kobiety na ławce, w parku pełnym śniegu. Jedna żywa, druga martwa.

– Strasznie chciałabym zapalić – wyznała dziewczyna. – Alka jestem. Myślisz, że mogłabyś powiedzieć policji, kto mnie tu utłukł?

– Myślę, że mogłabym – oceniła Sara po chwili wahania. Altruizm nie leżał w jej naturze, ale przekazanie tej informacji nie kosztowałoby wiele. – To jakoś ci pomoże? Sądzisz, że wtedy... pójdziesz dalej?

Echa po zmarłych powstawały głównie wtedy, gdy umierający odczuwał wyjątkowo silne emocje, śmierć była brutalna, a miejsce i czas stosowne. Wciąż jednak krążyły historie o prawdziwych duchach, zostających z jakiegoś konkretnego powodu – nawet jeśli brakowało rzetelnych badań świadczących o prawdziwości tych opowieści.

– Może. Nie jestem pewna. No to w każdym razie... To Paweł był, skurwysyn jeden. Paweł Toras. Raz się z nim przespałam, a potem myślał, że jestem jego, zaczął się na mnie... – Alka urwała i pociągnęła nosem. Zamrugwała, najwidoczniej usiłując powstrzymać łzy. Czy duchy mogły płakać? Sara zacisnęła usta, wpatrując się we własne buty. Prawdopodobnie powinna jakoś spróbować pocieszyć dziewczynę, ale to wybitnie nie leżało w jej naturze. Poza tym co miała niby powiedzieć? Hej, zabił cię wprawdzie, spójrz jednak na dobre strony? Przynajmniej nie będziesz musiała zamartwiać się wysokością swojej emerytury? Nie chciała i nie umiała być pocieszycielką. Nie była bohaterem pozytywnym w tej bajce. – No i mnie udusił.

Alka przebiegła palcami po szyi. Sara zerknęła na nią krótko, przyglądając się sinym śladom. Z bliska dało się dostrzec, że pozostawiły je palce.

– To jak? Pójdiesz na policję?

– Zajmę się sprawą.

Może niekoniecznie za pośrednictwem policji – nie zdecydowała jeszcze. Na pewno spróbuje się dowiedzieć, kim była ta dziewczyna i jaką naprawdę rolę odegrał w jej śmierci ów Paweł. Może prędzej czy później uda się znaleźć jakieś powiązania? Chociaż niby co mogło łączyć zastrzelonego na Rynku studenta, dziewczynę zabitą przez zazdrosnego chłopaka i dawnych królów?

– Dzięki – mruknęła Alka. – I... gdybyś mogła powiedzieć... Albo nie. Lepiej nic nie mów. Niech ktoś po prostu nakopie temu skurwielowi.

– Nakopię – obiecała Sara, całkiem zadowolona, że Alka zrezygnowała z przekazywania wiadomości z zaświatów. Czarownica nie bardzo miała ochotę bawić się w posłańca. O ile nakopanie draniowi mogło być całkiem satysfakcjonujące, o tyle na myśl o rozmowie z bliskimi zmarłej robiło się jej mdło.

– Mam... spróbować cię odesłać?

Nie była pewna, czy zdoła to zrobić. Istniały różne sposoby na zacieranie ech, na łatanie wyrw, przez które przedostawały się dziwne istoty, na odsyłanie bytów przywołanych tam, skąd przyszły i na przywracanie równowagi. Duch Aleksandra

Łukomskiego, skutecznie opierający się innym metodom, faktycznie znikł wraz z unicestwieniem ciała. Chłopak spod Sukiennic przepadł, kiedy spróbowała zmusić Rynek do pokazania przeszłych wydarzeń, sięgnąć do momentu śmierci Tomasza, być może uświadamiając mu tym samym, że nie żyje. Tu też mogła wypróbować parę sztuczek.

– Muszę odpowiadać teraz? – spytała z wyraźnym wahaniem Alka. – Ja... Chciałabym jeszcze chwilę popatrzeć na gwiazdy. Chyba... trochę się boję.

– Nie. Nie musisz. Jeszcze tu wrócę.

Strach przed śmiercią był czymś naturalnym. Czymś, co Sara doskonale mogła zrozumieć. Nawet jeśli Alka już nie żyła, wciąż miała do niego prawo. Dlatego czarownica wstała, otrzepała spodnie i kurtkę, a potem ruszyła ścieżką, zostawiając samotną dziewczynę skuloną na ławce. Czy jutro zobaczy ją ktoś skracający sobie drogę przez park lub wyprowadzający psa? Kraków był nawiedzony. Niektórzy turyści uciekną, inni wręcz przeciwnie – zaczną masowo przyjeżdżać, mieszkańcy natomiast wpadną w panikę. Prasa będzie zachwycona, Julian znacznie mniej. A ona? Coraz mniej wiedziała, co powinna zrobić. Pewność demonstrowana przed Krystianem wcale jej tak naprawdę nie towarzyszyła. Sarze brakowało punktów zaczepienia; nie było nitki, za którą dałoby się podążyć do kłębka.

Coś świsnęło koło ucha Sary. Drgnęła gwałtownie, odruchowo gromadząc energię, ale nim zdążyła zrozumieć, co się dzieje, poczuła uderzenie w łopatkę. Ból był porażający, coś ciepłego zaczęło się rozlewać jej po plecach. Kierowana bardziej instynktem niż świadomą myślą, rzuciła się na bok, między krzewy. Kolejny świst sprawił, że dotarło do niej wreszcie, co się działo.

Ktoś do niej strzelał.

Kolana i dłonie zapadły się w śnieg. Ból utrudniał racjonalne myślenie, mimo to próbowała sięgać wokół, poszukując mocy, jakiegoś oparcia. Ściągała ku sobie energię, z góry wiedząc, że to nie wystarczy – nie była czarodziejką. Magia czarownic ukierunkowywała się na dość określone obszary. Żaden rodzaj magii nie umożliwiał wszystkiego, a jedną z rzeczy, z którymi nie radziła sobie Sara, było uzdrawianie. Nieważne, ile siły pożyczysz – i tak nie zdoła zasklepić takiej rany. Niezdarnie sięgnęła na ślepo ręką, chcąc się o coś podeprzeć, wstać. W głowie kołatała jej myśl, że jeśli tu zostanie, umrze. Nikt nie znajdzie jej w środku nocy w parku. Umrze, a śnieg przyprószy ciało. Dlaczego, do cholery, nie wzięłam ze sobą komórki? – zastanowiła się i mimowolnie zacisnęła zęby, próbując wstać.

Pożyczona energia utrzymywała ją przytomną, ale nie mogła korzystać z niej w nieskończoność.

Ciemność wokół gęstniała. Sara straciła równowagę po zrobieniu kroku i padła z powrotem w zaspę. Mrok zawirował i przez chwilę sądziła, że to już koniec. Strzępy ciemności jednak łączyły się, tworząc mroczną sylwetkę. Postać owiniętą chustami, trochę przypominającą cień.

– Wiele Pieśni – wykrztusiła Sara, zwijając się na ziemi. Krew plamiła śnieg, czerwień na bieli.

– Zawsze zbyt pewna siebie – wyszeptwała Wiele Pieśni, powoli okrążając czarownicę. Przykucnęła przy niej, dłoń w rękawiczce przesunęła się po czole Pierwszej Polanii, odgarniając ciemne włosy. Sara jęknęła w proteście. Nie chciała być dotykana przez tę istotę, nigdy by na to nie pozwoliła, gdyby miała wybór. – Zawsze tak nieostrożna.

– Zostaw mnie...

Nie spodziewała się, że zostanie usłuchana. Jednak ciemność odeszła, porywając ze sobą Wiele Pieśni i Sara natychmiast tego pożałowała. Może lepiej byłoby umierać, mając przy boku tego dziwnego stwora? Nie mogła znaleźć w sobie dość sił, by wstać. Wciąż jednak próbowała karmić się mocą, czerpać z siły wiatru, blasku księżyca i aury miasta, nie potrafiąc tak po prostu zrezygnować. Śmierć zbyt ją przerażała. Ból był coraz bardziej przyćmiony, ciało ogarniał chłód. Śnieg, krew na śniegu, księżyc nad głową. Dzika panika, pchająca do przodu, do biegu przez las tonący w zaspach – bo miała zginąć, bo jej moc miała nakarmić inną wiedźmę, bo jej życie miało zostać darowane Marenie...

– Boisz się?

Z trudem uniosła powieki. Tuż przed nią w śniegu klęczał chłopiec. Błady, czarnowłosy, przypatrywał się jej z zaciekawieniem ciemnymi, ogromnymi oczyma. Koniec szalika poniewierał się po ziemi, a Sara skądś od razu wiedziała, że nie ma do czynienia z człowiekiem. Kolejny duch, a może coś jeszcze innego – coś, co przybyło zwabione nadchodzącym końcem.

– Nie – skłamała. Nie miała siły dziwić się jego obecności. Oczy zamykały się same, ciało było bezwładne, ogarnięte chłodem.

– Nie powinnaś zasypiać – mruknął chłopak. – Nie dasz rady? Moc przecież do ciebie zlatuje. Pogasiłaś wszystkie latarnie na ulicach dookoła.

To nie musiała być ona. Równie dobrze sprawczynią mogła być Wiele Pieśni, która bardzo nie lubiła światła, ale Sara nawet się nad tym nie zastanawiała. Milczała, skupiając się na chwytaniu kolejnych oddechów.

– Czy to cię boli?

– A jak, kurwa, myślisz? – spytała. A przynajmniej sądziła, że to zrobiła, bo wcale nie była pewna, czy głos wydobył się z jej ust. Za pierwszym razem nie bolało, wtedy, gdy dotknęła ją moc Mareny. Trucizna wsączała się w żyły, płynąca do serca, odbierająca władzę nad ciałem. Przenikliwy chłód, a potem tylko ciemność, z której później została wyrwana. Ale to nie była prawdziwa śmierć, choć taką się zdawała.

Prawdziwą przyniósł dopiero stos. Do trzech razy sztuka, mała wiedźmo. Tym razem to naprawdę koniec.

– Kim jesteś?

– Czarownicą – odparła. Jedyna odpowiedź, która zawsze pozostawała prawdziwa, pozbawiona choćby odrobiny fałszu. Była czarownicą i umierała, wykrwawiając się, trafiona kulą. Gdyby miała dość siły, może śmiałaby się z tej ironii losu. Mogła walczyć z prawie każdą magią. Stawała przeciwko istotom nie z tego świata, zmagając się z czarodziejami, naginała do swojej woli ciemne moce i sądziła, że nocne ulice miasta, które nazywała swoim, są dla niej całkowicie bezpieczne. Odbiłyby każde zaklęcie, żaden Paweł kryjący się w krzakach nie byłby groźny. Wystarczyła zwykła kula, żeby ją powalić.

Wiele razy oskarżała demony i dawnych bogów o zbytnią arogancję, zapominanie o tym, że śmiertelnicy też mogą być sprytni. Tymczasem ta sama przypadłość dotyczyła i jej samej, a pewnie też wielu innych potężnych magicznych. Zdolni myślą i gestem kształtować w pewnym zakresie świat, nie pamiętali, że nie są niezniszczalni. Że zwykły człowiek może być dla nich niebezpieczny.

– Czarownice się nie poddają.

– Ale umierają jak każdy inny, gdy przegrają.

Prawda, o której tak bardzo nie chciała pamiętać.

– Zaśnij więc.

Chłód i magia pochłaniały ją coraz bardziej, chłopiec mówił chyba coś jeszcze, jednak znaczenie jego słów już do niej nie docierało. Zapadała się w ciemność. Ktoś chyba krzychał – coraz głośniej i głośniej – nie była już pewna.



\*\*\*

– Widzisz, to wszystko kwestia... Tej, no... właściwej perspektywy – tłumaczył Jacek, żywo gestykulując. Zawsze gdy się trochę napił, podejmował próby wyjaśnienia, jak działał jego talent. Nieodmiennie nieudane. Wolfiego zwykle zaczynała tylko boleć od tego głowa. – Patrzysz i nagle widzisz, to co jest i to co może być zaraz... rozumiesz?

– Nie, kurwa, Jacek, nie rozumiem – westchnął Wolfi, który wypił mniej od Jacka, a w dodatku podczas nocnej wędrówki zdążył nieznacznie wytrzeźwieć. Nie miał też już pojęcia, dlaczego wyjście od Stasa o tej porze w środku zimy wydało się im świetnym pomysłem. Mogli przynajmniej zadzwonić po taksówkę. Odruchowo podtrzymał przyjaciela, gdy ten poślizgnął się na oblodzonym chodniku. – Wystarczy mi, że wiesz, że coś spróbuje nas zeżreć, zanim jeszcze się pojawi, jasne? A to co?

Wolfi zatrzymał się. Latarnie przed nimi wygaszały jedna po drugiej. Mogło chodzić o zwykłą awarię prądu, ale charakter pracy Wolfiego automatycznie wyrabiał w człowieku daleko idącą podejrzliwość. Odruchowo zaczął szukać noża, przeklinając w myślach samego siebie, że nie zabrał żadnej konkretnej broni. Ale kto normalny biegłby z mieczem po mieście? A pistoletu też nie zabiera się ze sobą na popijawę z kumplami. Komuś mogłoby wpaść do głowy coś wybitnie głupiego.

– Cholera! – Jacek próbował odskoczyć, ale potknął się na śliskiej nawierzchni. Chodniki zamieniły się w lodowe pułapki po wczorajszym deszczu ze śniegiem i męczyczą, obecnie i tak mający problemy z koordynacją ruchową, padł na tyłek. Wolfi zadziałał instynktownie i po prawdzie niezbyt mądrze. Ledwo coś zaczęło się materializować w miejscu, od którego odsuwał się Jacek, rzucił w to nożem. Trafił, o dziwo. Ostrze wbiło się w sylwetkę ledwo widoczną pośród mroku, mniej więcej na wysokości klatki piersiowej. Gdyby nie to, że istoty jeszcze chwilę temu tu nie było, Wolfi byłby pewny, że ma do czynienia z człowiekiem, chroniącym się po prostu przed mrozem przez nałożenie wielu warstw odzieży.

– Na co to? – przemówił kobiecy, melodyjny głos. Wolfi, który przesunął się przed Jacka, dostrzegł ruch, a chwilę potem nóż został mu rzucony pod nogi. Nie pochylił się, żeby go podnieść – nie był aż tak naiwny. To mogła być jakaś pułapka, próba odwrócenia uwagi. Problem w tym, że nieuzbrojeni i podpici nie

byli zbyt groźnymi przeciwnikami. Nie dla stworzenia, którego nie poruszyło ostrze zagłębiające się w piersi. – Po pomoc przyszedłem.

– A niby czemu mielibyśmy jej udzielić? – Te słowa wcale nie uspokoiły Wolfiego. Pomoc mogła oznaczać na przykład to, że do przeżycia istota potrzebuje ich serc. Albo krwi.

– Ja chyba wiem, kto to jest... – wymamrotał Jacek, który wreszcie zdołał wstać, podpierając się o latarnię. Oczy powoli przyzwyczajały się do mroku, jednak blask księżyca wyglądającego zza chmur dawał szansę coś dostrzec. Wróżbita z fascynacją przypatrywał się kobiecie poowijanej w ciemne chusty. – Stas mi opowiadał. Wiele Pieśni. Jeden z duchów miasta.

– Znowu duchy? – zdenerwował się Wolfi. Próby pozbycia się damy z pałacu spełzły na niczym, a ostatnio coraz częściej słyszało się o nowych widmach nawiedzających Kraków. – Wy naprawdę nie macie co zrobić po drugiej stronie?

– Nie taki duch – odparła zniecierpliwiona Wiele Pieśni. – Ale w parku ktoś umiera i może być i kolejny duch, jeśli nie pomożecie.

Może jednak był bardziej nietrzeźwy niż sądził, a to wszystko stanowiło zaledwie jakiś pijacki omam. Gasnące latarnie, istota materializująca się z mroku i domagająca pomocy dla kogoś, kto umierał w parku. Od dwóch z lekka podpitych gości.

– Że co? I niby czemu ciebie to obchodzi?

– Wciąż jej potrzebuję – odparła Wiele Pieśni. Ta odpowiedź – w opinii Wolfiego – nie wyjaśniała absolutnie niczego.

– Wolfi, rusz się – wymamrotał Jacek. Może przez wzgląd na to, że więcej wypił, był bardziej podatny na manipulacje. Może faktycznie sporo słyszał o Wiele Pieśni – a może znów prowadził go talent, niby niewielki, niepewny, na swój sposób jednak niezastąpiony? Wolfi, nie spuszczać oka z Wiele Pieśni, przykucnął, by podnieść nóż. Choć w teorii był dowódcą, przywykł już do wykonywania poleceń przyjaciela.

Wiele Pieśni rozmyśla się na jego oczach, strzęp ciemności popłynął w stronę Jacka. Wolfi podrywał się, otwierając usta do krzyku, ale cień nie dotknął mężczyzny, minął go i zaczął sunąć przed nim, to pojawiając się, to znikając. Pokazuje drogę – pojął Wolfi, trochę uspokojony. Ale tylko trochę. Gdyby nie to, że pracował w jednostce specjalnej, pewnie w tym właśnie momencie dostałby zawału serca. Obaj z Jackiem podążyli za nieuchwytnym cieniem i Wolfiemu

wcale się to nie podobało. Zwłaszcza, że Park Łukomskiego cieszył się ostatnio dość złą sławą, a on sam bardzo starał się do niego nie wchodzić. Pamiętał panikę, jaka ogarnęła miasto przed paroma miesiącami i to, że w pewnym momencie właśnie to miejsce stało się centrum mrocznych wydarzeń. Jacek jednak szedł, Wolfi więc dzielnie podążał za nim, ściskając rękojeść swojej marnej broni.

Zamiast armii trupów, strzyg albo demonów, dostrzegł jednak tylko coś leżącego przy krzakach.

– Jasny gwint. Jacek, dzwoń po pogotowie! – nakazał, przyspieszając. Nie rzucił się na łeb na szyję – to wciąż mogła być pułapka. Dopiero gdy podszedł naprawdę blisko, upewnił się, że na ziemi faktycznie leży jakaś dziewczyna, a śnieg wokół niej jest czerwony od krwi. Przykucnął, chcąc zlokalizować ranę i spróbować zatamować krwawienie. Wtedy rozpoznał ranną.

Zajebicie. Na rękach właśnie umierała mu Pierwsza Czarownica Polanii.

\*\*\*

– Proszę pani? Pani żyje?

Jasne włosy, drobna twarz. Wargę przygryziona ze zmartwienia. Maskę pęka.

Dym zasnuwa niebo.

Nadchodzi świt.

Serce pulsujące w dłoni, krew na rękach. Błękitny ogień pochłania mięśnie, pył przesącza się między palcami. Posuwasz się trochę za daleko. Światło gaśnie, gęstnieją cienie. Szaleńcza ucieczka ulicami, gdy zza każdego rogu wyłaniają się nowi wrogowie.

Niektórzy wierzą, że mając w ręku cudze serce, zyskujesz klucz do mocy jego właściciela. W przypadku demonów podobnie działa imię...

Żółte oczy błyszczą w ciemności. Szkarłat piór i rozrzuconych po podłodze rubinów. Jesteś mój.

Tyle krwi.

Plami dłonie. Martwy chłopak leży na ziemi, jego pierś cała we krwi. I jest drugi, o bliźniaczej twarzy, trzyma w zakrwawionych dłoniach strzęp ciała. Mając w ręku cudze serce...

Melodia wygrywana na flecie brzmi w uszach, prowadzi, przyciąga. Spójrz na mnie, wiedzmo. Lustra dookoła, z każdego patrzy ta sama twarz. Tyle dróg. Gdybyś tylko miała dość odwagi, żeby z którejś skorzystać. Boisz się?

Głupia!

Wy, ludzie, życie tak krótko.

Czarne oczy, wydmuchiwana smużka dymu. Kiedy się domyślałaś?

Dłonie splecione w uścisku, jedna ręka cofa się, pozbawia drugą podparcia. Nie możesz polegać na mnie zawsze. Są moce potężniejsze niż moja.

Matka skulona na kuchennym krześle, dłonie ojca na jej ramionach. Zdaje się krucha, bezbronna i tak bardzo obca. Odłamki potłuczonego lustra na podłodze, a w większym kawałku wciąż widać uśmiech, jakby ktoś naprawdę był po drugiej stronie, czaił się, obserwował. Odbicie matki, ale innej, nie tej z tego świata. Mamo? Co się dzieje?

Ogień, ogień, ogień.

Trup na ścieżce.

Chodź do mnie, wiedźmo.

Jan Twardowski wyciąga rękę...

Szkoło pęka. Odłamki wirują w powietrzu.

\*\*\*

Przebudzenie nie należało do przyjemnych. Głowa zdawała się ciężka, przed oczyma wciąż wirowały sceny z koszmaru, zaś ciało było osłabione i obolałe. W nadgarstek wczepiono jakieś rurki, urządzenia pikały cicho. Zdezorientowana Sara z początku nie miała pojęcia ani gdzie jest, ani jak się tu znalazła.

– Obudziłaś się.

Ciemnowłosy chłopiec z parku przysiadł na brzegu łóżka. Jego widok sprawił, że z ust czarownicy wyrwało się ciche jęknięcie. Park. Elementy układanki zaczęły wskakiwać na swoje miejsca. Nocna wędrówka, Alka, świst kuli, ból, upadek w śnieg. Wiele Pieśni i duch chłopca.

– Czego chcesz? – spytała i odkaszlnęła, bo głos zabrzmiał dziwnie nawet w jej własnych uszach. Za słabo, zbyt chrapliwie.

– Jak się czujesz?

– Jakby wrzucono mnie do pralki nastawionej na odwirowanie – poinformowała, usiłując dźwignąć się na łokciach. Z mizernym efektem. – Jakim cudem żyję?

Może dziecko jednak nie było duchem? Może zdawało się jej tak, bo utrata krwi, ból i nadmiar ściąganej mocy zmąciły myśli? Wezwał pogotowie?

– Znaleźli cię w śniegu, nieprzytomną. Potem przywieźli tutaj. Miałaś jakąś operację, chyba coś musieli z ciebie wyjąć.

Kula. Sara nie znała się na medycynie i nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle, że pocisk utknął. Wyjmowanie czegoś z niej wcale nie brzmiało za ciekawie, z drugiej strony miała niejasne wrażenie, że gdyby istniała też rana wylotowa, pewnie wykrwawiłaby się szybciej...

– Potem był tutaj jakiś pan, który nad tobą czarował. Jeszcze potem leczyła cię taka ładna pani. Wszyscy byli dla niej grzeczni. Chyba nie jest stąd. Mówiła, że musi wrócić do Poznania i że w Krakowie trzeba wreszcie wyszkolić jakiegoś naprawdę porządnego uzdrowiciela.

Leon i Aleksandra – uznała Sara, przymykając oczy. Ktoś musiał ją rozpoznać i ściągnięto nadwornego uzdrowiciela, a potem Markowską z Poznania. W krakowskich szpitalach na etacie pracowało zaledwie kilka osób specjalizujących się w uzdrawianiu, w dodatku o średnich umiejętnościach. O czarodziei, którzy skupiali się na leczeniu, było trudno. Czarownice dysponujące talentem w tej dziedzinie zdarzały się jeszcze rzadziej. Ponadto choć taki uzdrowiciel zarabiał ponad dwa razy tyle, co lekarz, i tak nie pchali się drzwiami i oknami do pracy w publicznej służbie zdrowia.

Ciekawe, kto zmusił Aleksandrę, żeby się pofatygowwała? Sara obstawiała Juliana, Wątpliwe, żeby ktoś z Łoży Magii do tego stopnia przejął się losem Sokolskiej. Większość wciąż chciałaby, aby po prostu wyparowała. Niekoniecznie zginęła, ale zniknęła, bez zbędnych efektów specjalnych. I naprawdę nie należało się im dziwić: Sara nie zabiegała o ich sympatię, a wręcz przeciwnie, często w pełni świadomie podsycala niechęć. Nie zrobiła niczego, by zasłużyć sobie na ich przyjaźń.

– Co ty tu robisz? Nie powinieneś straszyć w parku?

– Och, nudziłem się tam – odparł lekceważąco chłopiec. – Uznałem, że pójście za tobą będzie zabawniejsze.

– Cudownie. Zabawa skończona, możesz tam już wracać.

Nie odpowiedział. Do sali zajrzał natomiast lekarz, który po dostrzeżeniu, że pacjentka jest przytomna, czym prędzej wszedł do środka. I, jak mimowolnie odnotowała Sara, zupełnie zignorował chłopca. Jakby go nie dostrzegął.

\*\*\*

– Jesteś pewna, że nie powinnaś zostać w szpitalu jeszcze trochę?

– Po raz dziesiąty: tak, jestem pewna.

Zachowanie Juliana irytowało Sokolską, co uwidaczniało się zarówno w jej wyrazie twarzy, jak i tonie. Złość towarzyszyła Sarze nieustannie w przeciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin – na lekarzy, szpital, małego ducha, na napastnika, własną bezbronność, brak ostrożności i na to, że ktoś ośmielił się zaatakować ją w mieście, które postrzegała jako swoje. Niemożność natychmiastowego ruszenia w pościg dodatkowo potęgowała poirytowanie. Kulę usunięto, założono szwy, uzdrowiciele przyspieszyli proces gojenia, przeprowadzono transfuzję krwi. Rana na ramieniu dzięki magii nieomal się już zablizniła. Ciało jednak wciąż było osłabione, a łopotka chwilami dokuczała rwącym bólem.

– I nie chcesz...

– Chcę tylko dorwać tego, kto do mnie strzelił i obdrzeć go ze skóry, dziękuję bardzo – burknęła czarownica, opadając na swoje łóżko, twarzą prosto w poduszkę. Julian westchnął i zajął miejsce na krześle. Zdaniem Sary był wręcz niezdrowo przejęty całą sytuacją.

Zdołał zachować milczenie przez całą minutę.

– Naprawdę obdrzesz go ze skóry? – zapytał z niepasującą do niego nieśmiałością. Może dlatego, że kiedy ostatnim razem zażądał czyjejs głowy, Sara potraktowała tę prośbę bardzo dosłownie. Czasem nie był pewien, ile w jej słowach było prawdy, a ile przesady.

– Oczywiście, że nie. To wymagałoby strasznie dużo roboty. Nie mam tyle cierpliwości – uspokoiła Juliana. Władca odetchnął z ulgą. Mimo wszystko takie rzeczy jak obdzieranie ze skóry trochę nie uchodziły. Źle wyglądałyby w prasie. – Po prostu wyrwę mu serce.

Odpowiedź padła dopiero po dłuższej chwili.

– Aha. – Król Polanii chyba pożałował, że spytał. – Wiesz, że właściwie nie powinnaś zabijać ludzi, chyba że sięgają po najmroczniejszą magię, by szkodzić innym?

– To tylko taka wskazówka.

– Nie. To prawo.

Sara mruknęła coś pod nosem. Prawo postrzegała zazwyczaj jako coś, co dotyczyło innych. Julian zamrugnął i przetań rozespiane oczy. Praktycznie nie spał od chwili, w której poinformowano go, że jego nadworna czarownica leży w szpitalu i wyłuskują z niej tam pocisk. Z początku zwyczajnie nie dowierzał i cała

sytuacja wciąż napawała go zdumieniem. Sanika, która mogła rzucać ludźmi jak piłeczkami, omal nie wykrwawiła się nocą na śniegu. Wiedźma jawiła mu się jako coś stałego, pewnego i nietykalnego. Widok osłabionej kobiety wywoływał w nim dziwne zmieszanie, a świadomość tego, jak blisko była śmierci, wciąż przerażała. Julian, mimo niemal dwudziestu sześciu lat na karku, nadal nie porzucił naiwnej, dziecięcej wiary w to, że złośliwa czarownica jest niepokonana.

– Jak chcesz go w ogóle znaleźć? Powiedziałaś policji, że niczego nie widziałaś.

– Bo nie widziałam – westchnęła, dalej wtulając twarz w poduszkę. Najchętniej poszłaby zwyczajnie spać, zmęczenie organizmu skutecznie oddalało zwykłą bezsenność. Król jakoś jednak nie kwapił się do zostawienia jej samej, jakby obawiał się, że postanowi umrzeć we śnie. – Może znajdę świadków. Poza tym... miasto pomoże.

– Masz świadków? I niczego nie powiedziałaś?!

– Julian, do cholery, nie drzyj się tak... – jęknęła. Wciąż jeszcze czuła się trochę jak na paskudnym kacu. – Nie wiem, czy mam świadków. Po parku włóczyły się duchy. Któryś mógł coś widzieć. Co miałam powiedzieć policji? Idźcie przesłuchiwać umarłych, może któryś będzie zdolny do kontaktu?

Poza tym naprawdę chciała złapać niedoszłego zabójcę osobiście. Przekonać się, kto na nią poluje i dlaczego, a przede wszystkim skopać mu tyłek. Oddanie takiego osobnika w ręce policji byłoby absolutnie niesatysfakcjonujące, nie wspominając o tym, że nie gwarantowałyby bezpieczeństwa. Mściwość czarownicy sięgała bardzo daleko, gdy sprawa stawała się osobista.

– Duchy – powtórzył Julian z dziwną miną, odruchowo spuszczać wzrok na podłogę, jakby spodziewał się, że zaraz wyłoni się z niej półprzezroczysta głowa. Wciąż dziwnie czuł się ze świadomością, że gdzieś tam pod ziemią kłębią się dusze dawnych władców Polanii. Sara i Adam wprawdzie zdołali zapieczętować krypty i uwięzić nowych lokatorów w środku, ale nawet jeśli Julian ich nie widział, to wiedział, że tam byli. Przyprawiało go to o dreszcze. Najgorsza była zaś możliwość, że pomiędzy nimi mógł znaleźć się i jego ojciec – nie odważył się jednak zapytać o niego Sary. Chyba za bardzo bał się potwierdzenia własnych obaw. – Miasto pomoże? To ma coś wspólnego z tym, że pozbawiłaś prądu całą dzielnicę?

– Niechący...

No dobrze, bardzo chcący. Nie chciała umierać i czepiała się wszystkiego, czego mogła sięgnąć. Ale nie miała przecież na celu odcięcia nieszczęsnych dzieci XXI wieku od wszystkiego, co czyni ich życie znośnym: kablówki, Internetu, czajników elektrycznych i tym podobnych.

– Ja nikogo nie widziałem. – To zdecydowanie nie był głos Juliana. Sara uniosła trochę głowę, po czym jęknęła i znów ukryła twarz w poduszce. – Oprócz ciebie i tych dwóch, którzy przyszli potem.

– Julian? Spójrz na stół, dobrze? – poprosiła czarownica. Król, nieco zdumiony, posłusznie spełnił prośbę.

– Stół jak stół – odparł po chwili, niepewny, o co chodziło Sarze. Czasami jej pozornie irracjonalne zachowania miały ukryty sens, tym razem jednak zdecydowanie żadnego nie dostrzegał. – Chodzi o tę książkę na blacie? Podać ci ją?

– On chyba mnie nie widzi – poinformował usłużnie chłopiec. – Nikt mnie nie widzi oprócz ciebie. Może dlatego, że omal nie umarłaś?

– Kurwa! – podsumowała dosadnie czarownica. Dziesiątki duchów różnego rodzaju w Krakowie, w tym jeden, który się do niej przyczepił i którego widzi tylko ona. Cudownie. Jeszcze tego brakowało, żeby oskarżono ją o to, że zwariowała. Do kogo mówisz, Saro? Och, do mojego niewidzialnego przyjaciela...

– To brzydkie słowo – mruknął urażony duch.

– Sanika? Dobrze się czujesz? Może ja wezwę Leona...

– Nie chcę Leona. Po prostu zostawcie mnie w spokoju. Wszyscy, jasne?

Nie unosiła głowy. Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Potem krzesło zaskrzypiało i rozległy się kroki. Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem. Julian wykazał się nietypowym dla siebie zrozumieniem, najwyraźniej uznając, że skoro omal nie zginęła, można pozwolić jej wypocząć. Czarownica przekrzywiła głowę na bok, tak że teraz przytulała do poduszki policzek, nie nos, zezując w stronę stołu. Na blacie nie siedział już drobny, ciemnowłosy chłopiec.

Zacisnęła powieki, a nim minęło kilka minut, jej umysł osunął się w sen pełen duchów.

\*\*\*

Sara przespała trzynaście godzin, sen nie przyniósł jednak spokoju umysłu. Po przebudzeniu z koszmarów czuła się jeszcze bardziej zmęczona niż wcześniej. Gdy Leon przyszedł zmienić opatrunek, rzucić kolejne zaklęcie uzdrawiające i



podać jej paskudnie smakujący eliksir, z trudem powstrzymała chęć wyrzucenia go za drzwi. Ostatecznie poddała się wszystkim zabiegom uzdrowiciela, a ledwo znikł za progiem, zwlekła się z łóżka. Wciąż w piżamie, podjęła trzy próby wygnania ducha okupującego jej pokój. Bez efektów. Chłopiec przypatrywał się poczynaniom Sary z uprzejmym zainteresowaniem, twardo stawiając opór wszelkim magicznym działaniom. Zła jak osa odpała laptopa, wysłała maila do dwóch osób, prosząc o informacje o śmierci chłopców w wieku od dziewięciu do dwunastu lat, o odpowiednim rysopisie, z okolic Krakowa. Ze szczególnym uwzględnieniem dzielnic położonych w pobliżu Parku Łukomskiego. Potem, posykując chwilami z bólu, założyła spodnie i naciągnęła kurtkę na piżamę. Magia Aleksandry i Leona nie gwarantowała wprawdzie natychmiastowego ozdrowienia, ale rana została zasklepiona i nie groziła już otwarciem.

Sara nie miała zamiaru leżeć w łóżku, kiedy po świecie biegał swobodnie ktoś, kto do niej strzelał. Ta zniewaga krwi wymaga.

W Parku Łukomskiego znalazła się jeszcze przed piętnastą. Słońce skryło się za chmurami, wciąż jednak było dość światła, aby utrudnić pozostanie niezauważonym. Przechodnie nie ciągnęli masowo do parku, jednak koło wejścia czarownica minęła trzymającą się za dłonie parę, kawałek dalej starsza pani spacerowała z psem. Mimo to Sara raz po raz rozglądała się nerwowo wokół, a na jej palcach momentami rozbłyskiwały iskry mimowolnie przyzwanej magii. I to dopiero naprawdę ją rozwścieczyło: bała się. Bała się chodzić ulicami miasta, bała się, że zaraz padnie kolejny strzał.

– Rozedrę na strzępy – wymruczała pod nosem, przekuwając strach w gniew. Nastolatka skracająca sobie parkiem drogę rzuciła Sarze podejrzliwie spojrzenie i obesła ją szerokim łukiem.

– Myślałem, że tylko wyrwiesz serce.

– Cicho siedź – poleciła, spoglądając przez ramię. Nawet nie była zdziwiona, że chłopiec znów się za nią powłókł. Może przy odrobinie szczęścia zdoła go uwięzić w parku? Tak, jak uwięziła duchy w kryptach.

– O, popatrz, następny duch.

Dziecko wskazało palcem między drzewa. Stały tam dwie osoby. Mężczyzna przed trzydziestką w jasnej kurtce, tkwiący po kolana w zaspie, mówił coś gorączkowo do dziewczyny. Jej długie włosy szarpał wiatr i Sara dopiero po chwili zrozumiała, że w rzeczywistości wieje w zupełnie inną stronę. Była też ubrana

zbyt lekko jak na tę porę roku, bez płaszcza i rękawiczek, tylko w podartej bluzie i ciemnych dżinsach. Sara przez chwilę przypatrywała się tej dziwnej scenie: żywy mężczyzna i martwa dziewczyna rozmawiający pośród śniegów. Brat, chłopak, może nawet syn? Ile lat temu umarła młoda kobieta w poszarpanej bluzie? A teraz najwyraźniej odnalazł ją ktoś, kogo znała za życia.

– To się musi skończyć – wymruczała bezwiednie czarownica. Przyszła tu gnana pragnieniem zemsty na nieznanym zamachowcu, nie zaprzatając sobie głowy prawdziwym problemem miasta. Po prawdzie, gdy jej samej coś zagroziło, zapomniała o wszystkim innym – o duchach kłębiących się w wawelskich kryptach, o chłopaku z Rynku, o czarnoksiężniku naruszającym równowagę między światami.

– To się musi skończyć – zgodził się chłopiec, stając tuż obok niej. – Coraz więcej osób wraca, wiesz?

– Zawsze marzyłam o pieprzonym mieście duchów – warknęła Sara, odwracając się plecami do tego przedziwnego obrazka i kierując w stronę ławki, na której kiedyś czekał na nią nocny król. – Umarłeś w tym parku?

– Jeśli bym ci odpowiedział, na pewno byś to wykorzystała – odparł z żelazną logiką. Albo był nadzwyczaj sprytnym dzieckiem, albo śmierć trochę zmieniała postrzeżenie. Opcjonalnie to Sara nie doceniała dzieci. Zazwyczaj bardzo pilnowała, żeby nie mieć z nimi do czynienia i jedynym wyjątkiem w jej życiu był młody Julian.

– Tak bym zrobiła – przyznała. Śnieg nie padał tego dnia i nie zalegał na ławce, ale siadanie na niej nie było czymś, na co zdecydowałyby się większość osób przy zdrowych zmysłach. Sara jednak miała dużo wyższy próg odporności na zimno niż przeciętny człowiek, a droga do parku ją zmęczyła. Łopatka rwała bólem, w głowie wirowało. Zbyt poważna rana i za wiele straconej krwi, by po trzech dniach organizm mógł powrócić do pełnej sprawności. Magia miała swoje granice, nawet jeśli czarownica niechętnie przyjmowała do świadomości ich istnienie. – Skoro tu już jesteś, może się na coś przydasz? Rozejrzyj się za duchem, krótka spódnica, długie buty, jasne pasemka, sińce na szyi.

– A magiczne słowo? – zakaprysił chłopiec. Sara zmierzyła go długim spojrzeniem. Poddał się po kilkunastu sekundach – przewrócił oczami i znikł w jednej z alejek. Po paru minutach ścieżką nadeszła Alka, wyglądająca w swoim skąpym topie wybitnie absurdalnie na tle ośnieżonego parku. W świetle dnia sine

ślady na szyi były znacznie lepiej widoczne, podobnie jak sińce na nadgarstku i zadrapania na ramieniu. To trochę uspokoiło czarownicę. Żadnej gęszej skórki, za to ślady po uścisku palców odcisnięte na delikatnej skórze. Sarze wcześniej przeszło przez myśl, że może Alka tak naprawdę była żywa, że to ona sięgnęła wtedy po broń. Wędrując w stronę czarownicy dziewczyna przeniknęła jednak przez jedną z ławek i to stanowiło ostateczny dowód.

– Cześć – przywitała Sarę. Nieładną twarz rozjaśnił uśmiech. Wiedźma przyjęła to uniesieniem brwi. Nie nawykła do tego, by ktoś cieszył się na jej widok. – Co, złapią tego skurwiela?

Aha, Paweł Toras – zrozumiała czarownica. Skupiona na własnych kłopotach na śmierć o tym zapomniała. Julian zawsze twierdził, że poziom empatii Sokolskiej jest dramatycznie niski. Samolubstwo nie było jej obce.

– Nie bardzo mogłam się tym zająć – przyznała uczciwie, a widząc rozczarowanie na twarzy dziewczyny, szybko uzupełniła: – Postrzelono mnie.

– Żartujesz! – Alka otworzyła szerzej oczy i przysłoniła usta dłonią. – Kiedy? Ale to chyba mało poważne, jak już chodzisz, nie?

– Tutaj, kiedy odeszłam. Wyleczyli mnie magią. Chciałam spytać, czy kogoś tu widziałaś wtedy w nocy...

Dziewczyna zamyśliła się i przygryzła wargę. Jak na ducha brutalnie zamordowanej dziewczyny, pozostała zaskakująco normalna, zwłaszcza w porównaniu z innymi widmami włóczącymi się po mieście.

– Ktoś tutaj był – oceniła, marszcząc czoło. – Mężczyzna. Ale on miał płaszcz, taki ciemny, i czapkę, to ja za bardzo nie widziałam. Przepraszam.

Wyglądała na szczerze zmartwioną, że nie może bardziej pomóc. To też do pewnego stopnia było zdumiewające. Sara po raz pierwszy pożałowała, że Alka nie żyje. Może mogłaby ją polubić, pomimo okropnego gustu i tego, że ta była raczej dość prostą dziewczyną. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że nigdy nie zwróciłaby uwagi na taką osobę. To śmierć uczyniła w jej oczach Alkę godną zainteresowania.

– Dzięki. Ja i tak go dorwę.

Prędzej czy później. Ciężko było ukryć się przed dostatecznie upartą czarownicą.

Alka spuściła głowę, przestąpiła z nogi na nogę. Jej buty nie zostawiały śladów na śniegu.

– Co się ze mną stanie, jeśli mnie odeślesz? – wydusiła w końcu Alka. Chłód, jaki poczuła Sara, nie miał nic wspólnego z temperaturą otoczenia. Jego źródło

leżało gdzieś w jej wnętrzu. Zaciśnęła skryte w rękawiczkach palce na krawędzi ławki. Jedno z niewielu pytań, które zadawał sobie każdy. Nieodmiennie bez odpowiedzi.

– Nie wiem. Nie... pamiętam.

Może istniało miejsce, do którego odchodziły dusze... A może wszystkie powracały, jak w historiach o Wyraju, a ona nie była żadnym wyjątkiem? Po prostu wraz z przebudzeniem mocy powróciły też wspomnienia, podczas gdy innym odmówiono pamięci. A może nie było niczego – tylko nicość, z której obie zostały wyrwane różnymi sposobami, do której prędzej czy później powrócą. Czasem sądziła – czy może jedynie miała nadzieję – że dusze rzeczywiście wracają, przyjmując nową postać, dostając kolejne szanse. Chciała w to wierzyć.

– Ja też nie pamiętam – odparła cicho Alka. Jasne kosmyki częściowo przysłaniały jej twarz, gdy obserwowała czubki własnych butów. – Boję się, ale nie chcę... zostać sama na zawsze w tym parku.

Obie milczały przez długą chwilę. Wiatr zmierzwił włosy Sary. Gdzieś daleko zaszczekał pies, ktoś krzyknął. Coś o duchach. Chyba właśnie jakiś przechodzień dojrzał dziwną parkę. Sara przymknęła oczy, głęboko wdychając mroźne powietrze.

– Wrócisz tu jeszcze? – spytała w końcu Alka, gdy odpowiedź nie padała. Przynajmniej to pytanie nie było problematyczne. Jeśli Sara czegoś mogła być pewna, to tego, że to miejsce prędzej czy później znów ją przyciągnie.

– Zawsze.

# ROZDZIAŁ CZWARTY

## CZERWONE JAK KREW

– Opowiedz mi historię.

Pokój tonął w ciemności. Zasłony nie były zsunięte, za oknem trwała jednak kurzawa, płatki śniegu wirowały, przysyłając świat, szyba pozostawała częściowo oblodzona. Sara przeciągnęła palcem po szkle, lód po drugiej stronie podążył za ruchem ręki, wymalowując na oknie fantastyczny wzór. Wskazówka zegara przesunęła się na drugą.

Znów nie mogła spać.

– Opowiedz mi historię – powtórzył chłopiec. Leżał zwinięty na jej łóżku, a ona nawet nie miała siły się denerwować. Mały, bezczelny duch, który w parku oparł się nawet zakłęciu związania.

– Jeśli będę dla ciebie miła, możesz postanowić zostać na dłużej – odparła sucho, przyciskając dłoń do szyby. To była jedna z nocy, gdy moc zdawała się pulsować w żyłach, gdy czarownicę dręczył dziwny niepokój. Miała ochotę otworzyć okno na oścież i skoczyć prosto w objęcia nocy i śniegu. Ciągnęło ją do ruchu, magii, przestrzeni. Bała się jednak, że przeliczy się z własnymi siłami. Trwała więc w mroku swojego pokoju, pozwalając, by spod jej dłoni powoli sączyła się moc, a lodowe wzory pochłaniały całą szybę.

– Zbliżają się święta – zamarudził chłopiec. Zdaniem Sary zupełnie nie po dziecięcemu, ale też jej doświadczenie z dziećmi było raczej znikome. – Nawet zwierzęta mówią ludzkim głosem.

– Czy ja ci wyglądam na jakąś kozę? – spytała, odwracając się plecami do zamrożonego okna. Mocno zacisnęła usta, brwi zmarszczyła z irytacji. Duch zniknął czasem, ale ledwo zaczynała mieć nadzieję, że nie wróci, ten pojawiał się z powrotem. Równie irytujący jak widmowy Chmielewski, nietykalny, niechciany. Sara nie lubiła dzieci, zwłaszcza tych współczesnych. Z dłońmi ubrudzonymi czekoladą, domagających się najnowszych smartfonów, urządzających sceny na ulicach. Postrzegala je jako jednolitą grupę, obdarzoną niezliczoną liczbą wad i brakiem zalet.

– Na kota – odparł po chwili wahania. – Są uparte, drapią i lubią szaleć w ciemnościach. Opowiedz mi historię i sobie pójdę. Na noc. Dzień i noc, dobrze?

Szantażuje mnie jedenastołatek! – pomyślała ze złością, podpierając się o ścianę. – W dodatku martwy jedenastołatek. Czy można upaść jeszcze niżej?

Wizja pozbycia się dzieciaka na pewien czas kusila. Dałoby to czas na wyszukanie sposobu pozbycia się go na dobre. W teorii priorytetem Sary powinno być uwolnienie miasta od plagi duchów, jednak bardziej interesowała ją kwestia odesłania tego konkretnego ducha i znalezienia strzelca z Parku Łukomskiego. Osobiste problemy wydawały się bardziej palące.

– Czytałeś baśnie pana Borgii? Pewnie nie. Ciężko je dostać – mruknęła, opadając na fotel. Nie położyłaby się na łóżku, póki okupował je duch. Spojrzenie kobiety zatrzymało się na szachownicy pozostawionej na blacie. – Było raz miasto. Najpiękniejsze z miast świata. Wieże, białe jak śnieg, błyszcząły w słońcu, wszystkie drogi pokrywał jasny bruk, a woda śpiewała w miejskich fontannach. Posągi zdobiące place gawędziły z przechodniami, niezdobyte mury chroniły przed wrogami, a tam gdzie ląd łączył się z morzem, syreny wyławiały dla mieszkańców perły, zaś żywiołaki osłaniały budynki przed siłami żywiołów. Bo to białe miasto wzniesiono nie tylko pracą ludzkich rąk, ale też magią i siłą stworzeń z innego świata. W tamtych czasach magia była inna, a ludzie potrafili jeszcze uznawać za swoich nie tylko tych, którzy wyglądali jak oni.

Mijały jednak lata i mieszkańcy zaczęli zapominać, komu zawdzięczali swój dobrobyt. Fontanny umilkły, posągi rozmawiały już tylko z nielicznymi, syreny coraz rzadziej podpływały do brzegów. Duchy odleciały, skrzaty przestały pokazywać się ludziom. Tron przejął ród, którego członkowie nie władali czarami. Magia ochraniająca miasto wyciekała powoli, ledwo zauważalnie, lecz nieustannie. Nie wszystkie z mocy, które je wzniosły, były dobre.

Władca miasta był młody, dzielny i kochany przez poddanych, a jego żona słynęła ze swojej urody i z troski o prostych ludzi. Mieszkańcy lubili mówić, że jest najpiękniejszą kobietą świata, choć z pewnością wiele było w tym twierdzeniu przesady. O królewskiej parze opowiadano różne historie. Mówiono, że młody król pokonał najstraszniejszą z wiedźm i że zabił w pojedynku okrutnego, czarnego rycerza. Mówiono, że śliczna królowa padła kiedyś ofiarą klątwy, która pozbawiła ją duszy, lecz ukochany zdołał ją odczarować. Mówiono, że ptaki słuchają jej rozkazów, że syreny znoszą dla niej najpiękniejsze perły, a posągi

powtarzają pani miasta zasłyszane tajemnice. W długie, jesienne wieczory szeptano opowieści przy paleniskach, wyśpiewywano ballady na placach i po karczmach. Kto wie? Niektóre z nich pewnie były prawdziwe. Na pewno nie wszystkie, bo gdyby każda miała być prawdą, król i królowa musieliby przeżyć już najmniej jedno ludzkie życie bądź codziennie stawiać czoła nowym niebezpieczeństwom. Przez pierwsze lata panowania wszyscy byli szczęśliwi: zarówno królewska para, jak i ich poddani. Żadne dobro nie trwa jednak wiecznie.

Najpierw zaczęli ginąć ludzie.

Wychodzili z domów rankiem, by nigdy nie powrócić. Po niektórych słuch zaginął – rozwiali się bez śladu i ludzie szeptali, że duchy powietrza, rozsierdzone brakiem szacunku, porwały ich w przestworza. Ciała innych odnajdywano o świcie kolejnego dnia, często noszące ślady cięć, kłów bądź pazurów. Na mieszkańców miasta, najwspanialszego ze wszystkich, po raz pierwszy od dawna padł strach. Narastał z każdym dniem, z każdą nocą, kiedy coraz bardziej rozpaczliwie poszukiwano winowajców. Gdy morze wyrzuciło na brzeg dwóch topielców, o ich zgon obwiniono syreny: rybacy schwytali jedną z nich w sieci i porąbali na kawałki. Od tej pory nie było już przyjaźni między mieszkańcami a morskim ludem – i łodzie coraz częściej nie powracały z połowów, a na brzegach pojawiały się topielce. Dwójka dzieci przysięgała, że stara wiedźma porwała i pożarła ich młodszego brata, a ludzie zabili ją w szale, nim królewska straż zdążyła ją przesłuchać. Sąsiedzi wskazali czarodzieja: wyszło na jaw, że ten rzeczywiście w piwnicach kamienicy dokonywał eksperymentów na ludziach. Mężczyznę więc powieszono, kamienicę spalono, ludzie zaś zaczęli szeptać, że to wszystko jest winą wiedźm i czarnoksiężników. Że knują, jak znów przejąć władzę, że zawarli pakt z mrocznymi siłami. Każda noc przynosiła kolejną śmierć, a w sercach mieszkańców białego miasta na dobre zagościły strach i podejrzliwość.

Byli tacy, którzy usiłowali skorzystać z rodzącego się chaosu. Byli też tacy, którzy próbowali go powstrzymać. Ginęli zarówno jedni, jak i drudzy. Od katowskiego topora albo pochłonięci przez mrok nocy. Same noce stawały się zaś coraz dłuższe, coraz ciemniejsze, jakby nie panowała wiosna, a nadchodziła zima. Aż w końcu nie tylko noce przynosiły nową groźbę. Ludzie bowiem coraz częściej obracali się przeciwko sobie.

Sara zamilkła. Przymknęła oczy, odchylając głowę do tyłu. Ciemność pochłaniająca ulice. Bajka o białym mieście, bajka o Meve. Czy miasto, które przepadło, też miało swoich strażników, o istnieniu których zapomnieli wszyscy bez wyjątku? Czy ulice zostały pochłonięte, bo nikt nie pojął, co się dzieje? Czy też jednak przebiegało tam to wedle innego scenariusza, nic nie dało się zrobić? Szaleństwo powoli ogarniające Kraków... Mroczna parada... W stolicy Polanii dłużej udało się utrzymać sytuację pod kontrolą, ale gdyby...

– Co było dalej?

Głos chłopca wyrwał ją z zamyślenia. Nieomal zdążyła zapomnieć o jego istnieniu. Zacisnęła zęby – złość i niepokój wciąż pozostawały obecne, a moc pulsowała, wzywając do działania.

– A co miało być? Dzielny król i dobra królowa próbowali ocalić miasto – stwierdziła cierpko. – Po czym władca odkrył, że jego pani jest wiedźmą, a ci, którzy przychodzą wraz z nocą, wzywają ją niby siostrę. Uwierzył wreszcie, że wszystko jest spiskiem przeciw władzy. W imię racji stanu posłał żonę na stos.

– Uratował w ten sposób miasto?

– W późniejszych wersjach... owszem. – Przesunęła dłonią po gładkiej powierzchni blatu. Stolik był nowy, sprowadzony niedawno na zamówienie, po tym, jak zniszczyła poprzedni. Tam, gdzie przeciągnęła palcami, na drewnie pozostała cieniutka warstewka szronu. – W wydaniu oryginalnym baśń kończy się inaczej. Dusza królowej zostaje porwana, a miasto pochłania ciemność. Później to... ugrzecznilono. Żeby nie smucić dzieci takich jak ty.

A wreszcie postarano się o całkowite zaprzeczenie sprzedaży. Baśnie pana Borgii kreowały nie do końca pozytywny wizerunek magii. Przypominały też o tych jej rodzajach, które powinny zostać zapomniane. Nie pasowały do dzisiejszego świata, w którym czarodzieje nosili garnitury i prowadzili poważne interesy, kłóciły się z nową ideą bezstresowego wychowywania i troski o delikatną psychikę dziecka. Baśnie musiały kończyć się dobrze, nawet jeżeli w życiu było dokładnie odwrotnie.

– Co teraz zrobisz?

– Ostatnio w Krakowie postrzelono jeszcze dwie osoby. Dwóch czarodziei – stwierdziła, strzepując dłonie z pewną irytacją. Magia zaczynała wymykać się spod jej kontroli, co niosło ze sobą pewne niebezpieczeństwo. W takiej nocy nie powinna być uwięziona na zamku w zaciszu pokoju. – Nie znałam żadnego z



nich, ale kto wie, czy nie istnieje jakiś związek. Może ktoś bardzo nie lubi magicznych?

Wciąż zdarzały się takie jednostki. Niechęć obracała się przede wszystkim przeciwko istotom magicznym, całemu temu baśniowemu ludkowi, nieomal wytępienemu, wypchniętemu przez ludzi z naturalnych środowisk, egzystującemu gdzieś na marginesie bądź powoli dostosowującemu się do nowych warunków. Syreny, rusalki, skrzaty. Były jednak też jednostki bardziej radykalne. Domagające się większej kontroli nad czarodziejami. Za przewiny jednego chcące karać wszystkich po równi. Ostatnie wydarzenia w Krakowie wcale nie pomogły. Podsyciły strach wobec magii, choć Loża stawała na głowie, by naprostować sytuację.

– Dostałam akta ofiar.

I spróbuję znaleźć ciała – dokończyła w myślach, ale ugryzła się w język, nim wypowiedziała słowa na głos. Duch nie duch, zdradzanie mu zbyt wiele nie byłoby mądrym posunięciem. Ostrożność Sary czasem zahaczała już o paranoję, chłopiec jednak wzbudzał w niej pewną podejrzliwość. Na kogoś, kto pozostaje praktycznie bezkarny i przyczepia się do ciebie z niewiadomych powodów, należy uważać.

– Opowiedziałam ci historię. Nie obiecałeś przypadkiem, że się wyniesiesz?

Gdy skierowała wzrok na łóżko, to było już puste.

\*\*\*

Tomasza Lemiatowskiego i Janusza Klonka łączyło jedno: Wydział Magiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jeden na nim studiował, drugi wykładał. Byłby to doskonały punkt zaczepienia, gdyby nie fakt, że Sara z Wydziałem nie miała nic wspólnego. Jej poprzednik, Jeremi, nim został Pierwszym, przez kilka lat wykładał na Uniwersytecie historię magii. Kalina Czerwona Iskra, dawna Pierwsza Czarodziejka, czasem prowadziła krótkie kursy praktyczne dla najbardziej uzdolnionych studentów. Sokolska jednak nie cieszyła się poważaniem grona pedagogicznego Wydziału, sama zaś wyrobiła sobie bardzo złą opinię o systemie edukacji magicznej. Nie utrzymywała kontaktu z profesorami, nie wykładała, a na studentów mogła co najwyżej wpaść przypadkiem w jednym z licznych krakowskich klubów.

Musiało chodzić o coś więcej.

– Policja... Trochę to wszystko przegrzebała – mruknął Piotrek, wysoki, chudy student informatyki stosowanej, współlokator Lemiatowskiego, wpuszczając ją do pokoju Tomka. – Jego siostra ma przyjechać po rzeczy, ale jakoś się nie spieszy, pokój opłacili na kolejne dwa miesiące...

Przejechał dłonią po włosach nerwowym gestem, przypatrując się Sarze z pewną obawą. Mieszkanie pod jednym dachem z czarodziejem nauczyło go, że talent niekoniecznie widać po danej osobie na pierwszy rzut oka. Przez ostatnie trzy lata zdążył poznać jedną maginię, jedną czarownicę i pięć czarodziejek. Owszem, dwie z nich nosiły się na czarno, obwieszały biżuterią i tatuowały sobie ramiona, ale pozostałe wyglądały zupełnie normalnie. Mimo to po królewskiej czarownicy jakoś podświadomie spodziewał się czegoś więcej niż dzinsów, znoszonych kozaków i połatanego plecaka.

– W porządku. Nie narobię bałaganu. Tylko nie próbujcie mi tam wchodzić, jasne?

– Ten... Czy to coś niebezpiecznego? – spytał z pewnym wahaniem. Sarę przez chwilę korciło, żeby odpowiedzieć, że owszem, ale już od dawna żadne demony jej nie uciekły, i żeby nie przejmowali się, jak coś zacznie wyc. Straszenie biednego chłopaka jednak nawet czarownicy wydało się z lekka bezsensowne i nie dające żadnej satysfakcji.

– Nie. Muszę przejrzeć jego rzeczy, poszukać śladów aury. Ktoś zresztą na pewno to już zrobił. Po prostu nie chcę żadnych zakłóceń – wyjaśniła, wreszcie przekraczając próg pokoju, w którym przez prawie trzy lata mieszkał Tomek Lemiatowski.

Było to jedno z tych pomieszczeń, po których łatwo poznać, że nie są własnością swojego lokatora, a zaledwie przystankiem. Meble nie pasowały ani do siebie, ani do młodego chłopaka. Obrotowy fotel na kółkach dziwnie wyglądał przy wiekowym biurku, a łóżko z Ikei kontrastowało ze stojącą tuż obok ciężką szafą z wiśniowego drewna. Na od dawna nie odmalowywanej ścianie wisiały plakat i fotografia przedstawiająca Tomka z kolegami. Sara przejechała palcami po dziurkach świadczących o tym, że jeszcze jakiś czas temu musiały tu być przynajmniej dwa inne zdjęcia. Ktoś je zebrał, czy sam zdjął ze ściany wizerunek byłego przyjaciela albo porzuconej sympatii?

Rzeczy Tomasza poniewierały się po pokoju – może dlatego, że chłopak był bałaganiarzem, a może wywleczone przez policję i zapewne też profesorów (Sara

mogła się założyć, że na Wydziale zapanowała już lekka panika). Komputer został zarekwirowany. Otrzymała obietnicę, że zostanie poinformowana, jeśli ustalą, z kim Tomek miał spotkać się tamtej nocy, ale jakoś nie wierzyła, że faktycznie coś odkryją. Nie szkodzi. Jej nie interesowało archiwum rozmów na komunikatorach ani dokumenty zmarłego chłopaka. Potrzebowała samych śladów jego obecności. Przewinęła się przez pokój, zaglądając pobieżnie do szafek, zerkając na książki stojące na półce, przeciągając dłońią po szaliku przerzuconym przez oparcie fotela. Zaciągnęła żaluzje, przekręciła klucz w drzwiach, a potem wplotła odrobinę magii w zamek i klamkę. Nie dość, żeby powstrzymać jakiegoś czarodzieja, który postanowiłby wejść do środka, ale wystarczająco, by zniechęcić ciekawskiego studenta. Potem usiadła na podłodze, przybrudzonej, ewidentnie niesprzątanej od dłuższego czasu. Zamknęła oczy, kontrolując oddech i powoli wprowadzając się w trans. Żaden z czarodziei wysłanych przez Lożę nie mógłby zrobić czegoś takiego. Niektóre rodzaje magii pozostawały domeną czarownic.

Drobne czary rzucane w pokoju. Dawne emocje, złość, strach, radość i niepewność. Pojedyncze słowa, przebliski zdarzeń, za wiele i za szybko znikające, by dało się wyłowić z nich coś konkretnego. Nucona piosenka, pocałunek, kubek roztrzaskany o ścianę, krew płynąca ze skaleczenia, wyszeptane zaklęcie. Wybiegająca z płaczem dziewczyna. To były zaledwie okruchy. Musiało wystarczyć. Fakt, że Tomek władał magią, mógł wiele ułatwić.

Coś prześlizgnęło się przez jej umysł. To nie była prawdziwa obecność, zaledwie wspomnienie istnienia takiej, sprawiło jednak, że Sara gwałtownie przerwała kontakt. Szarpnęła się w niekontrolowanym odruchu. Uderzyła głową o szafę i syknęła z bólu. Wyjście z transu, zwłaszcza tak nagłe, zawsze pozostawiało po sobie uczucie dezorientacji.

– Grzeczny, kurwa, chłopiec – mruknęła. Raporty na temat Tomasza były krótkie i wyrastał z nich obraz wzorowego studenta Wydziału Magicznego. Wzorowi studenci Wydziału nie parali się jednak pewnymi rodzajami magii i na pewno nie kontaktowali się z żadnymi istotami, które można by uznać za demoniczne. Nikt nie nauczał takiej magii. Przynajmniej nie oficjalnie. Ci, którzy próbowali, zazwyczaj byli jak dzieci we mgle i prędzej czy później źle kończyli.

Ślad był słaby. Nie wyłapałaby go, gdyby nie to, że sama nie była grzeczną dziewczynką i z pewnością wywalono by ją z hukiem z każdej uczelni. Istniał jednak, a to dawało pewien punkt zaczepienia.

Przez chwilę siedziała jeszcze na podłodze, uspokajając oddech, czekając, aż przed oczyma przestaną fruwać mroczki. Potem podniosła się, zgarnęła do plecaka szalik i wyszła z pomieszczenia, starannie zamykając za sobą drzwi.

\*\*\*

Tym razem przygotowała się lepiej.

Odpowiednie stanowisko (i wysoka pensja) pozwalały na zdobywanie niektórych rzeczy jeśli nie od ręki, to w ciągu kilku godzin. Rzadko korzystała ze sporządzonych przez innych amuletów, uznając je zawodne, słabe i posiadające paskudne słabe punkty. Na przykład łatwo było wyczuć, że ktoś taki posiada. Tym razem jednak kazała sobie jeden z nich dostarczyć. Oprócz prostego amuletu generującego słabą tarczę, do pokoju czarownicy dostarczono też najnowszy model kamizelki kuloodpornej. Sara nie przepadała za takimi rzeczami, ale umiała uczyć się na błędach. Kto nie dostosowywał się do warunków gry, ten z niej po prostu odpadał. Wreszcie wymalowała sobie kilka znaków na twarzy i dłoniach, owinęła szyję szalikiem Tomasza, a potem tak zabezpieczona opuściła Wawel i ruszyła Grodzką w stronę Rynku. Dochodziła druga w nocy – o tej porze zimą w okolicy przebywali głównie bywalcy nocnych klubów i taksówkarze. Dwie dziewczyny w spódniczkach, których długość była odwrotnie proporcjonalna do wysokości obcasów. Podpity, wyraźnie wściekły chłopak. Rozradowana większa grupka, wspólnie opuszczająca imprezę. Sara szła z dłońmi wbitymi w kieszenie, z opuszczoną głową, pozornie obojętna na to, co działo się dookoła. Czuwała jednak, sięgając wokół, nieustannie przeczesując okolicę, gotowa zareagować na najdrobniejsze drgnienie aury. Kolejna porcja paskudnego eliksiru i kilka ponownie rzuconych zaklęć Leona ostatecznie zaleczyły ranę i odeгнаły osłabienie. Tym razem nie było miejsca na błędy. Zbyt często pozwalała sobie na nieostrożność, za wiele razy omal nie zapłaciła za to życiem.

Zatrzymała się koło Sukiennic – tam, gdzie przed paroma dniami niespokojnie krążył duch. W powietrzu wciąż wisiały słabe echa jej własnego zaklęcia, przywołany ślad po świeżej, gwałtownej śmierci. Sara ściągnęła szalik i zaczęła powoli go pruć. Magię ukierunkowywać można było na wiele sposobów – sztywne regułki, słowa i gesty stanowiły domenę współczesnych czarodziejów. Nasączała wełnę własną mocą, skupiając się na odczycie wyniesionym z mieszkania Tomasza i nucąc cicho melodię zapamiętaną ze strzępów jego wspomnień.

– No dalej – wymruczała, rzucając wyprute nici na udeptany śnieg. Kręciło się jej w głowie od upływu energii. – Znajdź pana.

Trzymała końcówkę zielonego pasma, powstałego po spruciu szalika. Włóczka rzucona na ziemię zwinęła się i ruszyła zygzakiem niby wąż. Sara próbowała zdusić przyływ samozadowolenia: nie wiedziała jeszcze, jakie będą efekty. Mogła zostać poprowadzona z powrotem do mieszkania, do budynku Wydziału albo ku ulubionej knajpie Tomasza. Magia bywała nieprzewidywalna. Może dlatego ludzie tak bardzo chcieli zamknąć ją w konkretnych formułkach. Okiełznać i uniemożliwić powstawanie niezamierzonych efektów ubocznych.

Podążała za śladem zieleni. Nie mogli zabrać ciała Tomasza daleko – nawet późną, zimową nocą zdarzali się przechodnie, tu i ówdzie zamontowano kamery. Nici z poprutego szalika wiły się po rynkowej płycie, poprowadziły Sarę boczną uliczką, aż w końcu wślizgnęły się w szparę pod masywnymi drzwiami w jednej z bardziej zniszczonych kamieniczek. Nie sklep, a mieszkania w starym budownictwie, wynajmowane przez studentów bądź zamieszkiwane przez tych, którzy nie mieli innego wyboru. Sara zakłęła pod nosem, wyczuwając, że na drzwi nałożono proste zakłęcie antywłamaniowe. Ostatnimi czasy standard w większych miastach, obrona zarówno przez zwykłymi złodziejami, jak i zuchwałymi, młodymi czarodziejami.

Taka Lidia albo Krystian otworzyliby zamek jednym słowem i prostym gestem. Dla Sary stanowiło to trochę większy problem. Mogłaby przyjść tu rankiem oficjalnie, ale nie miała ochoty tracić czasu.

– No dalej... – mruknęła, napierając na drzwi, dotykając ich czołem i otwartymi dłońmi, jakby chciała zrosnąć się z powierzchnią w jedno. Czuła nitki zakłęcia wplecione w drewno, nie próbowała jednak rozplątać czaru. Miał chronić przed włamywaczami, a ona w pewnym sensie wszędzie w Krakowie była u siebie. Z miastem łączyła ją magia starsza niż stojące wokół budynki, zaś pakty składane przez Pierwszych działały w obie strony. Usiłowała więc sięgnąć do mocy spowijającej wejście, zmusić, by ją przepuściła, nagiąć do swojej woli.

Drzwi otworzyły się tak nagle, że czarownica straciła równowagę i upadła, boleśnie objając kolana. Na szczęście nie narobiła przy tym dość hałasu, by przebudzić mieszkańców ze snu. Przeklinając w myślach na czym świat stoi, z trudem pozbierała się z podłogi, zatrzasnęła za sobą drzwi i ruszyła za strzępami

zielonego szalika w dół, do piwnic. Czego innego mogła się spodziewać? Zawsze musiały być jakieś piwnice.

– Klasyka, psia mać – wyszeptała. Nie szukała włącznika światła, pozwalała oczom nawyknąć do ciemności, skupiając się na postrzeganiu wykraczającym poza zwykłe zmysły. Ciemność nie musiała stanowić przeszkody, a Sara na razie nie wyczuwała żadnego niebezpieczeństwa. Przeszła nad włóczęką, która znieruchomiała w końcu korytarza, i zatrzymała przy piwnicznych drzwiach. Starych, odrapanych, wyglądających, jakby jeden cios mógł je wyłamać, kiedyś jednak zabezpieczonych kilkoma zaklęciami. Zdecydowanie nieoferowanymi w standardowym pakiecie ochrony magicznej. Rzucone jakiś czas temu, nie dość silne, by wciąż twardo bronić przystępu, pozostawiły po sobie pewne ślady w powietrzu i mogły zniechęcić do zbliżania się nadmiernie ciekawych sąsiadów.

Raz, dwa, trzy, dziś mój jesteś ty – przeszło jej przez myśl. Przez chwilę miała ochotę widowiskowo wyważyć drzwi kopniakiem, ale bała się jeszcze o nieszczęsną, świeżo zaleczoną ranę. Pchnęła je więc magią, a przez jej twarz przebiegł grymas, gdy otworzyły się z głośnym trzaskiem. Zamarła, nasłuchując dźwięków z góry, ale albo nikogo nie przebudziła, albo nikt nie kwapił się do sprawdzania, kto hałasuje w piwnicach. Dobrze. Nie miała ochoty na tłumaczenia ani pozbywanie się gapiów.

Smród uderzył w nozdrza tuż za progiem. W piwnicy było zimno, więc procesy gnilne zachodziły wolniej, a ciało nie zwabiło owadów, lecz przez te kilka dni dotknął je już rozkład. Czarownica syknęła cicho i wyciągnęła z kieszeni zapalniczkę. Potrafiła poruszać się w ciemnościach równie dobrze jak za dnia, ale teraz nie mogła przegapić żadnego szczegółu. Dwa pstryknięcia i niebieski ognik zawisł w powietrzu, a Sara skoczyła w tył, wpadając na ścianę. W pierwszym odruchu omal nie rzuciła się do ucieczki. Istniały rzeczy zdolne wywołać panikę nawet w niej, ta zaś była jedną z nich. Dopiero po kilku sekundach dotarło do Sokolskiej, że nie czuje żadnej potężnej mocy w powietrzu i że gdyby faktycznie tu do czegoś doszło, musiałaby wyłapać echa już na progu, a mieszkańcy budynku pewnie byliby martwi. Mimo to nie ruszała się z miejsca, przytulona do wilgotnej ściany, powoli uspokajając oddech.

Piwnica była pusta, bez jakichkolwiek sprzętów. Podłogę pokrywały częściowo zatarte znaki, wyrysowane kredą. A pomiędzy nimi leżał Tomasz Lemiatowski, w

samych spodniach, pozbawiony górnej części odzienia. Klatkę piersiową chłopaka rozszarpano i Sara od razu pojęła, co się stało.

Ktoś wyciął mu serce.

Sara zacisnęła na moment powieki, co wywołało natychmiastowy napływ niechcianych obrazów, dawnych wspomnień, rycin oglądanych w książkach. Gdyby bardzo się skupiła, mogłaby zbadać ślady zakłęk na drzwiach, być może też wyczuć pozostałości po tych, którzy przywlekli tu ciało, by je zmasakrować.

Nie odważyła się na to. Sam widok wystarczył, by wytrącić Pierwszą Polanii z równowagi. Serca czarodziei wycinano tylko w dwóch przypadkach – na dowód śmierci i w próbie przejęcia ich mocy.

I nikt nie powinien o tym pamiętać. Rytuał zaginął w mroku dziejów, zaś same pogłoski o nim brano za bajki. Ktoś jednak próbował go przeprowadzić, choć najwyraźniej bez powodzenia. Czarownica zmusiła się do odsunięcia od ściany, po czym obeszła ciało Tomka, poszukując śladów. Dłoń odruchowo powędrowała do klatki piersiowej.

Przynieście mi jej serce.

Pochwyliła błękitny płomień w dłoń, gasząc go, wtedy ciemność w kącie pomieszczenia poruszyła się.

– Wiele Pieśni – mruknęła Sara, nie patrząc w tamtą stronę. Starła się kontrolować oddech. Cofnęła się ku drzwiom, przysłaniając nos i usta rękawiczką. Wbiła wzrok w podłogę poznaczoną znakami. Było jej wstyd: za własną słabość, za nieostrożność, za to, że nie panowała teraz do końca nad sobą i że zawdzięczała życie tej pogardzanej przez siebie istocie. Przejechała językiem po spierzchniętych wargach. Kolejne słowa przyszły z trudem, wypowiedziała je sztywno, niechętnie.

– Jestem ci winna podziękowania.

– Zapewne, więdźmo – odparła Wiele Pieśni. – Lecz mnie nie trzeba twej wdziędźności.

– Czego więc potrzebujesz?

Miała ochotę uciec. Zarówno z powodu okaleczonego trupa, jak obecności Wiele Pieśni. Przypominała jej o własnej śmiertelności, o niechcianym, zacięgniętym przez przypadek długu. Ostatnim razem za podobną pomoc drogo musiała zapłacić.

– Co zrobisz, gdy znajdziesz tych, którzy to zrobili? – Wiele Pieśni zignorowała pytanie czarownicy. Poruszyła się, podchodząc do ciała. Sara na

moment zacisnęła mocno usta. Czy poprosi o łaskę, o zmiłowanie? Odpowiedź mogła być tylko jedna.

– Zabiję.

– Bo omal nie umarłaś?

– Nie. – I to była prawda. Próba zabójstwa stanowiła dla Sary dostateczny powód, by zabić w odwecie. Teraz jednak chodziło o coś więcej. Znacznie więcej.

– Bo chcieli sięgnąć najgorszego rodzaju magii. Uważasz, że nie powinnam? Tego, kto zrobił to ostatnim razem, skazano na śmierć, a jego duszę uwięziono na wieki.

Drgnęła niespokojnie, gdy Wiele Pieśni rozplynęła się w mroku, znikając jej z oczu. Obecność pozostawała jednak wyczuwalna, Sara mogłaby przysiąc, że istota stoi tuż za nią. Pewnie zresztą tak właśnie było.

– Dlatego, że zapragnęli twego serca?

Z trudem powściągnęła gniew. Kiedyś, pewnej letniej nocy, obiecała Wiele Pieśni... obiecała, że gdy ta posunie się za daleko, nocą w mieście zapłoną światła i zniknie wszelka możliwość ukrycia. Mogła zmusić magicznych do takich łowów, mogła zapolować na Wiele Pieśni. Teraz jednak leżał pomiędzy nimi niespłacony dług.

– Nie odebrano go.

– Zbyt długo czekano – odparł cicho bezcielesny głos. – Znam tę pieśń, Saro. W strachu i rozpaczycy zabiłaś tych, którzy mieli je zabrać. Przerażona po równi atakiem, jak tym, co sama uczyniła. Czy teraz zabijanie nie stało się zbyt łatwe?

– Czego ode mnie chcesz, Pieśniarko? – warknęła, nie kryjąc już wściekłości. Przeklęta, zbyt dużo wiedząca Wiele Pieśni! – Znasz cudze historie, znasz mój los. Wiem o tym. Po co mi to mówisz?

– Jeśli wypowiem życzenie, wykorzystasz je przeciw mnie.

Wiele Pieśni stała tak blisko, że niemal się dotykały. Głos rozbrzmiał tuż przy uchu i Sara musiała się zmusić, by pozostać na miejscu.

– Wykorzystasz, gdy uznasz to za przydatne – kontynuowała istota, a Sara coraz mocniej zaciskała zęby. – Spętasz i spróbujesz nagiąć do swej woli, jeśli tego będziesz potrzebować. Potem odrzucisz na bok niczym śmieć bądź bez żalu przetniesz nić żywota. Czy różnisz się tak bardzo od tych, których utkano z mocy, wiary i pragnienia? Miałaś dobrych nauczycieli. Pojęłaś tę lekcję.



– Dość!

Przekłeta, przekłeta, przekłeta po wielokroć, bo mówiła prawdę! Prawdę, której Sara wcale nie chciała słyszeć. Twierdziła, że kontakty z takimi istotami są złe, ale gdy sama tego potrzebowała, nie wahała się długo. Nienawidziła ich za to, co czyniły, jednocześnie postępując podobnie. Cóż, czasem bywała hipokrytką, nie miała jednak ochoty słuchać pouczeń Wiele Pieśni. Ruszyła do wyjścia. Zamknęła za sobą drzwi mocnym szarpnięciem klamki. Powinna usunąć znaki, nie potrafiła jednak się do tego zmusić. Ciemność wyciekła ze szpary pod wejściem, przesączyła się przez dziurkę od klucza. Sara z niechęcią pomyślała, że może nie doceniła Wiele Pieśni. Zacisnęła palce na zapalniczce skrytej w kieszeni. Istota mogła być potężniejsza niż czarownica niegdyś podejrzewała, wciąż jednak nawet odrobina magicznego światła wystarczyła, by pozbyć się tego stworzenia żyjącego tylko w mroku.

– To mogło być też twoje serce – powiedziała Wiele Pieśni, materializując się pod ścianą. – Gdybym nie pojawiła się przy tobie.

– Wiem! – znów podniosła głos, przez co zabrzmiały w nim histeryczne nuty

– sama się za to przekłeta. Ta myśl wywoływała mdłości, wprawiała w złość i panikę jednocześnie. Była wtedy bezbronna. Cała jej moc nie wystarczyła: ocalała ją Wiele Pieśni i dwóch mężczyzn przypadkiem przechodzących w pobliżu. Sara odetchnęła, usiłując odzyskać choćby pozory opanowania. – Wiem. Mów, co chcesz powiedzieć. Chyba, że przyszedłeś tylko po to, żeby mnie podręczyć. Sprawia ci to satysfakcję?

– Odrobinę. Może próbuję dać ci lekcję, Pierwsza Czarownico Polanii? – tytuł wypowiedziany przez Wiele Pieśni brzmiał niemalże obraźliwie. – Dużo widzę w ciemności. Ostrzegam cię, po raz kolejny. Towarzyszy ci coś, czego tu być nie powinno, a czego nie potrafię zobaczyć. Ten biedny chłopiec zaś zapłacił za swe wybory.

– Był pomiędzy nimi, prawda? – spytała. Poczuli się nagle zmęczona i podparła się o brudną ścianę. W budynku nie płonęły żadne światła. Grzejniki emanowały ciepłem, niezdolne jednak do całkowitego odegnań chłodu wgrzającego się w wiekowe ściany, przenikającego przez nieszczelne okna. Mieszkańcy pozostawali pogrążeni we śnie. Mogła wyczuć to wszystko, spokojną aurę kamienicy, ślady jej dawnej historii. – Na Floriańskiej. Wyczułam coś w jego mieszkaniu. Ślad... obecności.

– Był – potwierdziła Wiele Pieśni. – Ale nie w tym twój największy problem. Duchy, mała Saro, pojawiają się wokół ciebie. To niedobrze, czyż nie?  
Sara otworzyła usta, chcąc zadać kolejne pytanie. Nie zdążyła. Ciemność w piwnicy była już tylko ciemnością. Niczym więcej.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

## GŁUCHY TELEFON

Rozległ się wibrujący w uszach dźwięk, a drzwi tramwaju zamknęły się za ostatnim wsiadającym. Pojazd wypełniał się powoli, wraz z przemierzaniem kolejnych przystanków, miejsce obok Sary i naprzeciw niej pozostawały jednak wciąż puste. Za oknem migały nowoczesne bloki i placówki naukowe, tak bardzo kontrastujące ze starą częścią miasta. Zdarzało się jej słyszeć, jak ludzie na to narzekają. Czarownica lubiła te szerokie ulice, ścieżki rowerowe, przeszklone kampusy, bloki z balkonami, kamienice, te świeżo odrestaurowane i te odrapane, Planty, Kazimierz, nawet galerie handlowe i stadiony sportowe. Wszystko było częścią miasta, mającego wiele różnych twarzy.

– Czy można?

Oderwała spojrzenie od szyby i otworzyła usta, ale nie padło żadne słowo. Siedziała w bezruchu, z uniesioną głową, głupią miną i rozchylonymi ustami. Mężczyzna trzymał się barierek, przypatrując się Sarze z uprzejmym zainteresowaniem. Oczy miał ciemne, jak dwa węgle, a gęsty zarost maskował rysy twarzy. W czerwonym kaftanie można by wziąć go za jednego z przebierańców, licznie oblegających każdego roku Rynek.

– Co ty tu robisz? – wyrwało się jej w końcu. W głowie panowała pustka i nie potrafiła powiedzieć nic innego. Jan Twardowski przepchnął się między siedzeniami i zajął miejsce naprzeciwko Sary. Tramwaj z turkotem pokonywał Most Grunwaldzki. Powierzchnię Vistuli pokrywała warstewka bieli, a nad rzeką górowała masywna sylwetka Wawelu.

– Podróżuję – odparł ze spokojem czarnoksiężnik, kładąc zniszczone, silne dłonie na kolanach. – Nie rób takiej miny, widzmo. Nie przystoi ci to.

– Nie ma cię tu.

Rozejrzała się po wnętrzu tramwaju, po ludziach siedzących na miejscach, trzymających się barierek. Jakieś wychudzone dziecko obejmowało kruchymi ramionami poręcz, patrząc na Sarę. Czarnoksiężnik nie przyciągał niczyjej uwagi i

to do pewnego stopnia ją uspokoiło. Lepiej cierpieć na zwidy, niż by Twardowski miał powrócić z za grobu. Czy też raczej: z za lustra.

– Jestem tak samo obecny, jak ty – zapewnił. Obdarzył ją uśmiechem, który nie dodawał twarzy ani grama wesołości, nie czynił jej bardziej przyjazną. – Sama mnie zaprosiłaś.

– Nieprawda. Zamknęłam wszystkie drzwi – syknęła, spoglądając na mężczyznę z wściekłością. Czarnoksiężnik był potężniejszy od niej, zapewne posiadał znacznie większą wiedzę i co najmniej równy spryt. Jednak nawet tacy jak on padali ofiarą własnych błędów i słabości. Tkwił w szklanym świecie i nie mógł przedostać się z powrotem do wymiaru śmiertelników. – Nie dostaniesz mojego życia.

– Nie przeczę, chętnie bym je zabrał. W ten czy inny sposób – przyznał Twardowski. Kolejny przystanek, kolejne osoby wchodzące do tramwaju wraz z chłodnym podmuchem. – Tym razem jednak przyszłaś do mnie sama i przyjdiesz ponownie. Ukryłaś moje Lustro?

– Tak, że nikt nie znajdzie do niego drogi – odparła sucho. W przeciwieństwie do niej Jan pozostawał idealnie spokojny, co wywoływało lekkie ukłucie wstydu, że ona nie potrafi zapanować nad emocjami. Gniew był dla niej przewodnikiem zbyt często.

– Ty zawsze je znajdziesz – napomniął. – Wyłowiłabyś Księżycowe Zwierciadło z dna każdego oceanu, odszukała je na najwyższych górskich szczytach. Wiecznie będziesz czuć jego moc. Będzie kusić, nęcić i powracać w snach. Poddasz się pewnego dnia. Należycie teraz do siebie i bez niego nie możesz być całością. Ono mogłoby dać ci odpowiedź. Zdradzić, kto na ciebie poluje, kto przyzywał nocnego władcę spoza granic śmierci...

Czarownica odruchowo zacisnęła palce. Wstała, uważając, by nie dotknąć nóg Twardowskiego. Nie chciała odkryć, że są w pełni materialne. Nie mogło go tu być – musiał być jakimś podstępem, czarem, okrucieństwem mocy Lustra, który pozostał gdzieś w niej, niezauważony, niewykorzystany. Każde słowo było kłamstwem, a on sam oszustwem. Przesunęła się do wyjścia i zamarła, dostrzegając na jednym z siedzeń Alkę. Dziewczyna uśmiechnęła się do niej przyjacielsko. Tomasz Lemiatowski stojący przy biletomacie odwrócił głowę i spojrzał na czarownicę bez większego zainteresowania. Ciemnowłosa kobieta w

podartej bluzie wciąż wyglądała przez szybę z nieobecnym wyrazem twarzy. Nie miała odbicia.

Sara, walcząc z atakiem paniki, wyskoczyła na chodnik, ledwo rozsunęły się drzwi. Przystanek Wawel, tuż pod zamkiem, zaledwie dwa kroki od zejścia na Planty. Omal nie wpadła na staruszkę, która próbowała wsiąść do tramwaju. Czarownica nie zwróciła uwagi na pełen oburzenia okrzyk i przepchnęła się obok, byle dalej. Najpierw ludzie wysiadają, potem wsiadają, niech kobieta przyswoi sobie tę prawdę. Wiek nie wzbudzał w Sarze szacunku, a już z pewnością nie teraz, gdy rządził nią strach.

Nienawidziła się bać.

Stała na bruku gęsto posypanym solą i piaskiem, patrząc, jak odjeżdża tramwaj numer osiemnaście. Supernowoczesny, zgodny z europejskimi standardami. Przez chwilę pożałowała, że nie została w środku: teraz już nigdy się nie dowie, czy naprawdę miała halucynacje, czy też padła ofiarą jakiegoś wyjątkowo wymyślnego zaklęcia. A może duchy faktycznie tam były i tylko wizja Twardowskiego stanowiła podstęp? Gdy była w tramwaju chciała jednak uciekać, tylko uciekać – nie myślała racjonalnie i nawet teraz roztrzęsienie jeszcze nie minęło. Dłoń drżała, gdy sięgnęła do amuletu zawieszzonego na szyi – wartego przynajmniej miesięczną pensję pracownika budżetówki – i cisnęła go na ziemię. Mógł stworzyć tarczę, która zatrzymałaby kulę lub rozbiła średnio groźne zaklęcie, ale zarazem był łatwy do wykrycia. Mieszkała w nim cudza, obca czarownicy magia i Sara nie miała pewności, czy nie został właśnie użyty przeciwko niej.

Gdy kierowała się do zamku, po raz pierwszy od dawna było jej zimno.

\*\*\*

W pokoju czekał Krystian Chmielewski. Sara jakoś nie była tym zaskoczona. Nie była nawet zirytowana. Chyba podświadomie spodziewała się, że gdy wróci do komnaty, kogoś w niej zastanie. Ostatnio mało kto przejmował się jej prywatnością.

– Jeszcze ty? – rzuciła ze znużeniem, pozbywając się kurtki i butów. Chmielewski, Julian, Wiele Pieśni, małe dziecko, Twardowski. Zaczynała czuć się prześladowana i to bynajmniej nie dlatego, że ktoś śledził ją nocą i próbował zabić. – O co chodzi tym razem?

Czarodziej przypatrywał się jej znad okularów. Wyraz twarzy miał poważny i tym razem, co odnotowała z pewnym zdziwieniem, nie zabrał ze sobą żadnej

książki. Sara znieruchomiała na moment, z dłońmi wciąż w rękawach kurtki, spoglądając na Krystiana. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz widziała go w widmowej formie bez jakiegoś grubego tomu w rękach.

– Czy ktoś umarł?

– Jedna osoba – przyznał Chmielewski. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Uniosła brwi, pozbyła się do końca wierzchniego okrycia i rzuciła je niedbale na łóżko. – Wiktor Orłowski, zastrzelony podczas wieczornego biegania.

– Czarodziej?

– Nie. Policjant.

– Nie? – zdziwiła się szczerze. To nie pasowało do wzorca. Dwa trupy, jedna niedoszła ofiara – wszyscy byli magiczni. Krystian śledził ją uważnym spojrzeniem, jakby oczekiwał, że zaraz wyrośnie jej druga głowa. W dodatku ziejąca ogniem. – Czy mam coś na twarzy? Bo mam nadzieję, że nie przypatrujesz mi się tak, ponieważ nagle zapalałeś do mnie nieskończonym afektem...

– Przestań się wydumniać – odparł ostrym tonem, którego używał raczej rzadko. Wiceprzewodniczący Łoży przez znakomitą większość czasu dokładał wszelkich starań, by uchodzić za nieszkodliwego, nieco oderwanego od rzeczywistości naukowca. Z całkiem niezłymi efektami zresztą. Dość powszechnie uważano, że pozycję zawdzięcza raczej wiedzy niż talentom, którymi specjalnie się nie afiszował. Sara jednak była pewna, że to, że nie demonstruje mocy nie oznacza, że ich nie posiada. W dodatku zdołała zdobyć jego oceny z uniwersytetu – takich not końcowych nie mogła zapewnić sama teoria. – Nie możesz choć czasem być poważna? Gdzie byłeś wczoraj w nocy?

– Na orgii połączonej z rytualnym składaniem ofiar, tatku – wycodziła. – Sugerujesz, że go zabiłam? Siebie też postrzeliłam, żeby oddalić podejrzenia? W plecy?

– Mieszkał na tym samym osiedlu, co ty.

Te słowa wywołały podwójne zaniepokojenie. Sara nie lubiła nawet samej świadomości, że Krystian zna jej drugi adres. Mieszkanie oficjalnie nie należało do Sary Sokolskiej i stanowiło swojego rodzaju ostoję, gdy potrzebowała odpocząć od Juliana, Łoży, polityki i mieszkańców zamku. Fakt, że w okolicy zastrzelono kogoś

wkrótce po tym, jak strzelano do niej, nakazywał dodatkową ostrożność. Kolejny powód, by nie mogła czuć się tam w pełni bezpiecznie.

– A to znaczy, że ja go zabiłam? – spytała zimno, opadając na krzesło. – Byłam najpierw w mieszkaniu Lemiatowskiego, potem na Wawelu, później na Rynku. Znalazłam ciało Lemiatowskiego. Rano poinformowałam o tym policję. Nawet nie bardzo umiem strzelać. Zadowolony?

Krystian milczał długą chwilę, przypatrując się jej, jakby próbował oczyma przewiercić umysł i dotrzeć do myśli. Nie lubiła wzroku Chmielewskiego – w pewien sposób wywoływał skojarzenie z Twardowskim – jednak nie dała tego po sobie poznać. Odpowiedziała buntowniczym spojrzeniem, zwalczając w sobie chęć pokazania mu języka. Nie zachowuj się jak dziecko, wiedzmo – głos czarnoksiężnika odbił się echem w jej głowie.

– Nie do końca – westchnął w końcu Krystian. Rozluźnił ramiona, jakby opuściło go jakieś napięcie, przymknął oczy. On mógł pozostać zrelaksowany i nieuważny nawet w basenie pełnym piranii. Póki podróżował w swej niematerialnej formie, nic nie miało prawa się mu stać. – Nie chodzi o to, kto go zabił, lecz o to, kto przywołał go z powrotem. To stało się między zmierzchem a świtem. Miałaś dość czasu...

– No jasna cholera! – wściekła się Sara. Trzepnęła otwartą dłońią o stół tak mocno, że aż ją zabolalo. Informacja o tym, że martwy powrócił do życia nawet już nie dziwiła. Nie po tym, co działo się w podziemiach zamku. – Jeszcze do ciebie nie dotarło? Ich jest za dużo! Jedna osoba nie mogłaby tego zrobić! To nie jedna czarownica, nie tylko jakiś czarodziej, bo nie ma osoby dość potężnej na takie działania! Ktoś tu prawdopodobnie przehandlował duszę, rozumiesz? Albo zrobił inne, bardzo paskudne rzeczy. Jak to sobie wyobrażasz? Biegam po mieście i na każdym kroku przywołuję kogoś zza grobu? Po jaką cholere?

Krystian splótł palce, patrząc na nią uważnie. Chęć rzucenia w niego dowolnym przedmiotem w zasięgu ręki narastała. Sara zacisnęła wargi. Czarodziej, co dostrzegła dopiero teraz, zdawał się niewyspany i zmęczony. Pierwsze zmarszczki były jakby wyraźniejsze, pod oczyma znaczyły się cienie. Znów spędził noc pośród książek, może nawet kilka nocy. Na swój sposób też próbował znaleźć rozwiązanie.

– Niektórzy podejrzewają, że Księżycowe Zwierciadło sprawiło, że oszalałaś – stwierdził w końcu sucho. Otworzyła usta, by zaprotestować, dłoń mężczyzny

powędrowała w górę, jakby w próbie ucięcia wyjaśnień, nim te się zaczęły. – Nie przerywaj. Kontaktowałeś się z demonami, spojrzałeś w lustro Twardowskiego, poszłaś do samego serca mroku. Najwięcej duchów występuje na Wawelu oraz w okolicy Parku Łukomskiego. Jeden pojawił się w świeżo wzniesionym budynku, gdzie pół roku temu zlikwidowałaś strzygi. Jestem pewien, że wszędzie, gdzie jest jakiś duch, używałaś magii...

– Mieszkam w tym przeklętym mieście od lat. Używałam magii praktycznie w każdej dzielnicy – odparła z udawanym spokojem. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. *Duchy pojawiają się wokół ciebie.* Niemożliwe, żeby ktoś przywoływał je w takiej liczbie dla samego przywołania. Nie chodziło o wypytanie, przywrócenie ukochanej osoby, próbę spętania czy wykorzystania pojedynczego bytu. Raczej efekt uboczny bądź element większego planu. Powstrzymała wzdrygnięcie na myśl o rozszarpanej klatce piersiowej studenta.

– W kryptach zakotłowało się, gdy użyłaś tam magii.

– I co z tego? Adam też tam czarował. Co sugerujesz? Pstrykam palcami, rzucam drobny czar, i przywołuję duchy? – prychnęła i pstryknęła, iskry wleciały w powietrze. Ciemnowłosy chłopiec siedzący pod ścianą spojrzął na nie z fascynacją, a Sara zamarła. Krystian zdawał się jednak niczego nie zauważać, kolejne słowa zaś skutecznie odwróciły jej uwagę.

– Skąd pochodzisz?

– Naprawdę sądzisz, że ci powiem?

Pilnowała, by nikt nie dowiedział się, skąd przyszła. Wszelkie ślady zostały zatarte, nazwisko nie było prawdziwe. Nie chodziło o to, że to życie Sary kryło jakieś mroczne tajemnice – czy też inaczej, kryło ich wiele, ale większość nie dotyczyła dzieciństwa. Nie zamordowano jej rodziny, nie była maltretowana, ojciec nie należał do żadnej sekty. Nie chciała po prostu, żeby ktoś w tym grzebał. Odeszła, koniec, kropka, finito, nie pasowała tam, tak miało pozostać. Te informacje na pewno nie były czymś, co przekazałaby Łoży.

– Przypadkiem nie znad morza? – spytał lekko Krystian. Sara zdołała zapanować nad twarzą i wciąż patrzyła na czarodzieja z tą samą mieszkanką irytacji i niechęci. Przemówiła jednak dopiero po chwili, gdy była pewna, że głos jej nie zdrzży.

– Będziemy się bawić w ciepło-zimno, póki nie dostaniesz dość wskazówek? Nic z tego. Chrzań się, Chmielewski. Nie mam zamiaru ci się zwierzać.



– Naprawdę potrzebuję kawy – westchnął mężczyzna. Zmarszczył czoło i z pewnym zaskoczeniem spojrzął w bok. Chłopiec przemieścił się spod ściany, stał teraz tuż obok fotela Krystiana, przypatrując się wiceprzewodniczącemu Łoży. Czarodziej patrzył prosto przez niego, sądząc zaś po minie, czuł, że coś jest nie tak, ale nie był pewny, co. To trochę podniosło czarownicę na duchu. Jeśli Chmielewski w jakiś sposób wyczuwał obecność nieproszonego gościa, ten nie mógł być wytworem jej chorej wyobraźni. – W pewnym nadmorskim miasteczku ostatnio pojawiły się aż trzy duchy. Wywołały spore zamieszanie. Raczej nie ma tam za wiele magii, a mieszkańcom co najwyżej zdarza się zobaczyć czasem z daleka syrenę. Nie sądzisz, że to dziwne połączenie?

– Co to za miasteczko? – zapytała czarownica, choć mogłaby przysiąc, że już zna nazwę. W głowie jej szumiało. Takie rzeczy nie powinny się dziać. – Tak, to jest dziwne. Osoba w to zamieszana mogła tam przebywać. Duchy pojawiły się wcześniej niż w Krakowie?

– Lelkowo. Przed wielu laty mieszkała tam czarodziejka zwana Lelką<sup>4</sup> i, jeśli wierzyć opowieściom, miasteczko zawdzięcza jej swoje istnienie. – Znowu spojrzął na Sarę. Szukał na jej twarzy jakichkolwiek oznak, że wypowiedziane słowa nie są dla niej obce.

– Nie prosiłam o lekcję historii – parsknęła. Zachowuj się normalnie, Saro. Każda słabość, każde zawahanie, każde odchylenie od normy zostanie odnotowane. – Skup się. Duchy. Kiedy się pojawiły? Wysłaliście już tam kogoś?

– Ktoś bada tę sprawę – przyznał Krystian. Zaprzestał wprawdzie upartego rozglądania się, ale obejrzał się jeszcze dwa razy, jakby wyłapał coś kątem oka. – Na razie nie ustaliliśmy dokładnie czasu. Możesz szczerze powiedzieć, że ta nazwa nic dla ciebie nie znaczy?

– Mogę ci to nawet napisać w trzech kopiach. – Usta skrzywiły się lekko w wyrazie narastającej irytacji. Nie próbowała ukrywać zniecierpliwienia. Pozwoliła, by rozdrażnienie uwidoczniło się na twarzy i w tonie, skrywając za sobą inne emocje, których pokazać nie miała ochoty. – Czego ode mnie oczekujesz? Poza rozwiązaniem sprawy i potem najlepiej zniknięciem w niebycie.

– Nie rozumiem, dlaczego upierasz się, by traktować mnie jak wroga. – Zamilkł, podjął wątek po chwili, gdy stało się jasne, że Sara nie ma zamiaru mu odpowiedzieć. W jego głosie pobrzmiwało uprzejme zdumienie. – Żadnego „moi wrogowie są martwi”? „Dowiesz się, gdy uznam cię za wroga”?

– Nie lubię czczych pogrózek – odparła sucho. Gdyby naprawdę uznała, że śmierć Chmielewskiego jest jej potrzebna, po prostu spróbowałaby go zabić. Bez uprzedzania. Niekoniecznie w równym pojedynku, może niehonorowym ciosem w plecy. Od jakiegoś czasu miała nieprzyjemne wrażenie, że jeśli w Łoży jest ktoś zdolny z nią wygrać, to tą osobą jest właśnie Krystian. Wiedziała – oczywiście, że wiedziała! – że są moce potężniejsze niż te, którymi władała. Mimo to przyznawanie się do tego, że z kimś może nie dać rady, wciąż pozostawało trudne, a sytuacja w parku boleśnie uświadomiła Sarze jej własną kruchość. Sokolska nie lubiła przegrywać ani nawet rozważać możliwości porażki.

– Posłuchaj więc tej, bo nie jest czcza. Sprawa duchów zainteresowała wiele osób. Zwłaszcza po tym, co działo się tu pół roku temu. Roman ma zamiar udowodnić, że dotknęło cię szaleństwo Księżycowego Zwierciadła i, kierowana obłędem, siejesz zamęt w mieście. Jeśli znajdzie dość dowodów, nawet król ci nie pomoże. A już działa. Twój czas się kończy.

– Chyba go lubię – ocenił duch chłopca. Sara syknęła przez zaciśnięte zęby, po części z powodu słów Krystiana, a trochę chcąc uciszyć niewidzialnego gościa. Gdyby zaczęła mówić do kogoś, kogo Chmielewski nie widzi, z całą pewnością dostarczyłaby dowodów na to, że jest obłąkana.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytała z pozornym spokojem. Mogłaby przysiąc, że coś zimnego przesunęło się po jej kręgosłupie. Uśmiech Alki, obojętny wzrok Tomasza, ciemne oczy Jana Twardowskiego. Nie przywoływała duchów, ale może Roman Wawrzyniec miał trochę racji.

Może faktycznie zaczynało pochłaniać ją szaleństwo?

– Bo w żadnej książce nie znajduję odpowiedzi, jak powstrzymać to, co dzieje się w mieście. – Słowa wypowiadał powoli, przedłużając pauzy, jakby starannie rozważał, ile może powiedzieć. – Vega znów śni złe sny. W Krakowie dzieje się coś mrocznego, a ja nie wiem, jak to powstrzymać. Może tobie uda się znaleźć sposób. Nie zrobisz tego zamknięta w jakimś zakładzie.

– O ile pozwoliłabym się zamknąć – zauważyła z krzywym uśmiechem. W pewnym sensie udało się opleść wokół niej więzy, ale już prędzej by zginęła, niż świadomie pozwoliła zatrasnąć się w pułapce. Próbowalaby umknąć bądź przynajmniej drogo sprzedać swoją skórę. – Nie zgadzasz się z Romanem?

Zawahał się. Mały duch dreptał dookoła jego krzesła, a Sara musiała dołożyć starań, by nie wodzić za chłopcem wzrokiem.

– Nie wiem. Spoglądanie w Lustró byío niebezpieczną zabawą, ale nie wydajesz się szalona. Przynajmniej nie bardziej niż zwykle. Poza tym nie bardzo wierzę, że spróbowałabyś zrobić coś przeciwko miastu albo Julianowi. Gdyby chodziło o taką Warszawę... Ty kochasz Kraków i zależy ci na jego wysokości.

– Julian dobrze płaci – skwitowała, stukając palcami o blat. Krystian spojrział na nią z pewnym politowaniem. Udała, że tego nie dostrzega. – Ktoś tu bawi się z potężnymi siłami. Prawdopodobnie ta sama osoba, która do mnie strzelała. Tomaszowi wyrwano serce.

Sara niechętnie dzieliła się taką wiedzą. Pewnie nie zdecydowałaby się na powiedzenie o tym czarodziejowi – nawet jeśli mogło to oddalić od niej podejrzenia – gdyby nie fakt, że brak serca naprawdę ciężko ukryć. Raport na ten temat trafi na biurko wiceprzewodniczącego Łoży najdalej w ciągu paru godzin. Lepiej było więc powiedzieć od razu i pozwolić to uznać za drobny gest dobrej woli – a przy okazji móc obserwować, jak ciemne oczy Krystiana otwierają się szerzej w zdumieniu. Rzadko udawało się go czymś zaskoczyć.

– To nie jest dobra magia – mruknął w końcu, rozcierając kostki lewej dłoni.

– To zła magia – sprostował duch, wracając na swoje miejsce pod ścianą. Sara mimowolnie powiodła za nim wzrokiem, odnotowując w myślach, żeby później spytać, co dokładnie miał na myśli. Skąd chłopiec mógł cokolwiek wiedzieć o magii?

– To najgorsza możliwa magia. Wyrывая serce niszczysz istotę magiczną, ale kiedy zabierasz serce człowieka, by je pożreć odprawiając rytuał... Składasz ofiarę potężnym siłom. Z życia i w pewnym sensie z dwóch dusz. Karmisz się życiem, mocą i wspomnieniami umarłego, ale sam przestajesz być człowiekiem. Osoba, którą tak zabijesz, zostaje spętana. Nie pytaj, w jaki sposób, bo tego nie wiem. Istnieją różne wersje – zrelacjonowała beznamiętnie. Chmielewski musiał słyszeć jakieś pogłoski, ale widać opierał swoją wiedzę głównie na bajkach. Mężczyzna powędrował dłonią do jasnych, tu i ówdzie odrobinę posiwiałych włosów i przecesał je, wyraźnie niepewny.

– Na litość boską, dlaczego nie zawiadomiłaś nas od razu, gdy go znalazłaś? – spytał w końcu, przypatrując się jej z trudnym do określenia wyrazem twarzy. – Skąd ty w ogóle wiesz takie rzeczy?

– Nikogo nie zawiadomiłam, bo im się nie udało – burknęła, już żałując, że pozwoliła sobie na zdradzenie zbyt wielu szczegółów. – Nie wyczułam żadnej

energii. Nic nie odpowiedziało na wezwanie. Nie potrafili przeprowadzić rytuału. A wiem, bo szukałam informacji o Nożu Dwóch Braci. Nie pamiętasz? Sądziłam, że sam też grzebałeś...

To nie była cała prawda, ale też nie kłamstwo.

– Wiedziałem, że jeden brat zabił drugiego, ale... – Czarodziej pokręcił głową, z ust wyrwało mu się westchnienie. – Powinnaś była nas o tym powiadomić.

– Powiadamiam przecież – stwierdziła, oglądając własne paznokcie.

– Do licha, Piekielnico! – Podniesienie głosu i wstanie były tak nagłe, że Sara sama omal nie spróbowała odruchowo zerwać się z krzesła. Krystian zaczął krążyć po pomieszczeniu. Stracił panowanie nad nerwami po raz pierwszy, odkąd pamiętała. A naprawdę wiele razy dokładała wszelkich starań, żeby wyprowadzić go z równowagi. Jego wizerunek spokojnego profesora niepomniernie drażnił ją od dnia, gdy spotkali się po raz pierwszy. Gdy wreszcie udało się jej go naprawdę rozzłościć, o dziwo nie odczuła żadnej satysfakcji. – Nie dociera do ciebie? Nie zdołali nic zrobić, potem strzelali do ciebie. Nie wiesz, co to może oznaczać? Spróbują znowu! Każdy czarodziej w Krakowie jest zagrożony!

– Nikt nie wyrwał serca Klonka, a Orłowski nie był magiczny... – wymruczała, choć dobrze wiedziała, że miał rację. Wiele Pieśni rzadko się myliła, więc skoro twierdziła, że jej serce byłoby następne...

– Widać coś poszło nie tak albo były inne powody. Spróbuj ukryć coś jeszcze, a sam pomogę Romanowi udowodnić, że jesteś niepoczytalna!

Znikł, nim zdążyła odpowiedzieć. Sara westchnęła.

– Ostatnio często rozmawiam z osobami, które nagle rozplývają się w powietrzu – stwierdziła na głos. Duch uśmiechnął się do niej spod ściany. Czarownica przymknęła oczy, rozważając, jak duże są szanse, że faktycznie pożerało ją szaleństwo.

\*\*\*

W czerwcu zeszłego roku Parada Strachu przemaszerowała Plantami, a potem ulicą Floriańską, w kierunku Rynku. Wzięło w niej udział kilkanaście istot magicznych – niezbyt wiele, bo rzadko mieszkały w miastach – paru zwykłych ludzi oraz kilkunastu młodych czarodziei. Wedle wersji oficjalnej, upili się i zostali za to później surowo ukarani. Wedle wersji nieoficjalnej, niektórych opętano i ci pociągnęli za sobą resztę. W okresie, gdy człowiek dopiero uczy się

kontrolować moce, pozostaje dość podatny na podszepty, a nadmiar alkoholu, dobra zabawa i fakt, że w Krakowie działały wtedy potężne siły, też zrobiły swoje.

Udział niektórych studentów zatuszowano, oddając opinii publicznej w ofercie zaledwie kilka osób. Pozostałych ukarano po cichu, choć niemniej surowo. Wyglądało jednak na to, że Tomasz Lemiatowski miał mnóstwo szczęścia. Nie tylko zdołał umknąć, ale jeszcze – o dziwo – jego udziału w całej sprawie nie wykryto. Twarzy nie uchwyciła żadna kamera, nikt nie wskazał chłopaka jako współwinnego. Papiery młodego czarodzieja były czyste jak łąza.

Więcej pecha miał niejaki Michał Tokarczyk – uciekł z miejsca zdarzenia, więc uniknął najpoważniejszych problemów, ale profesorowie złożyli mu później wizytę. W imię zachowania mocy, chłopak całe wakacje spędził na pracy charytatywnej, podpisał też zobowiązanie, że po ukończeniu uniwersytetu będzie przez dwa lata pracować w publicznych placówkach medycznych w Krakowie za standardową pensję. Nie była to licha kara za jego wybryki, a jednocześnie przecież nikt nie chciał skreślać naprawdę utalentowanego czarodzieja. Takich nie było wielu. Dlatego sporo mu wybaczano, chociaż pozostawał osobą problematyczną i mało odpowiedzialną.

Stąd też nikt nie przejął się szczególnie, gdy przez dobry tydzień nie przychodził na zajęcia. Rewelacje odnośnie serca Tomasza wywołały jednak pewną panikę i przeliczanie stadka. Tej jednej sztuki nie udało się doliczyć.

– W porze zajęć właściwie każdy może tu wejść – oceniła Sara, która przycupnęła na biurku w gabinecie Janusza Klonka. Wpatrywała się w gołą podłogę. Dywan usunięto – plam krwi nie dałoby się sprać. – Chociaż ktoś powinien usłyszeć strzał, chyba że użyto tłumika...

– Gabinet jest magicznie wyciszony. – Leokadia Zarzycka, sprawująca opiekę nad Wydziałem Magicznym, jakiś czas temu przekroczyła pięćdziesiątkę, ale magia oraz osiągnięcia alchemiczne sprawiały, że z powodzeniem mogłaby uchodzić za trzydziestoparolatkę. Włosy pokrywała farba, na twarzy prawie nie było zmarszczek. Kobieta jednak trochę się roztyła – na to żadne czary specjalnie nie pomagały – i, w ocenie Sary, miała spojrzenie kogoś bardzo, bardzo zmęczonego życiem. – Janusz zawsze odpytywał tutaj studentów. Potrafili wspinać się na wyżyny pomysłowości, żeby coś podsłuchać...

– Kamery?

– Trzy, ale da się je obejść, jeśli się wie, gdzie się znajdują. Zresztą codziennie przechodzi tędy tyle studentów, czasem ktoś po nich wpada... Zakaz wstępu jest tylko na drugie piętro, bo są tam ważniejsze pracownice, i do piwnic, gdzie ćwiczy się bardziej niebezpieczne rzeczy – westchnęła Leokadia, przesuwając dłonią po twarzy. Na palcach pozostała odrobina pudru. – Mówiłam to wszystko policji i temu chłopcu od Krystiana.

Sara zeszywniała, choć nie dała tego po sobie poznać. Oczywiście, że Loża prowadziła własne dochodzenie, nie powinno jej to dziwić. W pewnym sensie uznawała jednak Kraków za własne poletko i miała ochotę drapać i kąsać, kiedy ktoś wchodził na nie bez zaproszenia.

– A tak, Adam? – rzuciła lekko, krzyżując nogi w kostkach i w zamyśleniu przygryzając kciuk. Ślady po śmierci Klonka były wyczuwalne w aurze tylko wtedy, gdy czarownica bardzo się skupiła. Jeden zgon jakiś czas temu, nijak niepowiązany z magią, w dodatku zapewne dość szybki, bo silne emocje też pozostawiały po sobie pewien odcisk. Nie dało się z tego zupełnie nic wyciągnąć. Nie wycięto mu serca, w dodatku zaryzykowano zabicie w budynku, w którym bywało wielu ludzi. Zginął, bo coś wiedział albo kogoś zdenerwował?

– Pan Sandomierski – przytaknęła Leokadia, potwierdzając podejrzenia Sary. Czarownica z trudem powstrzymała grymas niechęci, cisnący się na twarz. Poprzedni wysłannicy Loży dość grzecznie siedzieli na zamku, skupiając się na wysyłaniu raportów. Adam mieszał, grzebał i dokopywał się do informacji na własną rękę. Sarze nie podobała się ta zmiana. – Michał prawdopodobnie nie żyje, prawda?

– Tak sądzę – przyznała ucziwie czarownica. – Nie ma żadnych dowodów, ale...

– To byłby za duży przypadek – westchnęła pani dziekan. – Przygotowałam listę naszych studentów, którzy wzięli udział w Paradzie i najbliższych przyjaciół Tomasza. Wszyscy są dyskretnie obserwowani, zwiększyliśmy też ochronę wydziału. Potrzeba czegoś jeszcze?

– Znała pani niejakiego Wiktora Orłowskiego?

Leokadia zmarszczyła brwi, przeszukując pamięć. W końcu pokręciła głową. Nie było to zaskakujące. Silniejsi magiczni obracali się raczej w ściśle określonym gronie. Policjanci i czarodzieje rzadko bywali na tych samych przyjęciach.

– W takim razie jeszcze jedno. Czy Klonek miał coś wspólnego z Paradą?

Intrygujące było też to, jak postrzegali go studenci i czy jego kontakty z Michałem bądź Tomaszem wykraczały poza zajęcia. Sara jednak szczerze wątpiła, by Leokadia mogła tutaj pomóc. Takie informacje rzadko docierały do innych pracowników i należało poszukiwać ich gdzie indziej.

– Żadne z nas nie brało w niej udziału – zastrzegła kategorycznie Leokadia, a głos i mina kobiety sugerowały, że urażono ją do żywego. – Nie jesteśmy niewyszkolonymi adeptami, niepanującymi nad własną mocą.

Dlatego też potrafilibyście zatuszować swój udział – pomyślała zgryźliwie Sara. Wcale nie była pewna, czy żaden z profesorów nie maszerował u boku swoich uczniów. Działo się wtedy zbyt wiele, aby mogła zwracać uwagę na pojedyncze osoby.

– Chodzi mi o to, czy zajmował się potem studentami – wyjaśniła, resztę przemyśleń zachowując dla siebie. – Z tego, co mi wiadomo, nadzorowano ich.

– Owszem, ale Janusz nie prowadził samych nadzorów. Pomagał z winowajcami tylko na początku, kiedy sytuacja była... gorąca. Później, gdy zgromadziły się te chmury... zajmował się głównie ustawianiem barier ochronnych.

– Rozumiem. To na razie wszystko – mruknęła Sara, zsuwając się z biurka. Chętnie pogawędziłaby jeszcze ze studentami, ale doskonale wiedziała, że pracownicy znajdą jakiś sposób, aby podsłuchać rozmowę, zaś sami młodzi magowie nie będą w murach uczelni zbyt otwarci. Skoro zresztą poddawano ich „dyskretnej obserwacji”, każdy kontakt zostanie odnotowany.

Będzie musiała zająć się tym później. Posprawdzać mieszkania i spróbować porozmawiać gdzieś na boku.

\*\*\*

Gdzieś między drzewami hałasowały ptaki.

Dźwięki w dziwny sposób drażniły Sarę, usiłującą znaleźć drogę. Rozpraszały, raz po raz odciągając spojrzenie od ścieżki ku koronom drzew. Kobieta wodziła wzrokiem pomiędzy gałęziami, ale nie mogła wypatrzyć hałaśliwego ptactwa. Momentami tylko wylapywała kątem oka ruch, gdy przefruwały z drzewa na drzewo, słyszała nagły trzepot skrzydeł. Dwukrotnie, zapatrzona w górę, potknęła się i omal nie upadła, a po kilkunastu minutach dotarło do niej, że zboczyła z obranej wcześniej trasy. Nie powinna była tego robić. Nie schodź ze ścieżki! – tłukło się jej uparcie w głowie, spróbowała więc zawrócić, ale z każdą kolejną

chwilą błędziła tylko coraz bardziej. Kolczaste gałązki czepiały się ubrania, grunt był zaś zdradliwy, pełen jam. Potykała się coraz częściej, kolce zostawiały zadrapania na dłoniach i nogach. Ptaki wciąż krzyczały, irytacja i niepokój rosły.

Nie schodź ze ścieżki!

W oddali zawył wilk. Sara dalej brnęła przed siebie, odtrącając gałęzie. Zwierzę jej nie przerażało – to niemożność odnalezienia drogi napawała lękiem. Co gorsza, pojęła, że krąży w kółko – po raz kolejny mijala to samo drzewo, przedzierała się przez te same krzewy. Ptaki nawoływały coraz głośniej, wycie wilka powtórzyło się, tym razem bliżej.

Nie schodź ze ścieżki!

– Skoro nie mogę jej znaleźć, sama ją sobie stworzę – mruknęła Sara, stając w miejscu. Zawsze były inne drogi. Spróbowała odsunąć od siebie irracjonalny niepokój i mocno odbiła się od ziemi, przyzywając magię. Mogła po prostu ustalić kierunek z góry, przelecieć nad przeklętym lasem. Przynajmniej tak sądziła, ledwo jednak zbliżyła się do koron drzew, ze wszystkich stron opadły ją ptaki.

Skrzydła uderzały o ciało, a ostre dzioby szarpały ubranie, raniły skórę. Odruchowo uniosła ręce, starając się osłonić twarz i szyję. Zerwał się wiatr, odrzucając ptaki, ale Sara spadła w dół, rozproszona, niezdolna do utrzymywania się w powietrzu i obrony jednocześnie. Wpadła w krzaki, dodatkowo się kalecząc. Kilka ptaków po tym, jak porwał je wicher, uderzyło w drzewa, łamiąc sobie skrzydła bądź ginąc na miejscu. Drobne ciało zawisło na kolczastych gałęziach krzewu tuż obok Sary, która wreszcie rozpoznała w ptaszku lelka.

Powarkiwanie rozległo się gdzieś za jej plecami. Czarownica, spoglądając do tyłu przez ramię, spróbowała dźwignąć się na nogi. Spodziewała się ujrzeć wilka, może nawet kilka, bo polowały przecież w watahach, i była gotowa zabić. To co stało parę metrów dalej nie było jednak wilkiem, ale czymś, co przybrało jego formę. Istota musiała mieć dobre dwa metry wysokości i górowała nad Sarą, cała utkana z ciemności. Przynajmniej tak pomyślała Sara w pierwszej chwili.

Wilk cienia otworzył paszczę i skoczył.

\*\*\*

Obudził ją własny krzyk.

Sara jeszcze chwilę po przebudzeniu leżała skulona na kanapie. Niewielki salon jej krakowskiego mieszkania, tak różny od wawelskich komnat, wciąż tonął w ciemnościach. Czarownica nie musiała patrzeć na zegarek, stojący na półce z



książkami: było około piątej nad ranem. Zawsze dysponowała jakimś wewnętrznym zegarem, zaskakująco dokładnym, jeśli chodziło o nocne godziny, ale nieaktywnym w świetle dnia.

Koszmary nie były żadną nowością. Czasem śniła o ogarniających ją płomieniach. Czasem o zamrażaniu. W snach pojawiały się lustra, krew, śnieg i nieokreślona groza czająca się gdzieś w mroku. Od niedawna także martwe, opustoszałe miasta, Twardowski i Klaus, to obserwujący ją gdzieś z daleka, to ciągnący za sobą ku miejscu, o którym nie wiedziała nic, lecz którego śmiertelnie się bała. Bywały sny gorsze od tego, a jednak to on wywołał nieokreślony niepokój, który utrzymywał się długo po przebudzeniu. Tym razem nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jest nie tylko wytworem niespokojnego umysłu, zlepkiem wspomnień i lęków, że to coś z zewnątrz wpływa na jej myśli.

Wysunęła się spod cienkiego koca i, nie zapalając światła, znalazła w szufladzie paczkę papierosów. Paliła rzadko, teraz jednak poczuła, że potrzebuje dawki nikotyny. Takie rzeczy pozwalały odzyskać poczucie realności. Narzuciła na ramiona bluzę, po czym otworzyła szarpnięciem drzwi balkonowe, wpuszczając do pokoju zimny podmuch. Wiatr zmierzwił jej włosy, gdy osłaniała dłonią papierosa, podpalając go zapalniczką. Płytki położone na balkonie pokrywała cieniutka warstwa śniegu. Sara miała wysoką tolerancję na chłód, jednak nie zdecydowała się na wyjście na zewnątrz bosą, podparła o futrynę, wydmuchując kłęb dymu.

– Nie schodź ze ścieżki...

Ktoś stał na sąsiednim balkonie. Sara dostrzegła to dopiero po dłuższej chwili i zakrztusiła się dymem. Sąsiadka Ilona, starsza pani, emerytowana lekarka, jedna z niewielu osób, które czarownica kojarzyła z osiedla – bo podobnie jak ona miała zwyczaj częstego wychodzenia na balkon późną porą. „Nie mogę spać”, mawiała. „Chcę popatrzeć na księżyc”.

– Dobry wieczór – przywitała się staruszka. – Ładną mamy noc, prawda? Widać księżyc.

– Ładną – odparła odruchowo Sara, gdy przestała zanosić się kaszlem.

– Nie siedź za długo na zewnątrz. Zmarzniesz. – Ilona uśmiechnęła się do niej i wróciła do mieszkania. Ignorując to, że drzwi balkonowe są zamknięte. Przeniknęła przez nie, tak jak potrafił to robić Krystian Chmielewski.

Kobieta zmarła miesiąc wcześniej we własnej sypialni. Wylew. Magią pewnie by ją odratowano, ale nie było komu wezwać pomocy. Ładnie urządzone M2 stało teraz puste, czekając, aż wnuki uzgodnią między sobą sprawy spadkowe i znajdą potencjalnych nabywców. Co pewnie nie stanie się szybko, skoro mieszkanie było nawiedzone. Najwięcej duchów występuje na Wawelu oraz w Parku Łukomskiego – słowa Krystiana powróciły do niej. Nieważne, jak bardzo chciałyby zaprzeczać teorii Chmielewskiego, czy opinii Wiele Pieśni – musiała przyznać, przynajmniej sama przed sobą, że mieli rację. Przerzuciła papierosa przez barierkę, przez chwilę bezmyślnie obserwując, jak wciąż rozjarzony spada ku ziemi. Nie przywoływała duchów. Nie ona wyrwała serce krakowskiemu studentowi. Ktoś jednak usiłował ją zabić i ktoś sprawiał, że duchy powracały.

Ktoś zabił mężczyznę na jej osiedlu.

Sara poczuła, że po plecach przebiega jej zimny dreszcz, a skóra na karku zaczyna mrowić, jakby ktoś ją obserwował. Złudzenie. To było tylko złudzenie, ale własne, przytulne mieszkanko, nie wydawało się jej już ani przyjemne, ani bezpieczne. Miała wrażenie, że ktoś czai się w którymś z pokoi – choć przecież wiedziałyby o tym. Musiałyby wiedzieć, bo to było jej miejsce, otoczone kokonem magii. Drgnęła nerwowo, gdy nagle gdzieś z głębi mieszkania dobiegła ją głośna muzyka, świadcząca o nadchodzącym połączeniu. Trzecia nad ranem. Tylko Julian mógł być na tyle bezczelny, by dzwonić o tej porze.

Zresztą tylko on znał ten numer.

– Nie mów, że coś nawiedza ci łazienkę – rzuciła, przykłękając na podłogę, z której podniosła porzuconą wcześniej niedbale komórkę. Głos, który odpowiedział, nie należał jednak do króla Polanii. Brzmiał mechanicznie, jak nagranie z infolinii.

*– Połączenie nie może zostać zrealizowane. Aby aktywować specjalną usługę, pozwalającą na nielimitowane rozmowy z zaświatów, wciśnij jeden. Aby wykupić pakiet minut na rozmowy z drugiej strony lustra, wciśnij dwa. Jeśli chcesz porozmawiać z konsultantem, wybierz gwiazdkę.*

– Co do cholery? – spytała odruchowo, bardziej zaskoczona niż zdenerwowana czy przestraszona. Głos po drugiej stronie przeszedł na angielski, powtarzając ten sam komunikat. Skołowana Sara przerwała połączenie i sprawdziła historię rozmów. Ostatnie pochodziły sprzed dwóch dni. Zirytowana omal nie wyrzuciła aparatu przez wciąż otwarty balkon: ktoś się tu bawił. Ktoś

dostatecznie zorientowany i sprytny, by zdobyć jej numer i by nie zostawiać śladów ingerencji. Niepokój, sprowadzony snem i spotkaniem ducha sąsiadki, ustąpił gniewowi, wręcz dławiającemu, wywołującemu natychmiastową chęć działania. Ale nie było kogo atakować, nie było tropów umożliwiających polowanie.

Wyłączyła komórkę, na wszelki wypadek wyciągnęła też kartę sim. Jeśli Julian będzie próbował się z nią skontaktować, dostanie szału – ale irytacja władcy była teraz dość nisko na jej liście zmartwień. Zgarnęła spodnie i buty, pośpiesznie się ubrała, niepewna, co właściwie chce zrobić. Na pewno nie siedzieć zamknięta pośród ciasnych ścian mieszkania, które teraz zdawało się obce i nieprzyjazne.

Przechodząc przez przedpokój zatrzymała się przy lustrze. Dużym, prostokątnym, w drewnianych ramach, pozostawionym tu jeszcze przez poprzednich właścicieli. Wyrzuciła większość rzeczy, które nie zostały zabrane – lustro jednak zostało i teraz mogła w nim obserwować siebie: bladą kobietę o czarnych włosach. Zdjęła je ostrożnie z haczyka i oparła o szafkę na buty, by nie mogło odbijać pomieszczenia.

*Aby wykupić pakiet na rozmowy z drugiej strony lustra, wciśnij dwójkę.*

Sara cicho zamknęła za sobą drzwi mieszkania i, przeskakując po dwa stopnie, ruszyła schodami w dół. Brakowało jej powietrza. Nie miała klaustrofobii, a przynajmniej nie w ścisłym sensie, wchodziła już do ciasnych pomieszczeń, ale czasem pojawiał się taki atak – każde pomieszczenie zdawało się wtedy za ciasne, odnosiła wrażenie, że ściany na nią napierają, że nie może oddychać. Wypadła na zewnątrz, zataczając się jak pijana. Padła na kolana, uderzając nimi o oblodzony chodnik. Chłodny wiatr zmierzwił włosy, uderzył w twarz, przywracając jasność myśli.

Znów mogła oddychać.

Mężczyzna w średnim wieku, w stroju do biegania, przemknął przez plac zabaw, nie zwracając na nią żadnej uwagi. Sara spojrzała za nim: dopiero gdy znikł za rogiem, pojęła, kogo widziała. Zduszony, nerwowy chichot wyrwał się jej z gardła, gdy powoli wstawała. Duch, zapętlony w jednej scenie, jak ten z Rynku – wciąż przemierzający ostatnią trasę. Dlaczego musiał zginąć? Nie miał powiązań z innymi ofiarami. Nie posiadał mocy, którą dałoby się skraść wraz z sercem. Mimo to czarownica podniosła się i ruszyła za Wiktorem Orłowskim, sama nie wiedząc dlaczego.

Gdy telefon zaczął dzwonić, odebrała go odruchowo, nim jeszcze zdążyła sobie przypomnieć, że przecież wyjęła kartę. Po drugiej stronie linii słychać było trzaski. Ktoś chyba coś mówił, ale głos dobiegał jakby z daleka, dodatkowo zagłuszany przez szумы. Mogła zrozumieć tylko jedno słowo: swoje imię. Syknęła przez zęby, przerywając połączenie. Martwy policjant przebiegł przez ulicę na czerwonym świetle, ponownie znikł jej z oczu. Przyspieszyła kroku, światło zmieniło się na zielone. Szalejący telefon wzbudzał irytację, a w głowie wciąż rozbrzmiewało pytanie: dlaczego właśnie ten mężczyzna? Czy kryterium decydującym było tylko to, że mieszkał w pobliżu Sary? Nie chciała przyjąć takiego wyjaśnienia.

A może gdzieś po drodze zetknął się z nocnym królem. Tak, jak prawdopodobnie zaginieni studenci. Może kiedyś zgarnął z ulicy jednego z tych, od których czerpał siłę. Może...

Rozległ się pisk opon i dźwięk klaksonu. Samochód wjechał na przejście dla pieszych i zarzuciło nim, gdy kierowca usiłował gwałtownie zahamować – jechał jednak za szybko, a nawierzchnia była śliska. Sara nie zdążyła się nawet przestraszyć. Gdyby była człowiekiem, prawdopodobnie auto uderzyłoby w nią, może by wyleciała w powietrze, żeby opaść gdzieś jak zepsuta lalka, a może jej ciało zmiażdżyłyby opony. Była jednak czarownicą i w pierwszym odruchu, zanim umysł w pełni pojął zagrożenie, uciekła się do magii. Skoczyła znacznie wyżej, niż mógłby zrobić to zwykły przechodzień, ale jednocześnie na tyle niezgrabnie, że spadła na tylną maskę hamującego pojazdu i stoczyła się na jezdnię. Przetoczyła się po asfalcie, nabijając sobie z pewnością kilka siniaków: ale żyła, a kości pozostały całe.

Drzwi samochodu otworzyły się. Wypadł z niego mężczyzna, chyba trochę młodszy od niej, w dżinsach i swetrze. Był blady, trudno stwierdzić, czy z natury, czy z przerażenia.

– Nic pani nie jest?!

– Oczywiście, że coś mi jest, palancie! – Klęknęła, ostrożnie podpierając się dłońmi. Prawy łokieć bolał jak jasny szlag, przez chwilę nie była pewna, czy nie skreśliła kostki, w głowie wirowało. – Gdzie jeździsz na czerwonym?!

– Ale ja miałem zielone... – Mężczyzna zatrzymał się o krok od niej, patrząc wyraźnie skołowany, jak niedoszła ofiara zaczyna zbierać się z jezdni. Adrenalina opadała, szok ustępował: może uświadomił sobie właśnie, że kobieta skoczyła

zdecydowanie wyżej i szybciej niż powinna być w stanie. – To ty łazisz jak jakaś potłuczona! – burknął widząc, że najwyraźniej nikogo nie zabił ani nie uszkodził.

– Zielone, do cholery, patrz, jeszcze się pali – wysyczała, usiłując uspokoić oddech. Oboje spojrzeli w stronę świateł. Zielone błyski w ciemnościach. Dwa. Dla pieszych i dla aut. Sara zamrugła, niepewna, czy po prostu nie zamroczyło jej na skutek uderzenia, ale nie – sygnalizacja była popsuta.

– Przecież tu ludzie poginą... – przeraził się szczerze kierowca, gdy i do niego dotarło, że najwidoczniej oboje mieli rację. Chyba tylko późna pora zapobiegła poważniejszym wypadkom. – Pomogę pani, trzeba zejść na chodnik. Podwieźć panią może do szpitala?

Obolała i trochę zamroczona, w pierwszej chwili podparła się o niego niechętnie, jednak pytanie sprawiło, że spróbowała odskoczyć. Gwałtowny ruch wywołał zawroty głowy, kucnęła więc, by przysiąść na krawężniku. Otwarty samochód wciąż stał na środku pasów, ale w nocy na tej drodze nie było dużego ruchu.

– Nie! – zaprotestowała zdecydowanie. – Nie chcę. Żadnego szpitala.

– Jesteś pewna? – spytał, nieświadomie skacząc pomiędzy zwracaniem się do niej „pani” a „ty”. – Kurde, zaraz, zaraz...

Pozostawił ją i podszedł do słupa ze światłami. Obmacywał go, spoglądając w górę i mruczając coś pod nosem, a ona nawet nie próbowała zastanawiać się, w jakim celu. Telefon zadzwonił po raz trzeci. Przez ekran biegła cieniutka rysa, powstała w wyniku uderzenia, ale skoro nie przestał działać po wyłączeniu i wyjęciu karty, czemu uszkodzenie miałooby go powstrzymać?

– *Przyjdź, Saro.*

Głos zdawał się znajomy, ale nie umiała powiązać go z żadnym imieniem ani twarzą.

– Kto mówi?

– *Czekam. Czekamy. Czuwamy. Przyjdź do nas.*

– Pierdol się – warknęła, mocno wpijając palce w telefon, jakby chciała zmiażdżyć go w dłoni. Tylko jedno wyjaśnienie zdawało się jej logiczne: rozmawiała z osobą, która do niej strzelała. Z kimś, kto w jakiś sposób uszkodził światła. Ale skąd mógł wiedzieć, że będzie tutaj, że wejdzie na jezdnię, gdy nadjedzie samochód? Sara przerwała połączenie i rozejrzała się dookoła,

wypatrując jakiejś sylwetki. Nie widziała jednak nikogo – niczego też nie czuła, poza...

– No i jest, ktoś przy tym grzebał! – krzyknął kierowca, który omal jej nie potrącił, akurat gdy gwałtownie odwróciła głowę w stronę świateł. Wciąż pobłyskujących zielenią. – Jest tu coś, jakieś echo, tylko nie mogę...

– Nie ruszaj! – poderwała się, nieomal podbiegając do niego, choć jej noga gwałtownie zaprotestowała. Zadyszana, wsparła się na słupie, przez chwilę uważnie przypatrując się mężczyźnie. Może to była paranoja, może uzasadniona ostrożność, ale starała się wyryć w pamięci każdy szczegół jego wyglądu, wyczuć w nim magię. Wiek pomiędzy dwudziestym piątym a trzydziestym rokiem życia, jasne włosy, brązowe oczy. Błady, drżący z zimna, bo płaszcz chyba zostawił w samochodzie. – To nie zakłęcie...

Objęła ciasno słup i oparła o niego czoło, w pełni świadoma, jak idiotycznie musi wyglądać. Wyczuwała, że coś jest nie tak, że pojawiło się jakieś zakłócenie, ale wokół nie było pozostałości po żadnym czarze. Gdyby kierowca nie zwrócił na to uwagi pierwszy, nawet nie wiedziałyby, że cokolwiek się tu zmieniło w nienaturalny sposób.

– Czarodziejka? – spytał mężczyzna z uprzejmym zaciekawieniem.

– Czarownica – sprostowała, odsuwając się od słupa, ale nie porzucając podparcia. Noga wciąż jeszcze bolała. – Ty?

– Chyba mag, bo te ichnie zakłęcia mi nie wychodzą, za to radzę sobie z elektrycznością i tymi wszystkimi nowoczesnymi urządzeniami – odparł, wzruszając ramionami. – Wiesz, komputery, pralki, telefony. Rybak jestem.

Rybak, mag elektryczności. Jeszcze sto lat temu brzmiałoby to nieprawdopodobnie. Ale magia była życiem, a miasta żyły, i gdy przekształcały się, tworzyły nowe rodzaje magii.

– Co tutaj czujesz?

– To... trochę ciężko opisać – zakłopotał się i przejechał dłonią po włosach. Jakiś samochód wyminął pozostawione na ulicy auto, mężczyzna spojrzął za nim, wyraźnie zaniepokojony. – Jakieś... wmieszanie. Może dałbym radę to naprawić...

– W porządku – mruknęła, wpychając trochę mocy w słup. Zielone światło dla pieszych zaczęło mrugać i zmieniło się na czerwone. To było łatwe: przywrócenie małego odłamka miasta na właściwe miejsce. Tym się zajmowała.

Jej związek z Krakowem był dość silny, by pozwolić na taką drobną ingerencję bez trudu. Ktoś dopuścił się podobnej i omal nie kosztowało jej to życia. Rybak przypatrywał się temu z odrobiną podziwu.

– Jeśli pani nie chce jechać do szpitala, to ja lepiej pójdę... Może chociaż podwieźć panią do domu?

– To niedaleko, dojdę sama. Czekaj... Znasz się na urządzeniach? Mógłbyś obejrzeć mój telefon? Ktoś chyba się nim jakoś bawi, ale ja nic nie czuję. To nie moja dziedzina... Zapłacę.

To prawdopodobnie nie był dobry pomysł. Kierowała się trochę impulsem, a trochę nadzieją, że dzięki temu poda jej jakieś nazwisko – Rybak mógł być pseudonimem – albo adres. Dość, żeby mogła go sprawdzić i określić, czy miał coś wspólnego z majstrowaniem przy światłach.

– A co się z nim dzieje? – spytał zaciekawiony, przyjmując od niej komórkę. Odruchowo skulił ramiona, gdy zawiął wiatr. Chyba dzwonią do mnie umarli – pomyślała Sara, zabrzmiało to jednak dziwnie nawet w jej głowie. Nie chciała dawać Romanowi żadnych pretekstów. W końcu nie wiedziała, kim jest Rybak.

– Dzwoni, chociaż go wyłączyłam i wyjęłam kartę sim. Słysząc głównie trzaski, za to połączeń nie ma w historii. Ewidentnie jakaś magia, tyle że ja się na niej nie znam.

– Zerknę na to – obiecał i pogrzebał w kieszeni, po czym podał Sarze wymiętą wizytówkę. Mogła być fałszywa, ale na papierku tak czy inaczej powinien pozostać jakiś ślad właściciela, przyjęła go więc bez wahania. Patrzyła potem, jak Rybak odchodzi, odpala auto, żeby odjechać gdzieś w noc. Kusiło ją, by zamknąć oczy, sięgnąć wokół w poszukiwaniu śladów, których nie mogły wyłapać podstawowe zmysły. Kiedyś tak by zrobiła. Przed spotkaniem z Klausem, przed tym, jak kula wbiła się w jej ciało. Teraz nie chciała ryzykować, że zapadnie się zbyt głęboko, zupełnie niechroniona. Skierowała się z powrotem do mieszkania, utykając. Dopiero tam, gdy starannie zamknęła drzwi i okna, gdy położyła dłonie na progu i parapetach, zakazując wstępu obcym, gdy zajrzała w każdym kącie, upewniając się, że jest sama – uklękła i spróbowała sięgnąć poza ciało, tam poszukać.

Nie było to przyjemne. Nie było bezpieczne. Mogła zgubić drogę powrotną, natrafić na coś, co ją zrani, zbyt długo pozostać na zewnątrz i pozwolić ciału obumrzeć bądź rozpląnąć się zupełnie w nadmiarze bodźców. Gdzieś...

...dziecko płacze, rozbrzmiewa kołysanka, kobieta fałszuje, jest zmęczona, palce przesuwają się po wyświetlaczu, ekran dotykowy, jest nieszczęśliwa, niech wie, cały świat niech wie, ona nie śpi, więc...

...udaje, że śpi, przewraca się z boku na bok, nasłuchuje kroków, dźwięku klucza przekręcanego w zamku. Znow nie wrócił, znow rano jego koszula będzie pachnieć cudzymi perfumami...

...w koszmarze coś zębatego, przerażającego, wychodzi powoli z piwnicy, a on chce uciekać, nie może, stopy przyrosły do ziemi i...

...boli, boli, tyle krwi, światło latarni, tupot stóp, ktoś ucieka, a...

...po ścianie przesuwa się cień.

Sara odetchnęła gwałtownie i otworzyła oczy. Głowa i płuca, zbyt długo pozbawione powietrza, eksplodowały bólem. Takie poszukiwania nigdy nie powinny trwać dłużej niż kilkadziesiąt sekund. Oddech mógł ustać, serce zaprzestać pompowania krwi. Czarownica bardziej wyczuła niż zobaczyła, że nie jest sama – ktoś klęczał przy jej nogach. Zareagowała instynktownie, przez mieszkanie przeszedł gwałtowny wicher, przewrócił stolik, potrząsnął innymi meblami. Sara przetoczyła się po podłodze i dopiero podrywając się dostrzegła, że wiatr nie odrzucił obcego... i zrozumiała też, dlaczego.

– Chcesz mnie przyprawić o zawał? – spytała, znow opadając na podłogę. Mały duch spoglądał ciekawie na przewrócony fotel i stolik.

– Każdy mag tak potrafi?

– Nie – westchnęła, podpierając się o kanapę. Pozwoliła sobie na przymknięcie oczu, próbę skupienia na niektórych z wyłowionych obrazów. Krew, tupot stóp. Scena śmierci Orłowskiego. I ten cień na ścianie... – Cholera, zapomniałam...

– O czym?

– O demonie – mruknęła niechętnie. – Miałam się go pozbyć w tym roku w grudniu i niczego nie przygotowałam. Znowu się bawi. Jakbym nie miała dość problemów. Zostaw ten stół, przecież i tak go nie podniesiesz.

– Czemu w grudniu?

Zmarszczyła brwi z pewną irytacją. To był dzieciak, ewidentnie niemagiczny dzieciak, więc nie mógł wiedzieć pewnych rzeczy, ale i tak nadmiar pytań ją irytował. Nie lubiła dzieci, nie lubiła duchów, nie lubiła pytań, nie lubiła, kiedy przyczepiał się do niej ktoś, kogo nie dało się pozbyć. To kwalifikowało chłopca



jako bardzo, bardzo irytującego. Gdyby nie jego niematerialność, już dawno zostałby odesłany na drugi koniec kraju.

– Niektóre moce powiązane są z konkretnym miejscem albo porą roku. Ta działa tylko zimą, u schyłku roku, gdy noc robi się najkrótsza. Nie każda magia jest taka sama.

– Czarodzieje używają tych samych zaklęć.

– Słabi niektórych nie zdołają rzucić. A ich zaklęcia nie są dla magów i nie bardzo dla czarownic – westchnęła, nie mogąc oprzeć się uczuciu déjà vu. Kiedyś, dawno, dawno temu, tłumaczyła to samo Julianowi. – Zaklęcie wymaga słowa, gestu i zawsze ma ten sam skutek. Mag nie może takiego rzucić. Czarownica dostosowuje magię do okoliczności. Wzywa ją i prosi o odpowiedź. Kształtuje pierwotną siłę. Każda na własny sposób, własnymi metodami. Z różnymi efektami.

– A wiedźmy?

Milczała, przygryzając wargę. Krew. Czyjaś sylwetka widoczna w ciemności. Tupot nóg, gdy napastnik rzucił się do ucieczki. Ten ktoś nie mógł pomylić Sary z Orłowskim, dobrze widocznym w blasku latarni. Może ta śmierć miała ją przestraszyć. A może...

...cień przesuwają się po ścianie...

...był pomiędzy nimi...

...syreny policyjne rozbrzmiewające na Rynku...

– A wiedźmy? – naciskał chłopiec. Sara poderwała się, przeszła szybko do drugiego pokoju, żeby odpalić laptopa. Wciąż miała na nim wszystkie dostępne akta ofiar: także Wiktora. Duch nie dawał za wygraną, ruszył za czarownicą. – Odpowiesz?

– Teraz tak po prostu czasem określa się czarownice, ale to mało popularne – burknęła. – Loża i Konwent zadbały, żeby nie używać tego pojęcia.

– Dlaczego?

– Bo wiedźmy i czarnoksiężnicy to ci, którzy stanęli za blisko mroku – odparła zimno. – Poznali go, a on rozpoznał ich.

Ci, którzy poznali moce, niepokojące nawet innych posiadających talent, ci, do których nieśmiertelne istoty przemawiały jak do swoich. Dlatego w pewnym momencie wiedźmy i czarownice zaczęły zlewać się w jedno: to one najczęściej

sięgały tam, gdzie większość czarodziejek nie tylko by nie chciała, ale też nie potrafiła.

– Jesteś wiedźmą?

– Jestem Sarą Sokolską, czarownicą, która ma już bardzo dość twoich pytań – warknęła. Uruchomiła laptopa – wyszukanie odpowiedniej adnotacji w historii służby Orłowskiego zajęło ledwo minutę. Brał udział w interwencji na ulicy Floriańskiej, został lekko ranny. Wszyscy tam byli: ona, obaj studenci, policjant, a choć nie zachował się żaden przekaz o udziale Klonka, miała już pewność, że musiał być w to jakoś zamieszany.

Czuła na sobie wzrok martwego chłopca i nie chciała – naprawdę bardzo nie chciała – pamiętać o tym, że ci, których tworzyła moc i wiara, zawsze nazywali ją wiedźmą.

---

<sup>4</sup> Lelka – właściwie Eulalia Kasprzycka, zm. około 1870 roku. Czarodziejka, znana specjalistka w zakresie demonologii, wykładowca na wydziale magicznym Uniwersytetu Warszawskiego. Wycofała się z życia publicznego po tym, jak w tajemniczych okolicznościach zginęła większość jej studentów. Osiadła w Lelkowie, wsi nazwanej na jej cześć po tym, jak pozbyła się strzyg, które dręczyły mieszkańców.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

## GDY PUŁAPKA STAJE SIĘ MYSZĄ

Aura miasta zmieniała się – czasem w ledwo uchwytny sposób – w zależności od pory dnia, roku, wydarzeń mających miejsce w samym Krakowie, a także tych w kraju i na świecie. W grudniu zabarwiała się pośpiechem, wyczekiwaniem i pewną nerwowością. Może święta i miały być czasem spokoju, rodzinnej atmosfery i pojednania, ale poprzedzały je gorączkowe przygotowywania, szaf sprzątanania, gotowania i zakupów. W tym okresie Sara przywykła unikać centrów handlowych i Rynku. Nie tyle przez gromadzące się tłumy, ile przez wzgląd na towarzyszącą im aurę. Ta sprawiała, że sama Sara stawała się nerwowa, zaczynała działać w pośpiechu, a podczas ostatniej wizyty w jednej z krakowskich galerii, pchnięta niewytłumaczalnym impulsem, wydała kilka stów na zupełnie niepotrzebne sobie zakupy. Nim zdołała się opamiętać, w torbach miała już dwie pary butów, czerwoną kurtkę, wybór kaw, kilka zestawów kosmetyków, nie wiedzieć czemu zabawki dla dzieci i mnóstwo świątecznych ozdób. Szaf przedświątecznych promocji, ludzie kupujący niepotrzebne im rzeczy z powodu pozornie niższej ceny, setki klientów panicznie poszukujących ostatnich prezentów – to wszystko wpływało na aurę.

Więź z miastem miewała swoje negatywne strony.

W grudniu, co ciekawe, uaktywniały się też często nadnaturalne byty. W tym roku, oprócz kłębiących się w Krakowie duchów, panował względny spokój. Wraz ze zniknięciem nocnego króla większość istot przyczaiła się bądź odeszła na dobre, utrzymywana z dala przez odnowioną moc strażników. Sara wiedziała jednak, że nie wszystkie problemy zostały usunięte, a choć afera „duchowa” była najpoważniejszym z nich, nie mogła ignorować innych.

– Co ty wyprawiasz?

Julian stanął na progu, przypatrując się swojej nadwornej czarownicy. Znaczną część podłogi zajmował ogromny plan miasta, a sama Sara przemieszczała się po nim na kolanach, układając w niektórych miejscach niewiele mówiące królowi oznaczenia.

– Szykuję pułapkę – odparła lakonicznie czarownica, obrysowując czerwonym flamastrem fragment jednej z dzielnic. Wymruczała coś pod nosem. Julian zamknął drzwi i zrobił krok do przodu. Teraz z pewną fascynacją zauważył, że po mapie poruszają się same z siebie figurki szachowe oraz kawałki kolorowej włóczki.

– Na tego, kto cię zaatakował?

– Niestety nie – westchnęła rozzalona Sara. – Mam zamiar złapać Mikołaja.

Julian przykucnął. Wyciągnął rękę, ostrożnie dotykając czoła kobiety, która spojrzała na niego z wyraźnym politowaniem.

– Gorączki nie masz – mruknął, cofając dłoń. – Sanika, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale święty Mikołaj nie istnieje. A ten drogi prezent, który co roku dostajesz, kupuję ja... albo moja sekretarka.

– Łamiesz mi serce i niszczysz dziecięce złudzenia – prychnęła czarownica, siadając na środku mapy. Figurki przemieszczały się ulicami, jakby kierowane niewidzialnymi palcami, fragmenty włóczki oplatały poszczególne budynki. – To skrót myślowy. Nazywam tak... pewien rodzaj demona.

– Święty Mikołaj jest demonem? – przeraził się Julian.

– Święty Mikołaj nie istnieje – przypomniała Sara, przewracając oczyma.

– To ja już nic nie rozumiem – zawyrokował król, również przysiadając na podłodze. Nie wydawał się specjalnie przejęty potencjalnymi demonami w mieście. Miał ludzi, którzy zajmowali się konkretnymi rzeczami, a jeśli w Krakowie szalał sobie jakiś podejrzany stwór, to była to działka Sary. Po prostu. Nic nad czym należało za długo rozmyślać: król w końcu miał inne obowiązki. Ktoś prał jego rzeczy, kto inny tankował samochód, a jeszcze kto inny ścigał w ciemności dziwne, mroczne stworzenia. – W każdym razie, pozbędziesz się tego demona, tak? Bo jak tak, to właściwie nie muszę rozumieć, projekt nowej ustawy i tak dostatecznie namieszał mi w głowie.

– Nie musisz – przytaknęła. Opuściła głowę, śledząc ruchy gońca i wieży, które zajęły miejsca na mapie. Dyskretnym gestem starła kroplę krwi, która spłynęła jej z nosa. Poszukiwanie wzorca, wbrew pozorom, trochę ją kosztowało, a był to zaledwie pierwszy krok planu. Co gorsza, do jego realizacji wzięła się zbyt późno. Na swoje usprawiedliwienie miała pojawiające się w okolicy duchy i to, że omal nie umarła. – Chciałeś czegoś konkretnego, czy przyszedłeś tylko pozatruwać mi życie?

– No wiesz? – zachnął się Julian. – A chciałem przypomnieć ci o balu noworocznym...

– ...nie przyjdę...

– ...i wigilijnej kolacji... Zaraz, jak to...

– ...też nie przyjdę...

– ...nie przyjdiesz?

Oboje umilkli. Julian wyglądał, jakby miał ochotę zdzielić Sarę czymś ciężkim po głowie. Ona uśmiechnęła się do niego, najładniej jak potrafiła. Cisza przedłużała się: król ustąpił pierwszy, choć dopiero po jakichś trzech minutach.

– Masz swoje obowiązki, młoda damo.

– I właśnie się nimi zajmuję, nie? – stuknęła palcem w mapę. – Nie mogę przyjść na kolację. Będę zajęta tą pułapką. I nie mogę przyjść na bal, bo też będę zajęta. Muszę coś zrobić z tymi duchami. Wiem, co łączy ze sobą wszystkie ofiary, są tropy do sprawdzenia...

– A święta?

– Czy to piątek, czy to świętek... mam obowiązki, tak? – spytała niewinnie, wzruszając przy tym ramionami. – Zamek jest chroniony, Julianie. Nie tylko przez twoich ludzi. Robienie zamieszania na balu to samobójstwo. Nie będę wam potrzebna.

Zacisnął usta, wykrzywiając je w gniewnym grymasie. W takich chwilach bardzo przypominał jej upartego nastolatka, którym jeszcze nie tak dawno był. W teorii powinna być obecna na tym balu – pełniona przez Sarę funkcja już dawno temu zyskała pewne reprezentatywne znaczenie. Nieobecność Pierwszej u boku władcy zostanie zauważona i odpowiednio skomentowana. Jednocześnie oboje wiedzieli, że Sara odstaje na tego rodzaju przyjęciach: że nie będzie zachowywać się do końca właściwie, że może sama wywołać jakiś mały skandal.

– Pojawisz się na tym balu – powiedział Julian, władczym gestem unosząc rękę, gdy czarownica otworzyła usta, by zaprotestować. Tolerował wiele. Kiedy byli sami, pozwalał, by traktowała go z karygodnym brakiem szacunku. Uchodziły jej na sucho wybryki w rodzaju sadowienia się na jego tronie, jakby był to zwykły fotel. Ale były sytuacje, w których nie miał zamiaru odpuszczać. – Możesz sobie potem zniknąć, ale masz pojawić się na otwarciu, choćby na kwadrans. Zrozumiałaś, Pierwsza Czarownico?

– Zrozumiałam, wasza łaskawość – odparła Sara, wkładając w te słowa tyle jadu, ile tylko zdołała. Nigdy nie nauczyła się traktować władcę poważnie: w jej oczach zawsze miał w sobie coś z dziecka. Wiedziała jednak, kiedy musi mu ustąpić. – Ale nie idę na żadną kolację. Nie. Nie i już! Nie rób takiej oburzonej miny, to na mnie nie działa.

Figury, białe i czarne, znieruchomiały na mapie. Sara spuściła wzrok, przez chwilę obserwując ich ustawienie. Być może znaki, które nakreśliła, kawałki włóczki i rzeźbione figurki tworzyły jakiś wzór, rozumiały tylko dla niej, Julian jednak nie potrafił go dostrzec. Nawet za bardzo nie próbował. Magia fascynowała go, kiedy był dzieckiem. Teraz stanowiła po prostu dogodne narzędzie, a wszystkie sprawy z nią związane wolał pozostawiać swojej bladolicy czarownicy.

– Naprawdę chcesz spędzić święta, uganiając się za demonami?

– Może mam inne plany? – zasugerowała, wiodąc palcem wzdłuż linii oznaczającej ulicę Starowiślną. Julian na moment zapomniał języka w gębie. Po raz pierwszy w życiu przyszło mu do głowy, że Sara właściwie mogła mieć jakąś rodzinę, przyjaciół albo partnera, o których nigdy mu nie powiedziała. Znikała przecież czasem z zamku, nie tłumacząc, dokąd idzie. Ta idea była czymś dziwnym, czymś niepasującym do beczelnej Saniki, czymś, z czym nie chciał się pogodzić – bo przecież *powinien* wiedzieć, gdyby tak właśnie było.

– Jakie? – spytał w końcu. Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego. Ten uśmiech kojarzył mu się negatywnie. Sara miewała taką minę głównie wtedy, kiedy coś kombinowała.

– Jesteś za młody, żeby ci o nich opowiadać.

– Czasem – powiedział Julian po chwili milczenia, przeciągając sylaby – naprawdę mam ochotę trzepnąć cię w ten czarny łeb.

– Królowi nie wypada – odparła niemalże wesoło. Wstała, syknęła cicho, rozprostowując zdrętwiałe od długiego klęczenia nogi. Nim Łukomski zdążył się podnieść, poklepała go po głowie, nieuważnym gestem, jakim zwykle obdarza się psiaka, pałętającego się koło nóg, tak jak robiła to, gdy był dzieciakiem, i przeszła do odsuniętego pod ścianę stolika.

– Pewnego dnia się ciebie pozbędę – przyrzekł solennie, raczej zrezygnowany niż zirytowany.

– Pewnego dnia, Julianie, odejdę sama.

Zabrzmiało to swobodnie. Kolejne zdanie w litanii przekomarzania, czarownica nawet nie patrzyła na niego, gdy je wypowiadała. Mimo to władcę Polanii nasza kolejna, niemiła myśl: że choć on sam absolutnie nie mówił poważnie, to Sara szczerze wierzyła w swoje słowa.

\*\*\*

Różowe kucyki radośnie ścigały się wokół tęczy na fototapecie. W powietrzu unosił się słodki zapach czekolady i truskawek. Kolorowe światełka w kształcie gwiazdek, oplatające niewielką choinkę, były jedynym źródłem światła w pomieszczeniu. Zbyt mizernym, by ludzkie oko mogło zaobserwować, jak coś przesącza się przez dziurkę od klucza i, już w pokoju, przyjmuje kształt. Istota była patykowata, nieforemna i blada, jej płaska twarz nie miała rysów, a okrągłe oczy zdawały się być ślepe. Choinkowe światełka zamigotały i zgasły, a stworzenie powolnymi, płynnymi ruchami przebyło pokój, kierując się w stronę łóżka, gdzie z pościeli uśmiechały się jasnowłose księżniczki. Kilkuletnia dziewczynka okryta kołdrą posapywała cicho przez sen, marszcząc nosek i zaciskając drobną piąstkę na poduszce. Coś zaczęło wic się na podłodze, ślepe stworzenie jednak pozostało skupione na małej.

Dłoń o nienaturalnie długich, cienkich palcach, przesunęła się po włosach dziecka. Istota pochyliła się nad łóżkiem i zastygła, gdy choinkowe lampki przepęłżyły po barwnym dywanie i zaczęły błyskawicznie owijać się wokół patykowatych nóg. Stwór wyprostował się gwałtownie. Brak ust uniemożliwił mu wydanie jakiegokolwiek dźwięku, a gdy przewody oplatające odnóża zacisnęły się, padł na dywan, który wyciszył upadek.

Sara, skulona do tej pory na parapecie, błyskawicznie rzuciła się do przodu. Sztylet, który miał zagłębić się w pokrytym bielmem oku, nie sięgnął celu. Długie ręce dopadły kostek czarownicy, pozornie kruche, ale zdumiewająco silne palce zacisnęły się i pociągnęły Sarę ku sobie. Kobieta z cichym sykiem też upadła na dywan (miękki, na całe szczęście), przeklinając się w myślach, że nie użyła od razu bardziej morderczych, magicznych metod – najwyżej postawiłaby na nogi dziecko, rodzinę i pewnie cały blok, ale kogo to obchodziło? Stwór wyplątał się z lampek i przeskoczywszy nad czarownicą, opadł na wszystkie odnóża. Nim Sara poderwała się, już uległ dematerializacji i przecisnął się przez szczeliny w oknach. Dla tego demona nawet najdrobniejsza wyrwa mogła stanowić drogę ucieczki.

Czarownica syknęła, jednym skokiem dopadła parapetu i, nie bacząc na ostrożność, otworzyła okno szarpnięciem, wpuszczając do dziecięcego pokoju zimny wiatr i wirujące płatki śniegu. Dziewczynka, przebudzona ze snu, rozplakała się, Sara jednak już tego nie słyszała – rzuciła się w dół. W jej uszach zaświszczało powietrze.

\*\*\*

Kreda byłaby zbyt nietrwała – Sara kresliła więc przed łowami znaki za pomocą spreju bądź flamastra, jak pospolici wandale. Umieszczała je pomiędzy uroczymi napisami w rodzaju: „Kryśka to dziwka” i „Vistula chuj”, starając się wybierać miejsca, w których nie przyciągną zbyt wiele uwagi. Za każdym razem najpierw wykradała światło z okolicznych latarni i pracowała pośród mroku, z kapturem naciągniętym na głowę, z szalikiem skrywającym dolną część twarzy.

Spędziła tak trzy noce z rzędu i do pewnego stopnia ją to bawiło. Znów, gdy miasto zasypiało, ona ruszyła na łowy, szykowała pułapkę na ofiarę. Gdzieś w oddali czasami rozbrzmiała jakaś syrena, ktoś powracał z nocnej zabawy późną porą, gdzieś rozszczekał się pies. W niektórych oknach płonęły ostatnie światła, zapalone przez nocnych marków. W znakomitej większości ulice pozostawały jednak puste – była tylko Sara, jej magia i zaciskająca się powoli pętla. Tym razem wiedziała, na kogo poluje, trzymała wszystkie karty w ręku. Lubiła to uczucie. Stanowiło miłą odmianę od nieznannej siły działającej w mieście i intrygi, której Sara nie rozumiała, a która nie dawała o sobie zapomnieć – dwukrotnie podczas nocnej wędrówki natknęła się na duchy.

Na was też przyjdzie czas – powtarzała sobie, za dnia zdobywając informacje, rozmawiając z kolejnymi osobami, grzebiąc w policyjnych raportach. To wszystko ją drażniło, męczyło i doprowadzało do frustracji. Szykowanie pułapki nocą było czymś zupełnie innym. Szukała miejsc, w których demon w ostatnich dniach już się pojawił, zaznaczała na mapie jego zeszłoroczną trasę. Ustalała drogę. Dwie kolejne noce spędziła na bezowocnym czatowaniu przy domach, które mogły stać się celem demona, żywiącego się dziecięcymi snami i energią.

W końcu jednak trafiła, a znaki na okolicznych murach i budynkach stanowiły element jej pułapki. Gdy rzucili się oboje z okna, demon i czarownica, rozbłysły, aktywując zaklętą w nich wcześniej magię i tworząc wokół dzielnicy przygotowywaną przez trzy noce sieć, mającą zatrzymać istotę.



Zmuszony do ponownego przyjęcia materialnej formy, blady stwór wpadł w zaspę na trawniku i pomknął przez parking, wciąż na czworakach, poruszając się z zadziwiającą prędkością. Płatki, pochwycone w locie magią, wirowały wokół Sary, spowijając szczelnie całą jej postać, kiedy opadała na chodnik. Pchnęła wiatr i zebrany śnieg za demonem, odrzucając go między samochody. W nocną ciszę wdarły się jazgotliwie dźwięki alarmów. Sara zakląła. Ostatnie, czego teraz potrzebowała, to policja albo właściciele co droższych modeli, gotowi przeboleć dla ukochanych pojazdów wycieczkę w zimną noc.

Istota znów szybko się pozbierała i pomknęła między autami, wykonując długie skoki, a czasem przeslizgując się po maskach samochodów. Coraz bardziej rozgniewana czarownica ruszyła za nią biegiem, w ciemność bocznej uliczki. Pod jednym z okolicznych balkonów nakreślone trzy noce temu znaki rozbłysły, po czym farba zaczęła sama spływać po murze.

Wypadła za róg, pewna, że zobaczy demona oddalającego się zaułkiem. Jednak ten albo był sprytniejszy, niż założyła, albo pojął, że Sara nie zamierza dać mu uciec. Wykorzystał te kilka sekund przewagi, by wspiąć się na ścianę bloku i teraz skoczył z góry na rozpędzoną kobietę, obalając ją na chodnik, pokryty warstwą ubitego śniegu zmieszanego z piaskiem. Palce zacisnęły się na chwilę na jej szyi, druga ręka demona unieruchomiła dłoń, w której czarownica trzymała sztylet i gdyby Sara miała teraz czas na przemyślenia, pewnie gratulowałaby sobie, że tym razem postanowiła założyć szalik. Powstrzymała odruch każący chwycić stwora za przegub i odciągać jego łapę – zamiast tego wbiła palce wolnej ręki w oko stworzenia, jednocześnie uwalniając magię. Czarna posoka spłynęła jej po palcach, a lód zaczął zagarniać płaską twarz demona, który, miotając się z bólu, rozluźnił uścisk na jej gardle. Niestety, wciąż miażdżył nadgarstek Sary, więc nie był tu jedynym cierpiącym.

Szarpnęła się wściekle, usiłując zrzucić z siebie stworzenie i stłumiła krzyk, kiedy jej kość pękła pod naciskiem silnych palców. W bólu i gniewie znów uderzyła magią, tym razem znacznie mocniej. Demon został poderwany w górę i uderzył w ścianę. Przed oczyma Sary wirowały mroczki, dźwignęła się jednak na kolana. Wokół niej po ziemi rozchodził się lód, skuwając chodnik, pobliski kosz na śmieci, pokrywając cienką warstwą śnieg zalegający na trawnikach. Nie próbowała powstrzymać szalejącej mocy, rozwścieczona do granic możliwości, pochłonięta myślą, że ta mizerna istota, obdarzony nikłymi zdolnościami pośledni

rodzaj demona, zdołał złamać jej rękę. Skierowała magię przeciw niemu, gdy znów podjął próbę rzucenia się prosto na nią: wiatr zawirował, zatrzymując stwora w powietrzu, lód zaczął pochłaniać całą patykowatą postać.

– Zdychaj – wycedziła mściwie, patrząc na zawieszzonego pół metra od niej demona. Podniosła się z pewnym trudem i wyciągnęła przed siebie zdrową dłoń, rzucając przeciwko nieruchomemu już przeciwnikowi chyba wręcz zbyt wiele magii. Zakręciło się jej w głowie od ubytku mocy, znów opadła na kolana, a kawałki lodu prysnęły na wszystkie strony. Lodowa rzeźba, w którą czarownica zamieniła swojego wroga, rozleciała się na kawałki.

Ból, do tej pory częściowo stłumiony przez adrenalinę, uderzył ze zdwojoną mocą. Szyja pulsowała bólem, przełykanie przychodziło z trudem. Kość, jak oceniła Sara, poddając ostrożnym oględzinom nadgarstek, musiała być co najmniej pęknięta. Leon w ciągu paru dni powinien doprowadzić to do porządku, jednak wizja ponownej niesprawności, nawet drobnej, wzbudzała złość. Posykując i przeklinając pod nosem, przeszła na klęczkach kawałek po oblodzonej ziemi, by zdrową ręką sięgnąć po upuszczony sztylet, w którym pewnej letniej nocy uwięziono duszę i moc Klausa. Ostrożnie ukryła go pod kurtką. Skupiona na sobie, nie od razu dostrzegła, że światła pobliskiej ulicy zaczynają wygasać. Przechodziły ją dreszcze, narastał dziwny niepokój, ale złość i ból odsuwały to uczucie na dalszy plan. Dopiero po dłuższej chwili, gdy podniosła się i ostrożnie pokonała lód, pojęła, że coś jest nie tak. W pobliżu pojawiło się coś jeszcze. Ona zaś była ranna i osłabiona. Zmarszczyła brwi, powoli gromadząc wokół siebie moc, przygotowując się do kolejnego starcia, tworząc tarczę. Lecz przychodziło jej to z dziwnym trudem – który nie mógł być spowodowany tylko tym, że tej nocy już intensywnie korzystała z magii.

Przestawała wyczuwać miasto. Gdy sobie to uświadomiła, po raz pierwszy tego dnia zaczęła się bać. Pewność siebie, nie nadszarpnięta nawet przez nie do końca udane starcie z demonem, teraz stopniała w zastraszającym tempie. Działo się coś, czego nie rozumiała. Zamiast więc ruszyć w stronę, z której spodziewała się nadejścia kolejnego przeciwnika, jak zamierzała w pierwszej chwili, niemalże odruchowo wykonała krok w tył. Później następny.

W dwóch oknach, rozjarzonych dotąd blaskiem, jednocześnie zgasły światła. Ciemność przed czarownicą zdawała się pogłębiać, choć nie zostały już żadne lampy do wygaszenia. Nieprzyjemne uczucie rozlało się gdzieś w brzuchu, gdy

przypomniała sobie inną noc, kiedy ścigano ją po ulicach miasta. Ale teraz nie było już przecież nocnego króla, nie było nikogo, kto mógłby pchnąć przeciwko niej takie moce, jak wtedy.

Mimo to odwróciła się i ruszyła biegiem w przeciwną stronę. Wściekła na samą siebie za tę ucieczkę. Nie miała jednak zamiaru ryzykować, nie, gdy nie wiedziała, co dokładnie się dzieje. Znów wypadła na parking, na którym wcześniej ścigała demona, przebiegła między blokami, kierując się ku głównej ulicy. Za nią, co odnotowała z rosnącym niepokojem, wygaszały kolejne światła. To był mrok głębszy niż ten, jaki niosła ze sobą Wiele Pieśni. Nie tylko zniknęły sztuczne źródła blasku, pogłębiały się też cienie, i teraz całą sobą Sara czuła, że coś za nią podąża.

Znów była ścigana.

Jeszcze większe przerażenie wywołał w niej fakt, że wyczuwała magię i ją rozpoznawała. Nie miała jednak czasu się nad tym zastanawiać. Wzięła rozbieg, odbiła się mocno od ziemi, przefrunęła ponad ulicą. Obróciła kierunek ku swojemu mieszkaniu, może dużo mniej bezpiecznemu niż Wawel, ale i tak chronionemu lepiej niż większość miejsc w mieście, a znacznie bliżej położonemu. Nie miała dość sił, aby dotrzeć na zamek.

Gdzieś za nią rozległ się pisk opon. Światła jakiegoś samochodu najwidoczniej zgasły, pozostawiając kierowcę w kompletnej ciemności. Czarownica nie zatrzymała się jednak. Nie próbowała na razie patrzeć za siebie – cokolwiek ją goniło, nie była przygotowana do starcia. Nie brała pod uwagę możliwości porażki, ale walka mogłaby ją drogo kosztować, a ostatnia wizyta w szpitalu stanowiła pewną nauczkę. Wylądowała na ziemi dopiero na własnym osiedlu, zmęczona zarówno intensywnym używaniem magii, jak bólem. Pognała pędem między blokami. Choć zazwyczaj nie potrzebowała światła, by widzieć, tak teraz mrok zdawał się być nienaturalnie gęsty, prawie jak w Parku Łukomskiego. Nie mogła zobaczyć niemal nic, a świadomość obcej obecności utrudniała kierowanie się magią. Sarę prowadziła jedynie pamięć i znajomość okolicy, mimo których w biegu wpadła w krzaki, zasadzone przez sąsiadkę przy klatce, i omal nie straciła równowagi. Gdzieś za sobą usłyszała cichy warkot. Tym razem się obejrzała.

Zdawał się już nie mrokiem, a wręcz pustką, dziurą w świecie. Ogromny, sięgający wysokością niemal pierwszego piętra. Wilcza sylwetka znana ze snu – lub może tylko tak się jej wydawało, może umysł nadał temu czemuś znajomy kształt. Sara, niewiele myśląc, rzuciła się do drzwi, nieomal wyważając magią,

zmusiła je do otwarcia i wpadła do środka. Gdyby wierzyła w jakąś formę opiekuńczych mocy, modliłaby się pewnie teraz, by wplecione w mury budynku osłony pomogły. Zamiast tego zdrową ręką gorączkowo przeszukiwała kieszenie, gnając jednocześnie po schodach, przeskakując po trzy stopnie. W końcu palce czarownicy zacisnęły się na zapalnicze. Pstryknęła. Błękitne linie zaślniły, rozbłysnął jasny płomyk. W głowie Sary zaczynało szumieć, czuła, jak coś czepia się jej nóg, sprawiając, że bieg był coraz trudniejszy. Ciało, zmuszane do ciągłego wysiłku, też protestowało. Drzwi mieszkania otworzyły się przed nią same i zamknęły, gdy wpadła do środka i uderzyła kolanami o podłogę tuż za progiem. Wciąż karmiła swoją energią magiczny płomyk, który w pomieszczeniu wypełnianym od lat jej magią, wybuchł z większą siłą. Osłony wplecione w ściany mieszkania zadrżały i...

Wszystkie światła zapłonęły. W przedpokoju, w łazience, w kuchni, w obu pokojach. Nocna lampka rozbłysła, telewizor włączył się na scenie z jakiegoś horroru. Radio zagrało, zabuczała drukarka. Oślepiąca Sara zacisnęła powieki. Gdy je otworzyła, odetchnęła cicho i ułożyła się na podłodze, nie potrafiąc się zmusić do wstania. Nigdy wcześniej nie bała się ciemności, lecz teraz obecność światła uspokajała. Nadgarstek bolał, jakby ktoś wbijał w niego igły, coś w głowie pulsowało.

Duch chłopca, stojący przy zdjętym ze ściany lustrze, przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Potem cofnął się i wniknął w tył zwierciadła, pozostawiając czarownicę samą.

\*\*\*

Nadgarstek, który do rana zdążył spuchnąć tak, że przypominał dynię, został potraktowany zaklęciem, wysmarowany jakąś paskudną, zieloną maścią i usztywniony. Leon o nic nie pytał. Julian z kolei patrzył na Sarę z wyrzutem, jak ojciec, którego córka wspięła się na drzewo, choć wyraźnie jej tego zabronił, i spadła, robiąc sobie tym samym krzywdę poniekąd na własne życzenie. Nie pokazała medykowi śladów na szyi, a że nie bardzo umiała usunąć je sama, na bladej skórze wyraźnie odznaczały się sińce. Nic nie szkodzi. I tak nikt nie miał ich zobaczyć.

Podczas gdy większość krakowian przygotowywała wigilijną kolację, Sara pokonywała trasę swojej wczorajszej ucieczki w poszukiwaniu śladów. Nie znalazła jednak niczego. Nie ostało się nic, co świadczyłoby o obecności

magicznej, potężnej istoty, co czarownicy bardzo się nie podobało. Istniały sposoby, by się zamaskować, ale uwolnienie takiej ilości mocy powinno nie tylko zostawić liczne ślady, lecz także zaalarmować wszystkich magicznych w promieniu paru kilometrów. Tymczasem nie pojawiły się żadne zgłoszenia, a podczas spaceru, gdy bardzo się skupiała, wyczuwała jedynie echa własnej magii i – w miejscu, gdzie stoczyła walkę – zanikającą demoniczną obecność. Gdy więc powróciła do swojego mieszkania, zastanawiała się, czy to wszystko – gasnące światła, wilk – nie było tylko kolejnym, zadziwiająco realistycznym snem bądź majakiem wywołanym zmęczeniem.

Wolała nie zastanawiać się nad innymi możliwymi wyjaśnieniami. Słowo „szaleństwo” przechodziło jej czasem przez myśl i było natychmiast odpychane, bo przecież nie mogła tracić zdrowych zmysłów. To pozostawało absolutnie nieprawdopodobne. Wątpliwości co do zdrowia własnych zmysłów, brak dostatecznych tropów w sprawie morderstw, niepewność, jaka magia przywoływała duchy. Fakt, że Tomasz był na Paradzie w pewien sposób łączył tę sprawę z nocnym królem, co wywoływało dodatkowy niepokój i przypominało o niejasnym związku Kaliny z Klausem.

– Nie ubierasz nawet choinki?

Głos rozległ się za plecami Sary, gdy ta stała przy otwartych drzwiach balkonowych, zapalając papierosa. Krystian Chmielewski przechadzał się przy półce z książkami, odczytując kolejne tytuły. W pierwszej chwili ledwo go poznała. Zazwyczaj chadzał w wymiętych, kraciastych koszulach i džinsach, często przybrudzonych atramentem – zupełnie jakby czarodziej nie potrafił zrozumieć, że w XXI wieku pisać można długopisem bądź na komputerze. Teraz, w spodniach od garnituru i bez wątpienia drogiej, niebieskiej koszuli, starannie ogolony i uczesany, wyglądał niemal elegancko. Jak szybko odnotowała Sara, nie założył jednak krawata.

– Nie obchodzę świąt – skwitowała, odwracając spojrzenie od Chmielewskiego i przenosząc je na widoczne w dole miasto. Zaciągnęła się dymem. – Nie masz jakiegoś karpia do zjedzenia i prezentów do rozpakowania?

– Och, do kolacji siadamy dopiero za pół godziny. O, kupiłaś nową książkę. „Znikające gwiazdy”. I jak wyszło autorce? Zastanawiałem się nad nią, ale jednak debiuty są trochę ryzykowne...

Policzyła w myślach do dziesięciu, rozważając, jak rozkosznie byłoby udusić Chmielewskiego. Teraz miała w mieszkaniu już dwie niematerialne, wysoce irytujące osoby. Wprawdzie rano odkryła, że posadzenie ducha przed telewizorem i odpalenie kanału z bajkami pochłania go bez reszty przynajmniej na parę godzin, sprytny wybieg jednak nie rozwiązywał problemu cudzej obecności.

– Przyzwoicie – burknęła. – Czego chcesz, Krystianie?

– Pod choinkę? Wyobraź sobie, że nikt mnie w tym roku o to nie zapytał. Pewnie wszyscy znów dadzą mi książki, podczas gdy tak naprawdę chciałbym dostać nową holokonsolę, wiesz, tę magiczną, z efektem przeniknięcia do świata gry – odparł wesoło czarodziej. W wyobraźni Sara właśnie dźgała go sztyłem prosto w serce. – Palenie to paskudny nawyk, Piekielnico. Nie marzniesz? Na dworze jest chyba z minus dziesięć.

– Jestem paskudną osobą i najwyraźniej w żyłach mam lód – wycedziła Sara, wypuszczając z ust kłęb dymu. Cieszyła się, że sięgnęła po tego papierosa – uspokajał ją odrobinę, powstrzymując od haniebnej próby rzucenia się na Krystiana. Próby, która musiałaby się zakończyć wpadnięciem na półkę z książkami.

– Jak słodko. A ty czego byś sobie życzyła na święta?

– Poza tym, żebyś dał mi spokój? Wafli czekoladowych – odparła bez namysłu. Krystian westchnął.

– Nigdy nie odpowiadasz poważnie?

– To była poważna odpowiedź. – Przypatrywała się ciemniejącemu szybko niebu, zarysom budynków. Chłodny wiatr czochrał jej włosy. – Ja nie mam wielkich życzeń. Wiesz, filozofowie mogą sobie rozważać sens życia, ile się im podoba, ale dla mnie to otrzymanie wafła, kiedy mam na niego ochotę. To takie inne od twojej holokonsoli?

Kawa, gorzka i mocna. Taniec do samego świtu, gdy w uszach dudni głośna muzyka. Słodka czekolada, kiepski film i przesolone frytki. Wszystko, co nie jest ciszą i bezruchem. Wszystko, co kochała i czego pragnęła. Życ i nie pozwolić, by ktoś znów ją kontrolował.

– Powiedz mi, co stało ci się w rękę? To ma jakiś związek z naszymi duchami?

No tak. Leon na pewno powiedział Adamowi, że opatrywał jej rękę, a Adam natychmiast wszystko powtórzył swojemu zwierchnikowi. Sara gniewnym ruchem zgasiła papierosa i cofnęła się, zatrzasnąwszy drzwi balkonowe. Przez chwilę kusiło

ją, by po prostu wylecieć w noc, lecz na zewnątrz robiło się już ciemno, a wspomnienie wilka pozostawało żywe w jej pamięci.

– Nie. Musiałam pozbyć się pomniejszego demona. Uszkodził mi nadgarstek – wyjaśniła, siląc się na spokój. – Jeśli chodzi o duchy, pracuję nad tym.

– I jak zwykle, nie dzielisz się z nikim efektami swojej pracy – oznajmił Krystian z przyganą, odwracając się od półek, by spojrzeć na czarownicę. Spojrzenie ciemnych oczu skupiło się na okolicach szyi Sary. Odruchowo omal nie podniosła ręki ku gardłu, gdy zdała sobie sprawę z tego, gdzie czarodziej patrzy. Na bladej skórze wciąż odznaczały się sine ślady. – Jak widzę, demon dobrał się też do twojego gardła?

– Demon jest martwy – burknęła, opadając na kanapę i, rzecz jasna, ignorując napomnienie. – Ja czuję się doskonale, wielkie dzięki za z pewnością bezinteresowną troskę. To już wszystko?

– Popatrz, a liczyłem chociaż na życzenia wesołych świąt – odparł Krystian. Nie znikł. Oczywiście, że nie znikł, zamiast tego rozsiadł się wygodnie w fotelu naprzeciwko niej. Spojrzenie Sary powędrowało w stronę zegara. Jakies parę minut wcześniej wspominał o kolacji za pół godziny, istniała więc szansa, że nie będzie jej męczył zbyt długo. – Zbadałem sprawę Lelkova. Pomyślałem, że rezultaty cię zainteresują.

Udało się jej zapanować nad mięśniami twarzy, w myślach jednak obrzucała wiceprzewodniczącego Łoży wyjątkowo wyszukany inwektywami. Lekkie poirytowanie, wywołane jego wizytą, zmieniło się w z trudem skrywaną wściekłość. Zdążyła niemal zapomnieć o duchach z Lelkova i sugestiach Krystiana. Nieśluszenie. Powinna była wiedzieć, że nie zostawi tego tak po prostu i prędzej czy później czegoś się dokopie.

– Doprawdy?

Przez chwilę przypatrywał się jej bacznie w ciszy. Później wąskie wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

– Jesteś niezłą aktorką. Naprawdę. Prawie ci wtedy uwierzyłem. Powiedz mi, Saro, co łączy cię z rodziną Sokołów z Lelkova?

Przekłety. Bądź przekłety po siedmiokroć – przeszło jej przez myśl i tym razem chyba coś uwidocznili się na twarzy, bo uśmiech Krystiana się poszerzył.

– Po co pytasz, skoro najwidoczniej wiesz? – spytała zimno, zmuszając się do zachowania spokoju. Przez całe lata nikt nie znalazł żadnych śladów. Nigdy nie

pomyślałaby, że zdradzić ją mogą... duchy.

– Może chciałbym usłyszeć to od ciebie?

– To nie twoja sprawa – odparła ostro, podrywając się i podchodząc do okna. Niecierpliwym gestem odgarnęła firankę, palce zdrowej dłoni zacisnęła na parapecie. W szybie niewyraźnie odbijała się jej sylwetka i rozwścieczona twarz.

– Biorąc pod uwagę duchy szalejące po Polanii, to jak najbardziej moja sprawa.

– Krystian ściągnął okulary i przypatrywał się im przez chwilę, oceniając czystość szkła. – Widzisz, jeden z tamtejszych duchów okazał się, o dziwo, dość rozmowny. Naprowadził mnie na pewien trop. Udało mi się mianowicie znaleźć akt urodzenia niejakiej Weroniki Sokół, która w oczach prawa zmarła ponad dwadzieścia lat temu. Ciekawa rzecz: nikt z rodziny jej nie pamięta. Sąsiedzi nie kojarzą. Nauczyciele nie mogą przypomnieć sobie takiej uczennicy.

Zaciskała zęby, spoglądając na panoramę miasta. Ruchliwa ulica, bloki, widoczne w oddali siedziby firm. Kontroluj oddech, Saro. Łód piął się po szybie i dopiero po chwili pojęła, że tworzy kształt przywodzący na myśl ognisko.

– Czy mam grzebać tam dalej, Saniko? Ściągnąć resztę Łoży? Poprosić o pomoc Lidię i Romana?

Drgnęła, słysząc w jego ustach to przezwisko. Nie sądziła nawet, że je zna: w ten sposób zwracali się do niej tylko Julian i Smok Wawelski. Kiedyś nazywała ją tak też Kalina. „Sanika” wypowiedziana przez Chmielewskiego brzmiała dziwnie nienaturalnie.

Dlaczego upierasz się traktować mnie jak wroga? W tym momencie zaczęła tak go postrzegać. Być może niesłusznie. Ośmielił się jednak sięgnąć ku wspomnieniu Lelkowa, czemuś, co stanowiło dla niej tabu. Gdyby tu był, gdyby był w jej mieszkaniu naprawdę, człowiek z krwi i kości, rzuciłaby się na niego w szale. Jego niematerialność zmuszała do opanowania i rozsądku.

– Bardzo ładnie, panie wiceprzewodniczący – powiedziała głosem pozbawionym wyrazu. Zastanawiała się, czy Krystian podzielił się tą wiedzą ze swoimi współpracownikami. Nie mogła być pewna, lecz sądziła – a może tylko miała nadzieję – że będzie wolał zachować dla siebie tę informację, doskonałą do wykorzystania w przyszłości. – Czego właściwie chciałeś dowiedzieć się ode mnie?

Nie spodziewał się chyba takiego pytania. Zamilkł na chwilę, przypatrując się własnym, szczupłym dłoniom.



– Chyba tego, kto cię stamtąd zabrał – stwierdził w końcu, przeciągając sylaby. – Mam wrażenie, że to była Kalina, ale jeśli nie... Jeśli ta osoba wciąż żyje...

Uniósł głowę wyraźnie zaskoczony, gdy wypowiedź przerwał mu rechot Sary. Czarownica wciąż stała tyłem do niego, podpierając się zdrową ręką o parapet. Chichotała głośno, ramiona drżały jej od śmiechu.

– Poważnie, Krystianie? – spytała z rozbawieniem, być może udawanym. Odwróciła się wreszcie, by spojrzeć na niego, a szybko za jej głową całą zamalowały lodowe płomienie. – Czego ty się spodziewasz? Jakiejś historii o porwaniu?

Wyraz jego twarzy był aż nadto wymowny.

– No nie! Jesteś rozczulający, doprawdy!

Tym razem przez ułamek sekundy wydawał się niemalże zakłopotany. Przyniosło to czarownicy cień satysfakcji, choć uświadomiła sobie przy okazji, że wysmiewanie go w tym momencie to właściwie nienajlepszy pomysł. Za wiele wiedział i nie miała jeszcze pojęcia, jak tę wiedzę zechce wykorzystać.

– Przed czterdziestu laty nastąpiła seria porwań dzieci, z których wszystkie prawdopodobnie posiadały talenty magiczne – odparł w końcu sucho. – Podczas wojny wykorzystywano takie dzieci do eksperymentów. W aktach Łoży mamy informacje o trzech przypadkach złożenia młodego czarodzieja w ofierze tylko w przeciągu ostatniego ćwierćwiecza. Nie wspominając o sprawie Antoniego Dagały<sup>5</sup>. W przeszłości odbieranie dzieci niemagicznym rodzicom, by związać je jedynie z nauczycielem, stanowiło normę. To zdarza się do dziś.

Jakaś mała część Sary widziała sens w tym wywodzie. To też nie było chlubnym rozdziałem w historii magii. Choć pewne zdolności posiadało kilka procent populacji, osoby z naprawdę dużym potencjałem zdarzały się rzadko. Swego czasu, jeśli przejawiały go dzieci ze zwykłych rodzin, nauczyciele odkupywali je bądź odbierali rodzicom przemocą. W wielu okolicznościach dziecko o magicznym talencie stanowiło też idealną wręcz ofiarę. Usta Sary wykrzywiły się w mimowolnym grymasie, szarpnęła bluzę na piersi. Przynieście mi jej serce. Przynieście wycięte płuca.

– Naprawdę sądzisz, że gdyby ktoś zrobił coś takiego mnie, mógłby żyć? A może ubzdurałeś sobie, że pozbyłam się Kaliny? – warknęła, ruszając w stronę Krystiana. Złość utrudniała jej racjonalne myślenie. Chmielewski nie miał prawa

w tym grzebać. – Nikt nie zabrał mnie z tamtego domu. Nie zostałam porwana. Wszystko, od początku do końca, było moją decyzją. Moim wyborem.

Prawie syczała, podchodząc do fotela, który zajmował. Podparła zdrową dłoń o podłokietnik i pochyliła się nad czarodziejem, zmniejszając dzielącą ich odległość.

– Ja postanowiłam odejść. Ja zabrałam im wspomnienia. Nigdy nie było nikogo innego. Rozumiesz?

Nie odwrócił wzroku. Zadarł lekko głowę, by móc patrzeć jej w oczy. Coś w jego twarzy znów przywiodło wspomnienie Twardowskiego, odbierając czarownicy część pewności siebie.

– Oboje wiemy, że dwunastoletnia dziewczynka nie mogłaby rzucić takiego zaklęcia.

– Ja rzuciłam – syknęła, odsuwając się gwałtownie. Zaczęła krążyć po pokoju, jak zwierzę uwięzione w klatce. Gwałtowne ruchy, nagłe zmiany kierunku, jakby chciała rzucić się na kogoś znieca. – Tkałam je tygodniami. Sprawiałam, że nikt we wsi nie miał się dziwić moim nagłym zniknięciem. A potem wymazałam wspomnienia mojej rodziny. Bo tego właśnie chciałam, Krystianie Chmielewski! Lelkowo! Ono nic dla mnie nie znaczy! Jestem Sara! Czarownica! Nie ma niczego innego. Wszystko inne to tylko sen.

Zamilkła, starając się uspokoić oddech. Stanęła koło szafki z książkami i oparła czoło o półkę, przymykając oczy. Krystian wciąż śledził ją uważnym spojrzeniem. Gdy się odezwał, mówił powoli, jakby starannie ważył każde słowo, nie chcąc wywołać kolejnego wybuchu.

– Wtedy trafiłaś do Krakowa? Ktoś przyjął cię pod opiekę?

– Nie potrzebowałam opieki – wycedziła Sara.

– Miałaś kilkanaście lat.

– Miałam swoją magię, Krystianie – odparła. Gniew opadł nagle, znikając bez śladu. Wyprostowała się i zapatrzyła na okładki książek ustawionych na półkach. Czy wydawało się jej, czy w głosie Chmielewskiego naprawdę wyczuła współczucie? – Nigdy nie potrzebowałam niczego więcej. Kiedyś trzynastoletnia dziewczynka była już niezłą kandydatką na pannę młodą. Nikt nie musiał się mną opiekować i nie przybyłam od razu do Krakowa. Odwiedziłam wiele miast, miasteczek i wsi. Magia była mi przewodnikiem i pozwalała poradzić sobie wszędzie, gdzie trafiłam. I tak, w końcu ściągnęła mnie tutaj. Musiało tak być.

Niektóre miejsca przyciągały ją jak światło ćmę. Kraków nie był jedynym naprawdę magicznym obszarem w Polanii, ale mieszkały tu potężne moce. Czuła to od pierwszego dnia i choć początkowo zamierzała ruszyć dalej po kilku tygodniach, te niepostrzeżenie zmieniły się najpierw w miesiące, później zaś w lata. Długo łudziła się, że ruszy w drogę – już wkrótce, gdy nadejdzie wiosna, latem, jesienią... Aż w końcu nadszedł dzień, gdy z przerażeniem pojęła, że wcale nie chce odchodzić.

– Musiałaś mieć nauczyciela. Byłaś tylko dzieckiem... Opuściłaś dom...

– Przestań wreszcie! – znów podniosła głos, choć tym razem nie kierował nią gniew. Obejrzała się na czarodzieja, i rzeczywiście, mogłaby przysiąc, że patrzy na nią z pewnym współczuciem. – Nie potrzeba mi twojej litości. Nie odeszłam, bo mnie maltretowano albo ktoś mnie zmusił. Nigdy tego nie żałowałam. Jesteś wreszcie zadowolony? Wiesz, co chciałeś wiedzieć? Zostawisz mnie, do cholery, w spokoju? I zostaw tych ludzi. Niech żyją swoim życiem. Nie powinieneś się w nie wtrącać. Niepamięć jest dla nich lepsza. Lelkowo nic dla mnie nie znaczy.

Nie była pewna, czy jej uwierzył. Być może sam jeszcze nie zdecydował. Wątpiła, by po prostu na dobre porzucił sprawę: będzie węszył dalej, usiłując zweryfikować jej historyjkę. A ona nie mogła nic na to poradzić.

– Jeśli spytam, dlaczego to zrobiłaś, odpowiesz?

– Już ci odpowiedziałam. Tego właśnie chciałam. Skoro już mamy najwidoczniej wieczorek szczerości, może ty odpowiesz mi na jedno pytanie? Zawsze umiałaś wędrować w ten sposób, czy to pojawiło się później?

Tym razem na twarzy Krystiana uwidoczniło się lekkie zaskoczenie. Nie spodziewał się takiego pytania. Wzruszył w końcu ramionami, chyba uznając je za niezgrabną próbę zmiany tematu rozmowy.

– Miałem kilkanaście lat, kiedy udało się po raz pierwszy. To talent, którego nikt tak naprawdę nie rozumie. Saro...

– Wesółych świąt, Krystianie. Pół godziny minęło. Dwanaście dań czeka.

– Wesółych świąt, Sanika – odparł po chwili milczenia i znikł.

Sara usiadła na dywanie, podpierając się o regał z książkami. Myślała o nocy, gdy zeszła po drewnianych schodach z plecakiem przerzuconym przez ramię i wrzuciła do kominka swoje zdjęcia. Odkąd była małym dzieckiem, śpiewały dla niej syreny, w lustrach widywała cudze odbicia, w snach przychodziły wspomnienia z innego czasu, z innych miejsc. Nim skończyła jedenaście lat,

dobrze pamiętała własną śmierć. I Weronika Sokół, trzecie dziecko w rodzinie, zdawała się jej samej coraz mniej realna – coraz bardziej obca. Coraz trudniej było przestrzegać narzucanych zasad i ograniczeń. Coraz więcej niepokoju czaiło się na dnie oczu ludzi, o których przestawała myśleć jak o rodzicach. Coraz częściej rozmawiała z psychiatrami. Coraz więcej leków pojawiało się na szafce. Nie dostrzegano w niej magii, a nawet gdyby, nie podjęto by ryzyka uczenia dziecka, które zdawało się niestabilne psychicznie. W końcu nie mogła tak dłużej. Przebudzona magia spowijała cały dom, blask księżyca wpadał przez okna, a choć od morza dzieliło ją kilka kilometrów, w uszach słyszała szum fal. I kiedy wybiegła w noc, kiedy moc wypełniła jej ciało i umysł, nie czuła strachu ani smutku, lecz euforię. Niosła w sobie przecież magię z dawnego świata i pamięć innego życia. Tylko fizycznie pozostawała dzieckiem, nie była przecież wiele starsza, kiedy pierwszy raz próbowano odebrać jej serce, kiedy skończyła zdana tylko na siebie.

Wreszcie była wolna.

Przynajmniej tak wtedy sądziła.

---

<sup>5</sup> Sprawa Antoniego Dagały – w roku 1997 jedenastoletni Antoni, syn słynnego czarodzieja Piotra Dagały (który zginął w wypadku w 1995 roku), został porwany z rodzinnego domu. Poszukiwania nie przyniosły rezultatów. Ciało Antoniego odnaleziono niemal trzy lata później. Chłopiec nie żył dopiero od kilku tygodni, przyczyną śmierci było skrajne wyniszczenie organizmu. Prawdopodobnie jego krwi używano do eksperymentów. Sprawców nie odnaleziono, a sprawę usiłowano zatuszować, co się nie udało ze względu na działania matki Antoniego, nieustrudzenie dążącej do schwytania i ukarania winnych.

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

## „NIE JESTEM MARTWA”

– To pani od telefonu?

– No, a jak myślisz? Skoro odbieram telefon, to chyba jasne, że od telefonu? Nie jestem zainteresowana żadnymi promocjami, ubezpieczeniami ani...

– Nie no, bo zostawiłaś mi ten telefon! Miałem sprawdzić, czy ktoś z nim czegoś nie kombinował. Nie zgłaszałaś się, to pomyślałem, że sam zadzwonię i ci powiem, co i jak.

Rybak. Dopiero w tym momencie Sara powiązała głos, który wydał się odrobinę znajomy, z mężczyzną, który omal nie zabił jej na pasach przed paroma dniami. Jego wizytówka wciąż leżała wetknięta pomiędzy książki, ale czarownica odkładała na razie próbę kontaktu z nim. Wyszukała tylko informacje na temat owego Rybaka, naprawdę nazywającego się Marcin Rybicki – był informatykiem i, co zaskakujące, nigdzie nie zarejestrowano jego nadnaturalnych zdolności. Nienotowany, przykładny obywatel.

– A tak – mruknęła, zatrzymując samochód na czerwonym świetle. Nie lubiła przemieszczać się po mieście autem, najchętniej chodziła na piechotę bądź korzystała z linii tramwajowych, autobusowych i otworzonego za panowania Juliana metra. Teraz jednak własny środek transportu był bezpieczniejszy, w dodatku osoba, do której się wybierała, mieszkała na samych obrzeżach stolicy. A Sarze ostatnio wciąż brakowało czasu, doba zdawała się zbyt krótka. – W takim razie... Zaraz. Skąd znasz ten numer? – spytała ostro, obserwując światła. Komórka była nowa, zaledwie wczoraj dostała ją w prezencie od Juliana, który przy okazji wyraził nadzieję, że tą nie będzie próbowała rzucać ani robić z nią żadnych podejrzanych rzeczy (poczuła się dogłębnie urażona taką sugestią). Numeru nie znał absolutnie nikt poza Julianem.

– Nie znam – przyznał uczciwie Rybak. – Kiedy chcę się do kogoś dodzwonić, po prostu biorę komórkę, wciskam zieloną słuchawkę i telefon dzwoni, gdzie trzeba.

– Możesz tak z każdym? – zainteresowała się. Dodała gazu, skręcając na skrzyżowaniu. Ulice o tej porze były dość ruchliwe, a rozmawiając w trakcie jazdy czarownica łamała przepisy, tym razem takie, które nawet jej zdaniem miały sporo sensu. Zawsze jednak sądziła, że reguły i zakazy to coś, co dotyczy innych. – Z... powiedzmy, sławnym aktorem? Z królem?

– Do króla nigdy nie próbowałem dzwonić.

– A do aktorów? – dociekała, szczerze zaintrygowana.

– Do modelek – mruknął Rybak, jakby trochę zawstydzony. – Gdy byłem młodszy, teraz jestem dorosły, dojrzały i tak dalej. A tak naprawdę, to nie chcę, żeby znów groziły mi policją. Chcesz wiedzieć, co z twoim telefonem, czy nie?

– Dawaj.

Przycisnęła telefon do ucha i ściszyła radio. Wyjeżdżała już ze starszej części miasta. Teraz za oknami migwały wzniesione w ciągu ostatnich kilkunastu lat bloki, siedziby firm i supermarkety, a ulice wreszcie były wygodne, dwupasmowe. Gdy wznoszono Kraków, nikomu się nie śniło, że kiedyś jego uliczki będą przemierzać dziesiątki tysięcy aut.

– Jak dla mnie, nie ma w nim niczego podejrzanego. Żadnych połączeń oprócz tego sprzed paru dni do jakiegoś Julka...

– To akurat nic ważnego. Czyli co, twierdzisz, że nikt przy tym nie grzebał? – spytała. Ktoś przecież dzwonił do niej tamtego wieczora, a wyłączony telefon z wyjętą kartą nie powinien sam z siebie przyjmować kolejnych połączeń.

– Nie widzę tu żadnej magii, oprócz twojej – wyjaśnił Rybak. – Jest nią wręcz przesiąknięty, ale to nie takie dziwne, jeśli chodzi o telefony i laptopy czarodziej... tfu, czarownicy, zapomniałem. W każdym razie może po prostu przez to zaczął wyczyniać jakieś cuda. Wiesz, twoja magia na niego wpływa. Ale nikt inny to tu nic nie kombinował...

– Zajebicie – podsumowała ponurym tonem, chociaż tak naprawdę poczuła się odrobinę lepiej. Jeśli faktycznie telefon zaczął szaleć od nadmiaru magii, nie bardzo miała czym się przejmować. – Prześlij mi numer konta, to przeleję ci wynagrodzenie.

– Daj spokój, mało cię nie zabiłem, nie? A trochę siniaków to mieć musiałaś, chociaż tyle mogę zrobić... Nie chcesz odebrać tego telefonu?

Żeby znowu wydzwaniali do niej z ofertami na taryfy rozmów z zaświatami? Co to, to nie.

– Skombinowałam przecież nowy. Możesz go sobie wziąć na części albo wyrzucić – pozwoliła niedbale. Rachunek i tak już został zablokowany, a utrata aparatu nie była czymś, co mogło poruszać Pierwszą Czarownicę Polanii. – Rybak? Jak w ogóle działa ta twoja magia?

Starła się, żeby zabrzmiało to lekko, starannie skrywając pewną podejrzliwość. Talenty magów bywały różnorodne, ale nigdy nie słyszała o kimś, kto może dodzwonić się do dowolnej osoby na świecie. Nie podobało się jej, że w dowolnym momencie może zostać przez niego wysłędzona.

– Bo ja wiem? Nie znam się na magii – odparł Rybak. – Zresztą, ja to nawet nie wiedziałem, że to jakaś magia, okej? Miałem talent do komputerów, wszystko zawsze potrafiłem naprawić. Jak już byłem w liceum, zaczęło się dziać więcej, ale przywykłem.

Sara skręciła w osiedlową uliczkę, wjeżdżając pomiędzy bloki. Magowie jako jedyni rzadko uczęszczali do magicznych szkół – często radzili sobie z talentami sami, chyba że te były wyjątkowo potężne. To jednak zdarzało się rzadko. Zawsze postrzegano ich zresztą jako gorszych: ich zdolności pozostawały zbyt ograniczone.

– Więcej? Zacząłeś razić ludzi prądem?

– Nie, skąd. Ciężko to wyjaśnić. To jak z tym dzwonieniem. Komputery robią, czego od nich chcę. Poza tym to wszystko... Wiesz, w tym są emocje. Jak człowiek pisze maila, to może i tylko literki na ekranie, ale się denerwuje, jest smutny albo się cieszy. To wszystko jakoś zostaje. Nawet głupia pralka, wrzucasz do niej ulubioną bluzkę albo sukienkę, w której byłaś na urodzinach siostry...

– Chyba rozumiem – zgodziła się ostrożnie. Wyczuwała aurę miasta, mieszanek wspomnień i emocji wpisanych w mury, związanych z konkretnym miejscem. Wszystko pozostawiało jakiś ślad. Nie wpadłaby tylko na to, by szukać go w pralkach albo komputerach. – To nie do końca wygląda na zdolności maga...

Raczej na dziki talent, pokrewny magii czarownic. Ale czarownicy zdarzali się rzadko, zwykle takimi zdolnościami władały kobiety... i ich moce nie wiązały się z komputerami. Czy był słabym, dziwnym czarownikiem, czy bardzo silnym, dziwnym magiem? Komputery robią to, co zechce. Jak daleko sięgały jego zdolności? Czy mógł włamać się na każde konto, wejść do każdej bazy danych? Jak bardzo niebezpieczny był ten człowiek?

– Świat się zmienia, to może i magia się zmienia...



– Tego nie musisz mi mówić – parsknęła, rozglądając się za miejscem do zaparkowania. Kolejny powód, dla którego nie lubiła poruszać się po mieście samochodem. Nigdy nie było gdzie się zatrzymać. – To chyba całkiem niezłe wyjaśnienie. Dzięki za sprawdzenie telefonu.

Przerwała połączenie i rzuciła komórkę na miejsce pasażera. Świat się zmienia, magia się zmienia. Po części przekształca się wraz ze światem w naturalnym procesie. Po części dlatego, że wiele zapomniano, że ludzie usiłovali ją uporządkować i nagiąć do swoich potrzeb, że niektóre rzeczy zostały odrzucone. Niewielu mogło zrozumieć to tak dobrze, jak Sara.

Skręciła, ostrożnie wpasowując auto w wąskie miejsce parkingowe. Jakimś cudem ktoś obok zdołał zająć jednym bmw prawie trzy miejsca. Radio, wcześniej ściszone, teraz samo zaczęło grać głośniej. Sara dopiero po chwili zwróciła uwagę na to, co mówi spiker.

– ...śmierć Sary Sokolskiej, Pierwszej Czarownicy Polanii, wstrząsnęła całą magiczną społecznością.

Sara zamarła z palcami zaciśniętymi na kluczykach, które miała właśnie przekręcić w stacyjce.

– Ciało znaleziono w Parku Łukomskiego – relacjonował dalej spiker. – Przyczyn śmierci na razie nie ustalono. Uroczystości pogrzebowe odbędą się w ten piątek na Wawelu. W katedrze...

Czarownica syknęła ze złością, usiłując wyłączyć radio. Ktoś miał wyjątkowo marne poczucie humoru. Sara oczyma wyobraźni już widziała te wszystkie doniesienia w sieci i nagłówki jutrzejszych gazet. Oraz własne oświadczenie, które będzie musiała wydać... ograniczające się zapewne do słów: „nie jestem martwa”.

– Nie wiadomo jeszcze, kto obejmie stanowisko po śmierci Sokolskiej. Spekuluje się, że najbardziej prawdopodobną kandydatką jest Lidia Skibińska, zwana przez niektórych Białą Czarodziejką. – Radio za nic nie chciało się wyłączyć, nie reagowało też na przełączanie kanałów i próbę wyciszenia. Zirytowana Sara w końcu po prostu zgarnęła telefon i wysiadła z auta, z rozmachem zatrzaskując za sobą drzwi.

\*\*\*

Rafał Pietrzak był kolejnym z listy studentów, którzy wzięli udział w Paradzie. Niegdyś bliski przyjaciel Tomka, od paru miesięcy jednak miał z nim słaby kontakt – więc wprawdzie był brany pod lupę przez policję i wykładowców, ale

nie najbardziej podejrzany. Sara sprawdzała studentów jednego po drugim: najpierw gromadziła informacje, a potem szukała w mieszkaniach śladów podejrzanej działalności... zazwyczaj włamując się do nich pod nieobecność właścicieli. Rafał, niestety, miał dość liczną rodzinę i dyskretne działania nie wchodziły w grę. Dwupoziomowy apartament zamieszkiwało dziesięć osób, więc zawsze ktoś kręcił się po mieszkaniu, a pozostanie niezauważonym wymagałoby przygotowań i daleko posuniętej ostrożności. W dodatku zarówno ojciec, jak i młodsze rodzeństwo Rafała władali magią – swego rodzaju ewenement, ponieważ z powodów, których medycyna nie mogła ustalić od lat, magiczni mieli pewne problemy z płodnością i rzadko miewali liczne potomstwo. W każdym razie mieszkanie było zabezpieczone wieloma osłonami, ustawionymi przez kilka osób. W Krakowie Sara w teorii mogłaby je przełamać, gdyby naprawdę się uparła, ale gra pozostawała niewarta świeczki.

Zwłaszcza że Rafał, poproszony o spotkanie z Pierwszą Czarownicą, po prostu grzecznie wyszedł przed blok. Wiedziała, że Krystian szybko dowie się o spotkaniu – Pietrzak senior należał do Łoży – ale przecież miała prowadzić śledztwo. Jednocześnie fakt, że ojciec Rafała, obecnie przebywający poza domem (to akurat dokładnie sprawdziła), jest czarodziejem, gwarantował też, że nikt z uniwersytetu nie kręci się w pobliżu. Po co mieliby obserwować chłopaka, skoro robił to jego ojciec?

– Przepraszam, tam w domu to teraz straszny chaos, bo te święta były, i ciotka i jej dzieciaki jeszcze nie wyjechali – wymruczał niewyraźnie, chowając dłonie w kieszeniach. Miał problemy z wymową, był niski, mało imponujący i nie wyglądał na czarodzieja. Z drugiej strony, Sara nie wyglądała na czarownicę. – Pani pewnie chce pytać o Michała i Tomka. Chociaż ja to wszystko powiedziałem, jak mnie pani profesor wypytywała...

– Właściwie to chciałam zapytać o czerwiec i Floriańską.

Chłopak odruchowo się zgarbił, spuścił wzrok. Tamto zamieszanie, szczeniacki wybryk, stanowiło dla niego dość paskudną plamę w życiorysie. Nie został usunięty z uniwersytetu tylko dlatego, że jego ojciec był znanym czarodziejem. Od tamtej pory Rafał nieustannie pozostawał na cenzurowanym: i na uczelni, i w domu.

– Panu Klonkowi przecież powiedziałem...

– Wszystko? – podchwyciła Sara. Początkowo zakładała, że wykładowca sam znalazł się, w jakiś sposób niezauważony, w tłumie na Rynku. Mógł jednak być powiązany z tym wydarzeniem w inny sposób. W końcu rektor mówiła, że pomagał karać nieposłusznych studentów... – Na miejscu był z wami Tomek, ale zdołał uciec na czas, a żadna kamera nie wylapała jego twarzy.

Mina Rafała dobitnie świadczyła o tym, że trafiła w dziesiątkę. Przez chwilę student wyglądał tak, jakby miał ochotę uciec.

– Spokojnie, nikt nie będzie was karać – zapewniła. Prawdopodobnie pan Klonek byłby bardzo zły, gdyby pojął, że zatajono przed nim jakieś nazwiska, ale on – podobnie jak Tomek – nie żył. Lojalność pozostawała czymś, co do pewnego stopnia dało się zrozumieć, a przede wszystkim chciała uspokoić chłopaka, że nie poniesie kary za nic, co jej powie. – Ale muszę wiedzieć wszystko, jasne? Kto jeszcze tam był, a czyjego nazwiska nikt nie poznał? Czy było cokolwiek, o czym nie powiedzieliście profesorom?

– Ja nie... – urwał, zapatrzony we własne buty.

– Nie powtórzę twojemu ojcu ani nauczycielom. Ale jeśli nie będziesz grzecznie współpracować, porozmawiam sobie z nimi, jasne? Wiem o tej przeklętej Paradzie więcej niż ci się wydaje. Wiem, kto za nią stał. Dostałam już dwa nazwiska od twoich kolegów, tak samo jak potwierdzenie, że Tomek tam był. I że szedł z Michałem i tobą – mówiła powoli, siłąc się na spokojny ton. Miała ochotę po prostu zmusić Rafała do wyznania prawdy, złamać jego wolę i wydusić z niego wszystko, co wie, ale nie uszłoby jej to na sucho. Nie w tym przypadku.

– Jedna z tych osób twierdzi, że parę nocy temu ją śledzono. Oboje wiemy, że możesz być następną ofiarą, co?

– Ojciec nie pozwala mi wychodzić z domu – wymruczał niechętnie Rafał.

– A ja słucham, bo nie jestem głupi, okej? Nie chcę umierać.

– Świetnie, ja też nie – zapewniła, pozornie wciąż opanowana. Nie umiała prowadzić przesłuchań; nie wtedy, gdy nie mogła przesłuchiwanego zastraszyć, skrzywdzić, zmusić do udzielenia odpowiedzi. Brakowało jej cierpliwości i wiedziała o tym. Z drugiej strony, Rafał nie wydawał się kimś o mocnym charakterze. – Nocny król. Mówi ci to coś?

– Słyszałem... bajki – stwierdził chłopak. Chyba nawet szczerze. – Tomasz... W porządku, wspomniał o nim. Mówił, że w Krakowie są obecne różne moce. Nie sądziłem, że on tak na poważnie, to była gadka po pijaku.

Zaciągnął nas wtedy na Rynek, a jak tam już byliśmy... Po prostu nie myślałem racjonalnie, ledwo pamiętam, co tam się działo. Później i ja wolałem trzymać się z daleka od niego, i on od nas. Popsulibyśmy mu jego idealną opinię...

W ostatnich słowach Rafała pobrzmiwała gorycz. Jej źródła łatwo było się domyślić: jeśli to naprawdę Tomasz zabrał ich pomiędzy magiczne stworzenia, gdzie utracili zmysły, za co później zostali ukarani, podczas gdy jego ominęły konsekwencje... irytacja stawała się jak najbardziej zrozumiała.

– Dlaczego po prostu nie powiedzieliście, że to on was tam zabrał? – Sarze wydawało się to niepojęte. Na miejscu Rafała i Michała, po prostu by się wściekła i postarała, aby Lemiatowski ucierpiał, nawet gdyby sama miała na tym stracić. Ewentualnie mściłaby się osobiście. Takie odpuszczenie było dla niej nie do pomyślenia. Nigdy nie puściłaby tego płazem.

– Szczerze? On zawsze był silniejszy ode mnie, a wtedy zachowywał się... dziwnie. Olce to nawet groził. Wolałem mu nie podpadać i trzymać się z daleka.

Modelowy czarodziej, co? – pomyślała Sara. – Maskował się isticie doskonale, skoro nauczyciele niczego nie zauważyli, podobnie jak współlokator.

– Co to za Olka? Jedna Aleksandra jest na ostatnim roku...

– Nie, nie, Olka Kostrzewa, ona wyleciała. Miała małe zdolności, a na Paradzie zgarnęła ją policja. Spotkałem ją potem raz, prosiła mnie o pomoc, ale...

Wzruszył ramionami. To z kolei Sara rozumiała doskonale. Każdy martwił się o siebie. Za to wspomnienie o Olce sprawiło, że w głowie czarownicy zabrzmiały dzwonki alarmowe. Zgarnęła ją policja, nie było jej na liście studentów, wyleciała z uczelni. Tomasz jej groził, zapewne dlatego, że wiedziała, że tam był. Nikłe zdolności stanowiły pewną przeszkodę, bo do przywoływania tylu duchów potrzeba by ogromnej mocy, ale w grę wchodziło też poszukiwanie pomocy w różnych... podejrzanych źródłach.

Nigdy nie puściłaby tego płazem...

Może Olka też nie miała takiego zamiaru?

W teorii wszyscy, którzy zostali wtedy złapani, byli obserwowani. Ktoś na pewno sprawdzał Aleksandrę Kostrzewę. Czarownica nawet nie kojarzyła jej nazwiska, a więc nie uznano dziewczyny ani za potencjalną ofiarę, ani za możliwego sprawcę. Na podstawie wskazań uniwersytetu i własnych badań Sara przygotowała listę kilkunastu osób do sprawdzenia w pierwszej kolejności.

Pietrzak się na niej znalazł, Kostrzewa nie. Mimo to czarownica zaczęła sądzić, że być może trafiła w dziesiątkę. I o ile nie miałyby dziewczynie specjalnie za złe zemsty na Tomku, o tyle nie planowała darować postrzelenia swojej skromnej osoby.

– Ją na Rynek też zabrał Tomek?

– Nie jestem pewien – przyznał Rafał po chwili zastanowienia. – Z nami jej wtedy nie było, ale to możliwe. Byli dość blisko, przynajmniej przez jakiś czas. Wiedziała, że tam był. Ja serio nie miałem zamiaru zrobić wtedy nic złego. Po prostu... jakoś mnie zaćmiło.

Z trudem powstrzymała pogardliwy grymas. Wierzyła chłopakowi, ale skoro poddał się tak łatwo tamtemu szaleństwu, miał wyjątkowo słabą wolę. Z drugiej strony, był młody. Nie zdobył jeszcze w pełni kontroli nad swoimi zdolnościami.

– To w tej chwili nie ma już znaczenia – stwierdziła. Czy poszedł z nimi, bo został opętany, czy chciał zaimponować kolegom, czy też coś ciągnęło go do zniszczenia, do mocy... teraz nie było to już ważne. – Czy wiesz o kimś jeszcze, kto tam był, a nikt go nie złapał?

– Jeśli nakabluje, nie będzie miał życia na uniwerku.

– Nie uczę na waszym uniwersytecie – zirytowała się Sara. – Nie będę chodzić z transparentem, że ten i ten to skończony kretyn, a Pietrzak na niego doniósł. Może to właśnie ta osoba się czai, żeby cię zamordować albo ktoś czai się na nią! I jeśli ktoś jeszcze zginie, to będzie twoja cholerna wina!

Wahał się jeszcze przez chwilę, spoglądając na czarownicę z jawną niechęcią. Raczej trudno było go za to winić. W końcu wzruszył ramionami.

– Mało pamiętam. Chyba była tam taka ruda z drugiego roku, wołają na nią Miśka, ale imienia nie znam. Widziałem też jeszcze jednego, spotkałem go na imprezie, chyba mu było Kacper, tyle że on ma bardzo małe zdolności... Nikt nie chciał go uczyć. Znał tylko drobne sztuczki.

O rudej prawdopodobnie słyszała. Przynajmniej tak sądziła – inna osoba, z którą rozmawiała, wspomniała o Michalinie. Studentów magii praktycznej nigdy nie było wielu. Kacper stanowił ciekawszy trop. Przebywanie pośród osób obdarzonych mocą, samemu posiadając jej zaledwie odrobinę, musiało boleć. Jeśli ktoś zupełnie nie przejawiał talentu, żył po prostu jak zwykły człowiek. Niektórzy mający taką namiastkę magii po prostu się z tym godzili, inni uparcie usiłowali rozwinąć mizerne zdolności.

Tyle że ci, których utkała magia, rzadko byli zainteresowani współpracą z marnymi czarodziejami. Wykorzystać, oszukać – może, ale dać im cokolwiek więcej?

– W porządku. Uważaj lepiej i faktycznie nie wychodź z domu. Było już pięć ataków.

Rafał jakby trochę pobladł.

– Pięć? Myślałem, że trzy osoby zginęły...

– Trzy z uniwersytetu – odparła tylko, po czym odwróciła się i skierowała ku parkingowi. Nie spoglądała za siebie, niemal natychmiast zapominając o Rafale. Teraz interesowało ją tylko szybkie skontaktowanie się z tymi paroma osobami, które mogły zdobyć dla niej adres Aleksandry Kostrzewy. Wyciągnęła telefon z kieszeni, ledwo oddaliła się parę kroków od Pietrzaka, po czym wybrała numer z książki adresowej. To, że nie podawała swojego numeru niemal nikomu, nie znaczyło, że sama nie miała bogatej listy kontaktów.

W samochodzie wciąż grało radio.

– ...Sara Sokolska, Pierwsza Czarownica Polanii, została znaleziona martwa rankiem dwudziestego siódmego grudnia – relacjonował spiker. Sara, która właśnie zakończyła połączenie, aż zagapiła się na radio, po czym opuściła wzrok na wyświetlacz telefonu.

Była siedemnasta trzydzieści jeden dwudziestego szóstego grudnia. To nie mogła więc być głupia pomyłka ani jakiś dowcipniś, który zamieścił w Internecie informację, później bezmyślnie skopiowaną przez radio.

– To przecież nie Prima Aprilis, kurde – syknęła, znów podejmując próbę wyłączenia radia.

– Duchy, w ostatnim czasie coraz częściej wzbudzające panikę w mieszkańcach Krakowa, ściągnęły gromadnie w miejsce jej śmierci – mówił dalej mężczyzna. Radio nie chciało się wyłączyć. Wściekła czarownica wyskoczyła z auta, zatrzaszczając za sobą drzwi.

Roman ma zamiar udowodnić, że dotknęło cię szaleństwo Księżycowego Zwierciadła.

Sara zamarła z ręką na klamce. Czy ten komunikat mógł być jego robotą? Chodziły pogłoski, że przewodniczący Loży tracił swoje moce, ale nawet jeśli tkwiło w tym trochę prawdy, i tak miał olbrzymie możliwości. Wpływy, pieniądze, znajomości. Z łatwością nakłoniłby kogoś z zamku, aby pomajstrował przy jej

radiu. Nie znała się na urządzeniach tego typu, zakładała jednak, że przekierowanie sygnału tak, by odbierało niewłaściwe komunikaty, było możliwe.

To wyjaśnienie podobało się Sarze znacznie bardziej niż możliwość rzeczywistego obłądu. Tak czy inaczej uznała, że woli pojechać tramwajem.

Naciągnęła na głowę kaptur i ruszyła w dół ulicy. Na wszelki wypadek tkąła wokół siebie osłonę, choć nie wyczuwała żadnego niebezpieczeństwa. Ostatnio jednak, ilekroć poruszała się po mieście po zmroku, dręczył ją niepokój. Nawet teraz, gdy pora była jeszcze dość wczesna, a ulice zaludnione. Nie miała przy sobie ani miesięcznego, ani drobnych, ale automat kopnięty na najbliższym przystanku grzecznie wypluł dwa bilety. Miasto pomagało swojej czarownicy na dziesiątki drobnych sposobów i ta myśl dodawała jej otuchy. Nie wiedziała, co zastanie na miejscu, ale tak naprawdę nie była pozostawiona sama sobie.

Nim po kilku minutach nadjechał tramwaj, Sara знаła adres Aleksandry.

Prawdopodobnie rozsądnie byłoby poczekać. Przygotować się, wy badać sprawę, skontaktować z osobami, które wcześniej zapewne sprawdzały dziewczynę. Niestety, cierpliwość czarownicy uległa wyczerpaniu, poza tym Sara zakładała, że jeśli Olka trzymała w pokoju własnego demona, to ona zdoła go wyczuć, zanim wpakuje się prosto w jego paszczę. Chciała wreszcie zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Pozbyć się duchów z ulic, położyć kres dziwnym, radiowym komunikatom i, przede wszystkim, zaprzestać oglądania za siebie, ilekroć wychodziła na miasto. Noc, gdy wykrwawiała się na śniegu, pozostawała żywa w pamięci Sokolskiej i czarownica wiedziała jedno – ktoś jej za to zapłaci.

Była studentka wynajmowała pokój niemal po drugiej stronie miasta, w okolicach Krowodrzy. W bloku w starym budownictwie, co pozwalało mniemać, że z jej finansami niekoniecznie było najlepiej. Sara nie zarzuciła ostrożności całkowicie. Najpierw obeszła cały blok, później przez chwilę stała na klatce, by wreszcie zatrzymać się przy drzwiach mieszkania. Nie czuła ani obecności mrocznej magii, ani w ogóle żadnych specjalnych zaklęć. Ze trzy mieszkania w całym bloku chroniły podstawowe alarmy magiczne, nic więcej. Czarownica tkwiła jakiś czas z uchem przyciśniętym do drzwi, starając się usłyszeć cokolwiek po drugiej stronie. Później z powrotem zeszła na dół i, mając wielką nadzieję, że nikt jej nie zobaczy, pofrunęła w górę, by zajrzeć do mieszkania przez okna. Tonęły w ciemnościach, co sugerowało, że lokatorzy wyjechali na Święta.

Trochę ją to rozczarowało. Mogła wprawdzie spokojnie sprawdzić pokój dziewczyny, ale wolałaby po prostu osobiście dorwać Olkę.

Oparła dłoń mniej więcej tam, gdzie po drugiej stronie okna znajdowała się klamka. Ramy były drewniane, stare, pewnie przepuszczały mnóstwo powietrza i mogłaby po prostu sprawić, by gwałtowny podmuch je otworzył – ale dla Pierwszych nie było mowy o zamkniętych wejściach. Nie w tym mieście. Okno po kilku sekundach się otworzyło, a czarownica weszła ostrożnie na parapet. W pomieszczeniu unosił się zapach charakterystyczny dla miejsc, w których od dawna nikogo nie było. W niewielkim pokoju stały tylko łóżko, odrapane biurko, krzesło i szafa. Ścian nie odmalowywano od przynajmniej paru lat. Na blacie pozostała lampka i niedokończony rysunek, poza tym jednak pokój był opustoszały. Zniknęły ubrania z szafy, szuflady biurka były puste. Albo Aleksandra wyjeżdżając na święta zabrała ze sobą praktycznie wszystko, co posiadała, albo ostatnio przenosiła się... i to w sporym pośpiechu. Łazienka wyglądała, jakby przeszedł przez nią huragan, a w lodówce w kuchni pleśniał ser i pomidory.

W drugim pokoju, większym i lepiej urządzonej, zostało więcej rzeczy, choć Sara po rozejrzeniu się stwierdziła, że prawdopodobnie ktoś tutaj grzebał, również w pośpiechu, zgarniając trochę ubrań i wywalając zawartość jednej z szuflad.

Zdaniem czarownicy Olka uciekła i bardzo nie chciała, żeby ktokolwiek ją znalazł. Rzeczy osobiste rzadko wystarczały, aby kogoś namierzyć, ale mogły to ułatwić, zwłaszcza jeśli posiadało się pewne informacje – tak czarownica odszukała ciało Tomka. Tymczasem wyglądało na to, że znikło wszystko, co należało do Kostrzewy, w dodatku albo jej współlokatorka była straszną bałaganiarą, albo Aleksandra podkrađła jej parę rzeczy. Sara starannie przeszukała mieszkanie, nim w końcu znalazła pojedynczą rękawiczkę wciśniętą za łóżko. Nic nie wskazywało też, aby używano tu magii, nawet drobnych zaklęć. Nieważne, jak bardzo się skupiała, nie wyczuwała zupełnie niczego. Nie szkodzi – powtarzała sobie, starając się stłumić złość. To było jej miasto i jeśli Olka w nim pozostała, znajdzie ją.

Sara wyszła z mieszkania już drzwiami, dobrą godzinę po tym, jak dotarła na miejsce. Gdy wsiadała do tramwaju, minęła dwudziesta. Objęła barierkę i przez parę minut wpatrywała się bezmyślnie w mijane budynki. Miejsca w pobliżu niej pustoszały, ludzie wysiadali na kolejnych przystankach. Jazda tramwajem zawsze



działała na nią trochę usypiająco: ludzie zwykle zapadali w nich w letarg, czytali książki bądź wpatrywali się w ekrany smartfonów – miały więc dla niej specyficzną aurę, sprzyjającą swego rodzaju wyłączeniu. Stała, podpierając głowę o barierkę, nie do końca świadoma upływu czasu, gdy światła zaczęły mrugać, a ekrany wyłączyły się. Ocknęła się z zamyślenia i rozejrzała. Tramwaj opustoszał. To zdarzało się czasem tuż przed końcowym przystankiem, ale teraz zostało ich przynajmniej jeszcze parę. Początkowo Sara sądziła, że to wokół niej zrobiło się pusto, w całym tramwaju jednak nie pozostał ani jeden pasażer. Światła zamrugały jeszcze raz, po czym wewnątrz pograżyło się w ciemności. I to zdecydowanie nie z powodu wizyty Wiele Pieśni.

– To chyba dziwne.

Odwróciła się gwałtownie, odruchowo szykując się do ataku. Na jednym z siedzeń za jej plecami, przed chwilą pustym, teraz siedział duch. Nie widziała go od dnia, gdy uciekła przed wilkiem – a może tylko śniła, że przed nim ucieka? – i już liczyła, że nie pojawi się więcej.

– Co jest dziwne? – spytała ostro.

– Ten tramwaj. Powinien być taki ciemny i pusty?

– Nie – odparła krótko, ruszając na przód pojazdu. Tętno przyspieszało, poziom adrenaliny wzrastał, bo uświadomiła sobie, że właśnie minęli przystanek, nie zatrzymując się. Jak na złość, wszystkie światła były zielone, a pojazd zdawał się poruszać coraz szybciej i szybciej. Sara, przytrzymując się siedzeń, dotarła wreszcie do stanowiska motorniczego, zajrzała do środka przez szybę i zaklęła szpetnie.

Motorniczego nie było.

# ROZDZIAŁ ÓSMY

## CZARNE JAK HEBAN

Chłopiec coś do niej mówił, jednak Sara nie zwracała na niego uwagi. Dopadła drzwi, ale gdy chciała położyć na nich rękę, ze złączenia zaczęła wyciekać ciemna substancja. Gwałtownie cofnęła dłoń, odruchowo robiąc krok do tyłu. Pojazd skręcił z prędkością, z jaką z pewnością żaden tramwaj skręcać nie powinien i Sokolska poleciała w bok, uderzając o siedzenie. Czerń spływała po drzwiach, skapywała na podłogę i zanim czarownica zdołała wstać, niemal sięgnęła jej butów.

Czymkolwiek była ta substancja, Sara naprawdę wołała jej nie dotykać.

– Co teraz? – spytał chłopiec. Wciąż siedział na swoim miejscu. Przypatrywał się z ciekawością czerni oblepiającej drzwi. Czarownica nie była pewna, ale zdawało się jej, że tramwaj przyspiesza, mknie z nienaturalną szybkością, nie zatrzymując się na żadnych światłach.

– Teraz stąd zmiatam! – Wyciągnęła dłoń w stronę okna, przekuwając gniew i narastający niepokój w moc. Magia uderzyła, rozsadzając szybę. Odłamki posypały się na zewnątrz, a Sara weszła na siedzenie i skoczyła. Zawirowała w powietrzu, starając się utrzymać w górze. Upadek z pędzącego tramwaju mógłby się zakończyć równie źle, jak pozostanie w nim.

– Przestaję lubić miejską komunikację... – wymruczała, opadając po chwili na ziemię. Serce szaleńczo tłukło się jej w piersi, dłonie drżały lekko. Ktokolwiek, cokolwiek za tym stało, dysponowało mocami, które przekraczały pojęcie czarownicy: a znała przecież formy magii, o jakich nie śniło się dzisiejszym czarodziejom. Klęczała na chodniku, patrząc za tramwajem, póki nie znikł jej z oczu pośród wirujących płatków śniegu. Padało dość mocno i widoczność stawała się coraz bardziej ograniczona. Sara dźwignęła się powoli z kolan. Wcale nie czuła się spokojniejsza niż w środku pędzącego pojazdu. Wręcz przeciwnie – poczucie zagrożenia narastało, a w głowie jej szumiało. Najbliższa latarnia zgasła. Co gorsza, wiedziała, że wypadła z tramwaju w pobliżu miejsca, w którym nie chciała się teraz znaleźć: Parku Łukomskiego. Wydobyła spod kurtki sztylet. Czuła, jak

broń pulsuje, emanując mocą dużo silniej niż zwykle. Sara obróciła się gwałtownie i wbiła ostrze w coś nie do końca materialnego, co znalazło się tuż za nią. Pozwoliła, by po sztylcie przepłynęła moc. Czerń, w równej mierze chyba pochodząca z broni, jak tego, co trafiła, wybuchła, odrzucając czarownicę do tyłu.

Jeśli ktoś tutaj nie parał się mroczną magią i nie nawiązał kontaktów z bytem, który winien być zapomniany i uwięziony, to Sokolska była baletnicą z Rusi.

Poderwała się, raczej wściekła niż przerażona. Coś próbowało owinąć się wokół jej kostki. Tupnęła, wkładając w to nie tylko całą siłę, ale też moc i płyta chodnikowa pękła pod jej butem, a noga znów była wolna. Tym razem Sara nie czuła się osłabiona, nadgarstek wyleczono, a na dodatek spodziewała się ataku. Fakt, że ten nastąpił tuż po odwiedzeniu mieszkania Aleksandry, tylko utwierdził ją w przekonaniu, że dziewczyna miała z tym wszystkim coś wspólnego. Świetnie, teraz czarownica musiała tylko przeżyć, żeby móc dorwać Kostrzewę.

Odwrociła się, z zamiarem pobiegnięcia gdzieś, gdzie jest więcej światła, oddalenia się od Parku. Wpadła wprost na inną osobę, omal nie zwalając jej z nóg. Odruchowo uniosła sztylet, w ostatniej chwili zatrzymując ostrze tuż przed szyją Lidii Skibińskiej, Białej Czarodziejki. Lidka cofnęła się gwałtownie i uniosła dłoń, chcąc wypuścić zaklęcie, najwyraźniej przekonana, że oto Pierwsza Czarownica Polanii do reszty oszalała. Nie zdążyła. Sara skoczyła na nią, tym razem powalając na ośnieżony chodnik. Nie zważała na wściekły okrzyk Lidii. Może ta złościła się, że pobrudzi sobie swój prześliczny, biały płaszczyk?

Moc śmignęła tuż nad nimi, mierzwiąc włosy Sokolskiej. Kolejna latarnia zgasła, pozostawiając je w ciemnościach. Czarownica odepchnęła się dłonią od chodnika, by usiąść. Wiatr zawirował wokół niej i Lidii, ale chwilowo nic się do nich nie zbliżało.

– Wstawaj! – nakazała, brutalnie chwytając Skibińską za ramię.

– Co tu się dzieje?! – w głosie czarodziejki pobrzmiwały nutki paniki. Należała do najbardziej utalentowanych czarodziei w Polanii, lecz rzadko była zmuszona do uczestniczenia w prawdziwej walce. Co zabawne, już drugi raz ta przykra niespodzianka spotkała ją w Krakowie. Ostatnio właśnie tu została zaatakowana na ulicy. Lidia dźwignęła się na nogi, szepcząc inkantację zaklęcia ochronnego. Wokół niej rozprzestrzeniła się półprzezroczysta tarcza. – Znowu ten nocny król?!

– Nie, on nie żyje. Chodź stąd! – Sara próbowała pociągnąć Białą Czarodziejkę za rękę. Wiedziała jedno: powinny oddalić się do Parku Łukomskiego. Skibińska znów jednak krzyknęła, stawiając zacięty opór, a czarownica zrozumiała dlaczego, ledwo spojrzała pod nogi. Z pomiędzy płyt chodnikowych wyciekała czarna substancja. – Kurwa!

Schwyciła czarodziejkę wpół i uniosła je obie w powietrze, skacząc na narożnik parkowego ogrodzenia. Tam, gdzie przed chwilą stały, tworzyła się plama czerni, coraz większa i większa. Na powierzchnię zaczęły wypływać bąble, a potem coś poruszyło się w środku. Lidia, wciąż podtrzymywana przez czarownicę, by nie spadła, wyszeptła zaklęcie i jasny pocisk wystrzelił z jej ręki. Trafił w sam środek ciemnej sadzawki. Rozległ się syk, krople prysnęły na boki, zaś w miejscu gdzie uderzył czar przez chwilę znów było widać chodnik. Spomiędzy płyt jednak zaraz ponownie zaczęła wyciekać czern. Sara wyciągnęła wolną dłoń i lód skuł niewypaloną zaklęciem Lidii część plamy. Na jego śliskiej warstwie zaraz pojawiły się pierwsze pęknięcia.

– Co. To. Jest? – spytała Lidia, tym razem już spokojniej. Jej dłonie tańczyły, gdy tkąła kolejne zaklęcie.

– To, co ściąga nam duchy na głowy – odparła Sara. Istota zaczęła wyłaniać się z sadzawki, ciemny kształt, w który natychmiast uderzyła magia czarodziejki i czarownicy. Podwójnie rażony stwór rozpadł się na kawałki. Błękitne oczy Lidii rozszerzyły się, gdy czarne kawałki popęzły po chodniku, wszystkie w jedną stronę, najwyraźniej chcąc się znów połączyć. Sara ponownie zamroziła chodnik, Skibińska zaś gwałtownie uniosła ręce i wykrzyczała zaklęcie: o utworzoną przed nimi białą tarczę coś się rozbiło, ale nie zdążyła zobaczyć, co dokładnie. Tarcza wygięła się bowiem i obie kobiety poleciały w tył, prosto na teren Parku Łukomskiego.

Czarownica opadła dość zgrabnie, raczej zeskakując niż spadając. Lidia, mało sprawna fizycznie, miała mniej szczęścia i uderzyła o ziemię bokiem, boleśnie objając sobie bark. Zamroczył ją na moment ból i coś jeszcze – wyczuwała wokół magię, która sprawiała, że czarodziejka słabła, kręciło się jej w głowie i robiło niedobrze. Najchętniej zwinęłaby się po prostu w kłębek na ziemi, Sara jednak na to nie pozwoliła.

– Wstawaj! – krzyknęła już po raz drugi tego dnia, usiłując postawić Skibińską na nogi. Przeszło jej przez głowę, że właściwie mogłaby po prostu

zostawić Lidkę, ale nie wiedziała, co na nią jeszcze tu czeka, a jak się przed chwilą okazało, razem miały większe szanse. Ona także wyczuwała magię i rozpoznawała ją. Sokolskiej nie dotyczyły zawroty głowy, nie dręczyły jej mdłości, ale obca obecność ją przerażała, bo czarownica wiedziała, że jest znajoma. Niepokojąco podobna do mocy, które zabrały Klausa, przyzwanych magią życzeń, śmiercią, próbą uwięzienia duszy. Nie. Sara nie pozwoliła, by sięgnęły po nią wtedy i nie chciała pozwolić na to teraz.

Pociągnęła Lidię za rękę parkową alejką, uciekając przed czymś, co z całą pewnością właśnie tworzyło się z ciemnej substancji. Palce drugiej dłoni kurczowo zaciskała na sztylcie. Skibińska potykała się, rozglądając z rosnącym przerażeniem. Ledwo widziała cokolwiek w ciemnościach i nie wiedziała, jak Sara znajduje drogę, ale mogłaby przysiąc, że mrok gęstnieje ze wszystkich stron.

– To na nic, potrzebujemy światła – syknęła czarownica, zatrzymując się. W przeciwieństwie do Lidii dostrzegła, że parkowe drzewa krwawią czernią. – Jesteś czarodziejką, czaruj.

Przez moment Skibińska patrzyła na nią z niezrozumieniem. Nie bardzo wiedziała, jak światło by mogło pomóc w tym momencie, nie miała jednak żadnych innych pomysłów. Zaczęła więc szeptać zaklęcie i po chwili w jej dłoniach rozbłysła kula światła. Czary tego typu nigdy nie wymagały od Lidii wysiłku, ale teraz miała wrażenie, że podtrzymywanie zaklęcia jest niezwykle męczące. Światło powinno oświetlać cały placyk, na którym się zatrzymały, padało jednak tylko na nie dwie – rozczochraną, ciemnowłosą czarownicę w czarnej kurtce i czarodziejkę, której blond loki wymknęły się z misternej fryzury, w jasnym, brudnym teraz płaszczu.

– To się zbliża... – wyszeptała Lidia z pewną paniką, rozglądając się. Światło w jej dłoniach przygasło.

– Nie patrz! Podtrzymuj światło! – Sara wyciągnęła coś z kieszeni. Lidia, która spodziewała się jakiejś broni czy magicznego medalionu, ze zdumieniem odnotowała, że była to zapalniczka.

– Poważnie sądzisz, że to pomoże?!

– Trzymaj czar, cholera! – Czarownica pstryknęła, raz, drugi, trzeci. Linie umieszczone na zapalniczce zaśniły. Drobne, błękitne płomyczki wyskakiwały z niej, zaczynały krążyć wokół kobiet. Choć nie dawały wiele blasku, nacisk w

głowie Lidii jakby lekko osłabł, jednak wciąż pozornie proste zaklęcie wyciągało z niej wszystkie siły i nie sądziła, by mogła utrzymać je długo.

– Łatwo ci mówić, Piekielnico – wysyczała, czując, że z nosa płynie jej krew. Sara wcisnęła zapalniczkę do kieszeni i złapała nadgarstek Skibińskiej. Lidia w pierwszej chwili chciała wyrwać rękę, zamarła jednak, gdy światło rozbłysło z nową siłą. Zrozumiała, że czarownica próbowała wzmocnić zaklęcie. Z początku nie szło im najlepiej. Magia czarodziejek i czarownic niekoniecznie ze sobą współgra, a one w dodatku nie umiały współpracować. Blask momentami przygasał.

Strach i gniew dodawały jednak sił.

Żadna z nich nie wiedziała, jak długo stały w parku naprzeciwko siebie, podsycając światło. Lidia miała wrażenie, że wieki. Dłonie zgrabiała jej z zimna, wciąż miała ochotę wymiotować, krew zaplamiła przód płaszcza, prawie nie czuła nóg. Gdyby nie palce Sary, zaciskające się na nadgarstku tak mocno, że z pewnością zostawiły siniaki, opadłaby pewnie prędzej czy później na ziemię. Nie mogła jednak się poddać: nie, stojąc tuż przed Sarą Piekielnicą. Uparcie więc wlewała energię w kulę światła, a ta wreszcie zaczęła rosnąć i rozświetlać większy obszar.

Sara nie odczuwała chłodu. Z początku – przez jedną chwilę – coś w niej zapragnęło za to wycofać się z kręgu światła, wejść w ciemność. Odrzuciła ten szalony pomysł. Próbowała skupić się na myśli o księżycu, skrytym gdzieś za chmurami, ale przecież wciąż obecnym, sprawić, by jego obraz wypełnił jej umysł, dodając swoją moc do magii Lidii. Myślała o miejskich latarniach, o światłach neonów. Blask narastał, aż w końcu oślepiąca musiała zamknąć oczy. Gdy je otworzyła, wiedziała, że są w parku same. Cokolwiek ją zaatakowało, zrezygnowało. Przynajmniej na razie.

Cofnęła rękę, uwalniając nadgarstek Lidii. Biała Czarodziejka osunęła się na kolana, dwie krople krwi spłynęły jej z nosa na śnieg. Z trudem łapała oddech, najwyraźniej zupełnie wyczerpana. Sara stała nad nią, wodząc spojrzeniem pomiędzy drzewami – ciemność jednak znów była tylko ciemnością, znajomą i nie niosącą niebezpieczeństwa.

– Ubrudziłaś sobie płaszczyk.

– Przestań – syknęła Lidia, zadzierając głowę. W takim stanie wyglądała dość żałośnie, co Sara przyjęła z odrobiną satysfakcji. – Wyjaśnij, co tu się dzieje.

Czarownica sama nie była pewna, ale nie miała ochoty się do tego przyznawać.

– To samo, co do tej pory. Ktoś przywołał bardzo złe moce. Mówiłam, że nie da się ot tak przyzwać tylu duchów. – Wzruszyła ramionami i ukryła dłonie w kieszeniach kurtki. – To coś chciało mnie zjeść, a ty napatoczyłaś się przypadkiem. Co tu w ogóle robisz?

Lidia otworzyła usta, po czym je zamknęła. Wstała powoli, wciąż milcząc przeszła do najbliższej ławki i zgarnęła z niej śnieg. Sara śledziła ją podejrzliwym spojrzeniem.

– Szukałam ciebie – przyznała w końcu Biała Czarodziejka. Westchnęła, opadając na ławkę. – Wiem, że czasem tu przychodzisz. W tej chwili na zamku czeka na ciebie Roman i jego obstawa, a kilka innych osób próbuje znaleźć cię na mieście.

– Mnie? Niby po co? Coś stało się na Wawelu? – spytała powoli Sara, choć już przeczuwała, że odpowiedź nie będzie twierdząca. Tym razem nie chodziło o żaden atak. Wawrzyniec w takim przypadku nie pojawiłby się na zamku.

Roman już działa, chce udowodnić, że ogarnęło cię szaleństwo Lustra Twardowskiego...

Lidia otarła twarz białą rękawiczką. Zyskała tyle, że rozmazała sobie krew na policzku.

– Na przesłuchanie, Piekielnico. Jesteś podejrzana w sprawie ostatnich zabójstw.

– Zajebicie – syknęła. – Postrzeliłam się też sama, co?

– To mógł być wybieg. Pracownicy jednostki specjalnej twierdzili, że sprowadziła ich do ciebie jakaś istota. Roman upiera się, że mogłaś to ukartować.

Sara przypatrywała się jej uważnie. Pozostawała czujna, gotowa zareagować na próbę rzucenia zaklęcia, ale nie wyciągała jeszcze rąk z kieszeni. Skibińska była znacznie bardziej zmęczona od niej i nie miała teraz szans w ewentualnym starciu. Ciemność, chłód, wiatr, to wszystko osłabiało Białą Czarodziejkę, podczas gdy Sara w pewien sposób czerpała z tego siłę.

– Omal nie umarłam, bo chciałam zabić paru studentów? – prychnęła. – Dlaczego mi to mówisz?

– Bo rozdziwić się nie umiesz – warknęła Lidia. – Przecież nas nie ścigałaś. To nie mogłaś być ty, a to coś...

Urwała, pokręciła głową. Sara, nawet jeśli w pierwszej chwili zdziwiona, że Biała Czarodziejka najwidoczniej postanowiła nie skorzystać z okazji do wrobienia rywalki, pojęła, że ta po prostu się boi. Lidia rzadko musiała walczyć. Być może był to dopiero drugi, trzeci raz, gdy jej życie faktycznie znalazło się w niebezpieczeństwie.

– Trzeba to zatrzymać – zakończyła Skibińska. – Uwierzyłam Romanowi, ale skoro to nie ty, nie będę z tobą walczyć. Nie, kiedy to coś może wrócić.

– Znów sobie pochlebiasz, Lidko – stwierdziła Sara, niezbyt dyplomatycznie. Czarodziejka rzuciła jej złe spojrzenie. – Co takiego wymyślił Roman, że Loża zaczęła za mną biegać?

– Ty naprawdę nie wiesz. – Usta Lidii wygięły się w uśmiešku. – Rafał Pietrzak znikł. Za to pojawił się jego duch. Rodzina twierdzi, że wyszedł porozmawiać z tobą, twój samochód dalej stoi tam na parkingu.

Rzadko zdarzało się, że Sarze zabrakło słów. Tym razem jednak po prostu patrzyła na blondynkę w milczeniu. Nie. Tego zdecydowanie się nie spodziewała. Chłód, który poczuła, nie miał niczego wspólnego z ujemną temperaturą. Czy zabójca czaił się tam, gdy rozmawiali? Czy też Rafał zginął, bo za dużo jej powiedział?

Co gorsza, to było właśnie to, czego potrzebował Roman Wawrzyniec, przewodniczący Loży, aby oskarżyć ją o całe zamieszanie. O ile Sara przez chwilę zastanawiała się, czy może być trochę prawdy w rzucanych przez niego twierdzeniach o jej obłądnie, o tyle teraz była pewna, że to bzdury. Lidia przecież widziała ścigające ją istoty.

– Roman przekonuje, że oszalałaś przez Lustro Twardowskiego – kontynuowała Lidia. Wsunęła dłoń do kieszeni. Sara zeszywniała, ale kobieta wyciągnęła tylko chusteczkę i zaczęła wycierać twarz. – Większość mu wierzy, oczywiście. Nie jesteś lubiana, a przez Zwierciadło w przeszłości kilku czarodziei ogarnęło szaleństwo. Zniknięcie Pietrzaka to ostatnia kropla. Jego ojciec dostał szału, domaga się twojej głowy. Jeśli teraz pójdziesz na zamek, zostaniesz uwięziona do wyjaśnienia sprawy, a gwarantuję, że to potrwa bardzo, bardzo długo. Nie powinnaś wracać na Wawel.

– A ty im opowiesz, jak cię zaatakowałam? – parsknęła Sara. Nie ufała Białej Czarodziejce i ta nagła chęć współpracy zdawała się jej podwójnie podejrzana. Błękitne oczy Lidii zwięzły się.



– Za kogo ty mnie masz?! Rok temu omal nie straciliśmy całego miasta. Świetnie, pozbędę się ciebie i zostanę sama z mordercą na głowie, bo Roman każe zaprzestać poszukiwań. W końcu po co, skoro już go uwięził, tak?

Sara zagryzła wargę, spojrzała na niebo. Śnieg powoli przestawał już padać, ale chmury wciąż przysłaaniały księżyc i gwiazdy.

– Lidko, jeśli to jakaś twoja pułapka, wrócę nawet z zaświatów i zmuszę cię, żebyś mi za to zapłaciła.

– Akurat się przestraszę, Piekielnico. Lepiej spróbuj coś z tym wszystkim zrobić.

– Próbuję. Chyba nawet wiem, kto tu jest czarnym charakterem. Tyle że muszę go znaleźć – wymruczała Sara, wciąż przygryzając wargę. To zadanie mogło być trudne, skoro nie mogła wrócić do zamek, jej mieszkanie, którego lokalizację znał Krystian było spalone, a po mieście szukali jej ludzie Loży.

– Kto to? – spytała ostro czarodziejka. Nie wstawiała jeszcze, ale wyglądało na to, że dochodzi do siebie.

– I myślisz, że ci powiem? Żebyś pozbyła się jej po cichu i zwałała winę na mnie? Nie ma mowy. – Nie. Nie miała zamiaru zaufać Lidii. Nie ufała nikomu, ani ludziom, ani dawnym bogom, ani magicznym istotom. Zaufanie stanowiło słabość i wystawiało na cel.

– Ty cholerna, samolubna wiedzmo! – Krzyk Białej Czarodziejki niósł się daleko po parku. Kobieta poderwała się, zaciskając pięści. – A jeśli zginesz?!

– To będziecie mieć cholerny problem! – Wiedziała, że prędzej czy później znajdą Aleksandrę. A nawet jeżeli fakt, że nie poda im tego nazwiska, miał kosztować czyjeś życie, Sara nie była skłonna zaryzykować. Za wiele miała do stracenia, by przedłożyć życie jakiejś bezimiennej osoby nad własny spokój. – Znajdę ją!

– Świetnie – sarknęła Lidia. Wyprostowała się, rozluźniła mięśnie twarzy. Nawet rozczochna i ubrudzona potrafiła przyjąć godną postawę. – Cudownie. Lepiej, żeby ci się udało. Powiem, że zostałam zaatakowana, ale nie przez ciebie. To może da ci trochę czasu. I będę próbowała sama dowiedzieć się, kto za tym stoi. Bo mam dziwne wrażenie, że kolejnej takiej walki możesz nie przeżyć.

– Masz złe wrażenie – warknęła Sara. – Nie pierwszy raz miałam takie kłopoty.

– Obyś się nie przeceniała – odparła Lidia, już spokojna. Umiała lepiej panować nad gniewem niż czarownica, a przynajmniej lepiej go ukrywać. – Postaram się chociaż na jakiś czas ściągnąć osoby, które cię szukają. Jest niebezpiecznie na ulicach i tak dalej. Ale i tak ktoś może cię wypatrzeć. Umiesz zmieniać wygląd?

– Nie bardzo – przyznała niechętnie Sara. Nikt nie był zdolny do opanowania wszystkich dziedzin magii, mimo to zdradzanie Lidii, że czegoś nie potrafi zrobić, nie bardzo jej się podobało. Podtrzymywanie iluzji kosztowało czarownicę całą energię, nie była w stanie używać wtedy innej magii, a samo przygotowanie takiej zasłony pochłaniało zbyt wiele czasu. – Transformacja, iluzja, to nie moja bajka. Dałabym radę, gdybym się uparła, ale nie mogę teraz tak marnować sił.

– Nie ruszaj się.

Lidia oparła dłoń na ramieniu czarownicy, która drgnęła niespokojnie. Miała ochotę odepchnąć czarodziejkę, ale przywołana przez nią magia nie wydawała się niebezpieczna. Nieprzyjemne mrowienie przepłynęło przez ciało Sary. Wciąż czarne, teraz jednak kręcone, włosy opadły Sokolskiej aż do pasa, a kiedy wyciągnęła dłoń z kieszeni, odkryła, że jej skóra jest ciemna. Musiała przyznać, że Lidia wykazała się pewnym sprytem. Nie próbowała niczego skomplikowanego, nie tknęła iluzji zmieniających cały wygląd, nie eksperymentowała z rysami twarzy, ale zmieniła Pierwszą Czarownicę nie do poznania, używając zaledwie odrobiny mocy. Będą szukać krótkowłosej, bladej kobiety, a nie mulatki z długimi lokami.

– Wszystko świetnie, tyle że teraz będę emanować magią jak choinka bożonarodzeniowa światłem.

– Bzdura. Jestem czarodziejką pierwszej klasy – zaprotestowała Lidia. – Czar wyczują tylko silniejsi, a i niektórzy z nich nie będą do końca pewni, czy po prostu nie masz jakiegoś medalionu albo sama nie używałaś dopiero co magii. Utrzyma się kilkanaście godzin, może dobę, nie mam siły na więcej. Masz jakieś pieniądze? Zresztą, po co ja pytam...

Odpięła guzik płaszcza, szukając portfela w wewnętrznej kieszeni. Nawet portfel Lidii był biały. W środku znajdował się całkiem spory plik banknotów – czarodziejka wyciągnęła trzy setki i wyciągnęła je w stronę czarownicy.

– Dam sobie radę bez nich – odparła Sara, krzywiąc się. Już samą pomoc z zaklęciem przyjmowała niechętnie, a myśl o braniu od Lidii pieniędzy wywoływała w niej mdłości.

– Nie wygłupiaj się. Nie wiadomo, ile to potrwa, możesz potrzebować noclegu i jedzenia. To tylko pieniądze.

– Wyrosłaś trochę, Lidko – mruknęła zamyślona czarownica. Lidia faktycznie nie była już tym zasmarkanym podlotkiem, który kiedyś wyzwiał ją na pojedynek i szłochał po przegranej. Podróże, praca na Uniwersytecie Warszawskim, działalność w Loży czegoś ją nauczyły. – Nie potrzebuję twoich pieniędzy, bez obaw. Lepiej wracaj na zamek i pilnuj sytuacji. Adamowi nie ufam.

– Mnie to niby ufasz? – Biała Czarodziejka najwidoczniej nie mogła się zdecydować, czy powinna uznać jej słowa za komplement, czy za obrazę.

– Nie ufam ci inaczej niż jemu. Znikaj stąd, to miejsce nie jest bezpieczne. Nie zdziw się, jak zobaczysz ducha albo dwa.

– Nie daj się zabić – prychnęła jeszcze Lidia.

Rozeszły się w dwie strony, blondynka w bieli i mulatka w ciemnej kurtce, z burzą czarnych loków na głowie. Obie zaczęły biec dopiero wtedy, gdy były już pewne, że ta druga tego nie zobaczy.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

## NA IMIĘ MI SARA

Roman odciął jej możliwość powrotu na zamek oraz dostęp do informacji o Aleksandrze. Przez chwilę Sara rozważała powrót do mieszkania dziewczyny, ale bała się znów skorzystać z tramwaju, a czuła się zbyt zmęczona na przemierzenie piechotą takiej odległości. Dodatkowo atak mógł mieć coś wspólnego z tym, że włamała się do pokoju Kostrzewy, nie mówiąc o tym, że niedawno prosiła o ten adres, więc ktoś go pewnie sprawdzi podczas poszukiwań.

Tomasz groził Olce, Rafał odmówił pomocy. Ujęła ją policja – być może Orłowski. Została wydalona z uczelni, Janusz Klonek zaś pomagał karać studentów. Opuściła dotychczasowe lokum w pośpiechu. W oczach Sary to czyniło ją pierwszą podejrzaną, nawet jeśli po części wynikało to z tego, że na razie nie dostrzegała innych potencjalnych sprawców. Istniały sposoby, by kogoś odszukać, ale tej nocy nie miała na nie ani sił, ani możliwości. Co więcej, musiała upewnić się, że sama nie zostanie znaleziona. Przynajmniej niezbyt szybko. Może i Lidia sprawi, że tej nocy Łoza porzuci pościg, Sara jednak za bardzo na to nie liczyła.

Najpierw ruszyła więc nad Vistulę. Przecięła sobie nadgarstek i wpuściła do wody kilka kropel krwi, ścięła kosmyk włosów i rzuciła go do rzeki, a potem nasyciła własną magią znalezioną na ulicy rękawiczkę. Ją również puściła z nurtem. Vistula zabierała ze sobą część Sary, woda miała zmyć ślad. Jakakolwiek magia nie zostałaby użyta, powinno to czasowo uniemożliwić lokalizację. Prosty sposób, którego nie uczono już na żadnym z uniwersytetów. Wyłączyła telefon, na wszelki wypadek wyciągnęła też z niego kartę. Później skierowała się tam, gdzie niegdyś ukryto Lustró Twardowskiego. Większość zaklęć ochronnych została na dobre unicestwiona, kilka przestało działać wraz z wyniesieniem artefaktu, dwa czy trzy wciąż jednak działały – Sara dorzuciła do nich parę podstawowych znaków ochronnych i zwinęła się pod jedną ze ścian. Nie miała zamiaru spać, chciała jedynie odpocząć i przeczekać we w miarę bezpiecznym miejscu kilka

godzin. Zmęczenie okazało się jednak zbyt silne – za wiele energii straciła w parku. Zasnęła, ledwo zamknęła oczy.

Ocknęła się nad ranem. Gdy wyszła na zewnątrz, niebo wciąż jeszcze było ciemne, choć do świtu nie pozostała więcej niż godzina. Sara opuściła budynek i ruszyła przed siebie, sama niepewna, dokąd zamierza iść. Kiedy ktoś się z nią zrównał, czarownica spojrzała w bok i zamarła, bo przez moment zdało się jej, że patrzy na własną twarz. Dopiero po chwili wyłapała drobne różnice – i odkryła, że właściwie jest jeszcze gorzej, niż gdyby natknęła się na własnego sobowtóra.

Kobieta wydawała się trochę starsza od Sary. Uważny obserwator mógłby wyłapać zmarszczki przy kącikach ust i oczu. Włosy, choć ciemne, były o ton jaśniejsze od czarnej czupryny czarownicy i opadały miękkimi falami na ramiona. Twarz nie tak blada, o nieco większych, jaśniejszych ustach i delikatniejszych rysach. Była tym rodzajem kobiety, za którą na ulicy oglądają się mężczyźni – a kiedyś, przed czasami kosmetyków, operacji plastycznych, drogich ubrań i dentystów, mogłaby uchodzić za najpiękniejszą na świecie.

– Nie powitasz mnie?

– Nie żyjesz. – Sara odwróciła wzrok i odsunęła się na wszelki wypadek. Nie wyczuwała magii, lecz to wciąż mógł być podstęp. Znów ruszyła przed siebie, a poły fioletowej sukni kobiety zamiotły ziemię, kiedy i ta przyspieszyła, by dotrzymać Sarze kroku.

– Może. To powód, żeby porzucić dobre maniery?

– Pierdol się.

Ze wszystkiego, co uczyniono – zabójstw, ataków na nią, postrzelenia, dziwnych telefonów i komunikatów radiowych, duchów powracających do świata żywych – to było najgorsze. Sara szła, starając się nie patrzeć w bok. Kobieta poruszała się bezszelestnie, jej oddech nie zamieniał się w biały obłok. Kolejny cień przywołany z zaświatów. Następna sztuczka. Najokrutniejsza ze wszystkich.

– Nie mogę. Nie żyję.

– Co do tej pory uważam za doskonały powód do świętowania. Wynos się.

– Boisz się na mnie spojrzeć?

Sara zatrzymała się i uniosła wzrok. Kobieta była od niej trochę wyższa, ale jej fioletowe oczy stanowiły wierne odbicie oczu Sary.

– Przestałam się ciebie bać dawno temu. Teraz nie boję się tym bardziej. Jesteś martwa. Martwa. Martwa! Ja żyję.

– Zmieniłaś się.

– No co ty nie powiesz – syknęła i odwróciła się, przyspieszając kroku. Dzieci zawsze dorastały i zmieniały się, zwłaszcza jeśli po drodze odpowiednio wiele razy próbowano je zabić. Śnieg skrzypiał pod butami Sary. Wiatr, który zerwał się niespodziewanie, szarpał jej włosy, pozostawiał jednak w spokoju suknię i ciemne loki idącej wciąż obok kobiety. Ta nie rzucała cienia, w miejscach, gdzie stawiała stopy, śnieg pozostawał nietknięty. Ślady odcisnięte przez buty Sary natychmiast pokrywały się lodem.

– Nie panujesz nad sobą.

Czarownica zacisnęła wargi. Nie odpowiedziała, nie spojrzała w bok. Miała ochotę krzyknąć, ale nie chciała dać rozmówczyni tej satysfakcji. Tylko wiatr wył, porwał śmieci leżące wokół przepelnionego kosza, rozrzucił je po ulicy. Czubki palców Sary mrowiły od magii, a za nią ziemia zamarzała.

– A kiedyś byłaś takim słodkim dzieckiem.

„Zabiłaś to dziecko”, zabrzmiałoby zbyt melodramatycznie, jak na gust Sary.

– Głupim dzieckiem – sprostowała więc tylko. Ignorowanie nie mogło tu pomóc. Znów się zatrzymała. – Bardzo głupim, bo jakoś nigdy nie potrafiłam po prostu cię znaleźć i zabić.

– Teraz byś potrafiła? Oto dobra księżniczka zamieniona w złą wiedźmę? – Kobieta wyciągnęła dłoń ku twarzy Sary i przesunęła palcami po jej policzku. Czarownica nie czuła prawdziwego dotyku, ciepła ludzkiego ciała, tam, gdzie palce musnęły skórę, pozostało uczucie chłodu. Gdy jednak ostrze uderzyło pomiędzy żebra, ręka napotkała opór, a po dłoni pociekła ciepła krew. W tym sztylcie zaklęto tak wiele magii, że potrafił zabić niemal wszystko. Do tej pory Sara nie była pewna, czy poradzi sobie z duchem, ale dla tego ostrza nawet umarli przeciwnik nie stanowił przeszkody.

Fioletowe oczy otworzyły się szerzej, z ust wydobył się cichy jęk. Kobieta opadła na kolana, a Sara obserwowała to, nie czując nawet odrobiny satysfakcji. Wiatr cichł powoli. Gniew wywołany pojawieniem się widma opadł i gdyby teraz szukała w sobie jakichś emocji, odnalazłaby jedynie pustkę. Umarli byli tylko umarłymi. Dawne wspomnienia przyblakły, zaćmione przez blask miejskich świateł, głosy z przeszłości umilkły, przytłumione przez turkot tramwajów, dźwięk klaksonów, rockowe utwory płynące z radia. Pamiętała, ale większość tych

wspomnień nie wywoływała już emocji. Przeniosła przez ogień pamięć i moc. Uczucia straciły na znaczeniu.

Przynajmniej w to chciała wierzyć.

Ciało znikło, pozostała tylko kałuża krwi na śniegu. Czerwień przybrudziła trochę but Sary, i gdy czarownica ruszyła dalej, przez chwilę jeszcze zostawiała za sobą krwawy ślad.

– Ene, due, rabe. Zmieniła wiedźma księcia w żabę. – Dziewczyna siedziała na murku, bawiąc się zapalonym papierosem. Z jego końcówki unosiła się smużka dymu. Ciężko było rozpoznać rysy twarzy, zniekształcone przez liczne oparzenia. Z początku Sara nie miała pojęcia, z kim ma do czynienia. – Księżniczkę zabiła, ciało spaliła. Księcia bocian łyka, co z tego wynika? Spalić wiedźmę... Spalić... Pani mnie nie poznaje? Nie jestem już ładna?

Dopiero gdy skończyła mówić, Sara zrozumiała, czyj to duch. Pamiętała tę dziewczynę, choć niemal zapomniała jej imię. Z pewnym trudem dopasowała konkretne miano do osoby. Jej przeciwniczka, jej ofiara, mała zabawka boginki. Jedna z wielu, niewarta zapamiętania. Kolejne narzędzie w cudzych rękach.

– Sylwia – mruknęła. – Nie powinno cię tu chyba być, co? Oddałaś się Marenie. Bez reszty.

– A i tak mnie nie chciała. – Przez zniekształconą twarz przebiegł grymas. – Wolałaby ciebie.

– Pewnie dlatego, że byłaś niesamowicie głupia – oceniła bezlitośnie Sara. – Czy pojawiłaś się, żeby wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia? Zemścić się? Nic z tego.

Usta Sylwii – a raczej to, co z nich zostało – rozciągnęły się w parodii uśmiechu. Końcówka papierosa, którego trzymała w dłoni, rozjarzyła się. Ogień zaczął pochłaniać dłoń o czerwonej, spękanej skórze.

– Tylko przypomnieć. O ogniu i dymie. – Sylwia zdawała się nie zauważać, że płonie. Ogień piął się w górę, powoli trawiąc jej sweter i ciało. – O śniegu i lodowej trumnie. Nie jesteś nieśmiertelna. Masz wielu wrogów, nie umiesz mieć przyjaciół.

– Nigdy nie zapomniałam ognia. A przyjaciele to dużo większy problem niż wrogowie – odparła sucho, obserwując, jak ogień powoli pochłania Sylwię. Dotarł już do ramienia, zaczął rozprzestrzeniać się na tułów.

– Zwłaszcza, kiedy tylko się myśli, jak by ich wykorzystać? – spytała Sylwia.  
– Dokąd pani idzie? Czekamy na panią. Pani nie powinna była schodzić ze ścieżki.

Sara drgnęła, niemile zaskoczona. Jeszcze przez moment patrzyła na pochodnię, w którą zamieniła się ofiara Mareny; ofiara jej – Sary. Sylwia wciąż siedziała spokojnie, a potem ogień wystrzelił w górę i wygasł – wokół rozsypały się tylko złociste iskry. Po duchu nie pozostał nawet ślad. Czarownica miała jednak dziwne wrażenie, że to nie koniec. Przed nią czekały kolejne widma, których nie powinno tu być, które zginęły z dala od Krakowa, i których bardzo nie chciała spotkać. Omal nie cofnęła się, by wrócić tam, skąd przyszła, lecz to byłaby ucieczka. Kolejna ucieczka, spowodowana wyłącznie brakiem odwagi. Zresztą, czy istniało miejsce, w którym mogłaby się ukryć?

Ruszyła więc dalej.

Wyłonił się gdzieś z cieni – w jednej chwili go nie było, w następnej szedł u jej boku. Starszy pan w kraciastej koszuli, o bardzo zniszczonych dłoniach i pomarszczonej twarzy. Długą chwilę żadne z nich się nie odzywało. Sara nie do końca ufała własnemu głosowi. W końcu jednak przemówiła, nie przerywając wędrówki. Gdyby ktoś ją zapytał, nie potrafiłaby odpowiedzieć, dokąd zmierza – ale coś w niej nakazywało iść naprzód.

– Podobno wydałeś mnie Krystianowi.

– Ten miły młodzieniec w okularach? Jestem pewny, że nikogo mu nie wydawałem. Pytał tylko o mieszkańców domu – zapewnił mężczyzna. Słowo „staruszek” nie bardzo do niego pasowało. Choć było po nim widać wiek, nie wyglądał ani na słabego, ani na schorowanego, a postura i dłonie świadczyły o dawnej sile. – Jak ci się wiedzie?

– Całkiem dobrze, pomijając to, że wokół kręcą się duchy i ktoś chce mnie zabić. Z tym drugim jakoś sobie poradzę. Dlaczego tu jesteś? Mam nadzieję, że nie po to, aby ukazać mi, że błędzę i powinnam doznać cudownej przemiany charakteru?

– Przemiany charakteru? – zdumiał się. Dłoń sięgnęła ku włosom Sary. Uczucie było takie, jakby mierzwił je wiatr. – Zawsze byłaś moją ulubioną wnuczką, Weroniko. Wiele razy mówiłem, że jesteś wyjątkowa. Może nie pochwalam twoich wyborów, ale dorosłaś i masz prawo do własnych decyzji.



Z pewnym trudem zwalczyła w sobie chęć odsunięcia się. On nie żył. Nie chciała dotyku ani rozmów z umarłymi. Nie chciała słyszeć imienia, którego nie uważała za swoje. Dla niej Weronika z Lelkowa nie była kimś prawdziwym. Jej życie przypominało uwięzienie w fałszywych światach Lustra Twardowskiego. Pozornie prawdziwe, ale wszystko w nim było niewłaściwie.

– Na imię mi Sara. Sara. Może Sanika.

– Wolę więc Sanikę – odparł dziadek. – Weronika, Nika, Sanika. Coś zachowałeś, prawda? Jak sądzę, jestem tu przez ciebie. Nie żałujesz, moja droga?

Nie musiała zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Nie. Nie żałuję niczego.

Skinął głową i zwolnił, pozwalając jej odejść, jakby ta jedna deklaracja była wszystkim, czego potrzebował. Gdy się obejrzała, za nią pozostały tylko cienie. Znow była sama, chociaż czuła, że ten stan rzeczy nie utrzyma się długo. Wokół panowała cisza, zakłócana tylko dźwiękiem jej kroków.

Następny duch miał złociste włosy i jasny zarost. Sara zatrzymała się na jego widok, zaciskając szczęki. Zapatrzyła się na śnieg, uparcie nie unosila wzroku. Kiedyś – dawno temu – nigdy by w to nie uwierzyła, ale nie pamiętała już jego twarzy i nie chciała, naprawdę nie chciała, jej sobie przypominać.

– To jakaś „Opowieść wigilijna”? – rzuciła, a w jej głosie pobrzmiwały gniewne nuty. Wiedziała oczywiście, że nie: żadne moce nie próbowałyby zmuszać jej do przemyśleń, nawrócenia czy nagłej zmiany podejścia do innych ludzi. Nie leżało to w ich interesie. Raczej coś usiłowało ją osłabić, złamać jej wolę. I trzeba przyznać, że sięgało po całkiem niezłe środki. Magia wokół Sary narastała, znow zaczął wiać wiatr. Zaciskała palce na rękojęści sztyletu, zastanawiając się, czy i tym razem pomoże przeciwko komuś, kto nie posiadał już materialnego ciała. – Jesteś trupem.

– Witaj, Schnee.

– Jesteś. Trupem.

Wiatr szarpał jej włosy, a jego wycie prawie zagłuszało wypowiedane słowa. Lód zaczął skuwać chodnik, piął się po najbliższej latarni, sięgał mijanych budynków. Były rzeczy, które mogły zwiększyć moc czarownic. Do tej pory Sara jednak może dwa, trzy razy w życiu uwolniła tyle magii. Ta zaś wciąż płynęła potężnym strumieniem, rozlewała się wokół, karmiona wściekłością.

– Zamroziś świat z nienawiści do mnie? – spytał cicho, zbliżając się ku niej.

– Zostałem oszukany. Ja nie miałem magii i wiedzy, które ochroniłyby mój umysł przed szeptami z ciemności. Zwiedli mnie, złamali, sprawili, że wszędzie widziałem zło, że w strażniczce ujrzałem największego wroga.

Ujął ciemną rękę Sary, a dotyk był niemal prawdziwy. Niemal.

– Nie nienawidzę – odparła, przekierowując magię ku niemu. – Nie nienawidzę, bo jesteś trupem. Ale nie wybaczyłam.

Lód sączył się spod palców. Szron osiadł na włosach i ubraniu czarownicy. Wszystko wokół zamarzało i gdyby ktoś spacerował tu nad ranem, pewnie nie uszedłby z życiem. Ostrożnie wyzwoliła dłoń z uścisku zamrożonych palców, wciąż nie unosząc spojrzenia ku twarzy lodowej statuy. Rozszalała magia krążyła wokół i przez chwilę Sara zaczęła się bać, że nie zdoła odzyskać kontroli: naprawdę zamrozi zaraz wszystko dookoła, a później moc sięgnie dalej i lód pochłonie budynki wraz z zamieszkującymi je ludźmi, ona zaś umrze, oddawszy zbyt wiele sił. Zatrzymanie jednego ducha, nawet tego ducha, nie było tego warte. Odsunęła się od rzeźby z lodu i ruszyła przed siebie, starając się opanować to, co wyzwoliła. Z coraz większym trudem łapała oddech. Moc szalała na zewnątrz i *wewnątrz*, rozpętała śnieżycę, ale powoli też przyćmiewała umysł czarownicy, wyłączała racjonalne myślenie. I Sara przestawała chcieć zatrzymać uwolniony żywioł, wręcz przeciwnie, ciągnęło ją do uniesienia się w powietrze, pozwolenia, by pozostała tylko magia – nic więcej. Może to byłaby prawdziwa wolność? Choćby przez chwilę nie istniałyby żadne ograniczenia. Niech trwa to minuty, nawet sekundy, taka moc warta jest śmierci...

Ale pośród śniegu czekała kolejna osoba i jej widok przyniósł otrzeźwienie. Patrzyły na nią ciemne oczy Jana Twardowskiego, odzianego w gruby kozuch. Wokół jego nóg topniały śnieg i lód, wiatr milkł, wirujące płatki niesione w stronę czarnoksiężnika napotykały niewidzialną barierę.

– Nie możesz zabierać ze sobą miasta – zganił ją. Sara odetchnęła, starając się zebrać myśli. Zamieć uspokajała się powoli, lód cofał. – Nawet ja tego nie zrobiłem. Powinnaś nad sobą panować. Nie zachowuj się jak dziecko, więdźmo.

Minęła chwila, nim zdobyła się na odpowiedź. Początkowo myśli nie chciały się złożyć w słowa i opuścić ust. Były tylko obrazy: śnieg, lód i wichur, zamrożone miasto, lodowa trumna, las w zimie i krew, czerwona na śniegu.

– Zabierać ze sobą? – powtórzyła bezmyślnie. Wiatr jednak powoli milkł. Śnieg wirował już tylko wokół czarownicy, która pokręciła głową i potarła skronie, zostawiając na twarzy ślad krwi. – Co ty tu robisz? To chyba spacer dla duchów, a ty nie umarłeś.

– To zależy wyłącznie od punktu widzenia. Tak samo, jak w twoim wypadku – Twardowski podszedł do Sary, płatki śniegu tańczące wokół niej same rozwiały się na boki, otworzyły mu drogę. Podał jej ramię, jak kiedyś, po drugiej stronie lustra. Ujęła je machinalnie, pozwoliła się poprowadzić. Czuła zawroty głowy i po prawdzie nie była pewna, jak daleko uszłaby o własnych siłach. Wszystko, co mogła dostrzec w ciemności, ginęło pod śniegiem i lodem. Ciało czarnoksiężnika, w przeciwieństwie do poprzednio napotkanych widm, okazało się w pełni materialne i dziwnie ciepłe. – Zeszłaś ze ścieżki.

– Sama wybieram swoje drogi – odparła, chociaż nie rozumiała, co Twardowski ma na myśli.

– Niektóre drogi prowadzą donikąd. Musisz to zakończyć.

– Zamieć się skończyła.

W powietrzu wirowały już tylko ostatnie płatki śniegu. Temperatura podniosła się, a gdy wszędzie słońce, może nawet jego promienie stopią przywołany lód.

– Nie mówię tylko o zamieci. Naruszono zbyt wiele granic. Ktoś musi za to zapłacić.

– Nie ja – zaprotestowała, zatrzymując się. W jej duszy zrodziło się paskudne podejrzenie, że może to wszystko było kolejnym omamem, echem mocy przeklętego lustra. Nie powinna była przebywać w miejscu, gdzie tak długo je ukrywano, przesiąkniętym jego magią. Nie powinna pozwolić sobie na sen. – Jak się tu znalazłeś? Jesteś uwięziony w lustrzanym świecie.

– Zdał mi się lepszy od innych możliwych dróg. Ta szansa czeka też na ciebie. To znacznie lepsze, niż to, co spotkało twoją poprzedniczkę.

– Po moim trupie – syknęła Sara. Twardowski uśmiechnął się – a raczej uniósł jedynie kąciaki ust, bo w grymasie nie było ani śladu wesołości.

– To, moja droga wiedźmo, nie jest wykluczone. Czekam na ciebie.

Ciemność powoli ustępowała szarości. Nadchodził świt. Czarnoksiężnik cofnął rękę, Sara potknęła się i...

\*\*\*

...spadła na posadzkę.

Wokół panował półmrok, a ona sama znajdowała się pomiędzy dwiema ławkami w opustoszałym wnętrzu – jak uświadomiła sobie po paru sekundach – kościoła. Przez chwilę siedziała jeszcze na posadce, rozglądając się dookoła, szukając jakichś oznak, że to kolejna pułapka mistrza Twardowskiego. Uszczypnęła się mocno w wierzch dłoni, wciąż ciemnej dzięki zaklęciu Lidii. Zabolęło, ale ból nie zawsze należał tylko do świata jawy.

Sara nie miała pojęcia, która jest godzina ani jak się tu znalazła. To drugie wywoływało podejrzliwość, zwłaszcza w obliczu dziwnego, realnego snu wypełnionego duchami. Nie ufała, czy wciąż nie śni.

Podniosła się powoli. Czuła się jeszcze bardziej zmęczona niż wtedy, gdy opuszczała park – jakby długo używała potężnej magii. Nie pozostało jej wiele sił, a w głowie wirowało i musiała przytrzymać się ławki, by znów nie upaść. Rozpoznała to miejsce dopiero po chwili. Nie chadzała do kościołów, w pogardzie mając po równi wszystkie religie współczesnego świata. Ten jednak знаła i aż usiadła, gdy pojęła, że najwidoczniej przez sen zawędrowała do kościoła świętego Józefa.

Kiedyś to tutaj znajdowała się pracownia mistrza Twardowskiego. Usunięto ją podczas budowy świątyni, co swojego czasu wywołało spory skandal i zaostrzyło konflikt pomiędzy formującą się wtedy Lożą a Kościołem. Chociaż pracownię zniszczono, miejsce wciąż emanowało specyficzną aurą. W ostatnich latach dwukrotnie w kościele zaproszono ogień i wszystko wskazywało na to, że pożar miał przyczyny magiczne. Z tego, co dowiedziała się Sara, gdy gromadziła informacje o Twardowskim i jego lustrze, przynajmniej dwóch księży, którzy tu służyli, popełniło samobójstwo. Dwóch kolejnych oszalało, a jeden zaginął w letnich miesiącach, kiedy nocny król przejmował władzę nad miastem – wybiegł w ciemność i nikt go już nie widział. Nie był jedyny, więc i nikt się specjalnie nie przejął.

Sara przejechała dłonią po ławce. Zdawała się realna. Czarownica mogła też wyczuć aurę kościoła, w jej odczuciu dziwnie mroczną, jak na pozornie święte miejsce. Wszystko wyglądało zupełnie zwyczajnie. Podczas spaceru z duchami od początku wiele rzeczy było nie tak, po prostu we śnie nie zwróciła na nie uwagi. Zupełna pustka, chociaż godzina sprzyjała wychodzeniu do pracy. Jej własny brak zdziwienia pojawieniem widm. Teraz wiedziała, że nawet układ ulic się nie zgadzał, niewiele też tam wyczuwała. Tu pozornie nie wylapywała

nieprawidłowości, wciąż jednak nie była pewna, ile prawdy jest w tym, co ją otacza.

To znacznie lepsze niż to, co spotkało twoją poprzedniczkę.

Czekam na ciebie.

Zasnęła w miejscu, w którym przez lata ukrywano Lustro Twardowskiego, a obudziła się tam, gdzie niegdyś je stworzono. Przeszedł ją dreszcz, którego wcale nie wywołał chłód. Nawet jeśli jeszcze nie oszalała, być może pozostawało to kwestią czasu. Tego wszystkiego nie mógł przecież zaaranżować Roman. Nie bardzo też wierzyła, że mogła to zrobić Olka. I co czarnoksiężnik miał na myśli, mówiąc o poprzedniczce? Chodziło o Kalinę?

Sara podniosła się po kilku minutach. Wciąż odczuwała zmęczenie, ale nie chciała pozostawać za długo w miejscu należącym niegdyś do Twardowskiego. Przez okna nie wpadało jeszcze światło – świt nadszedł we śnie, tutaj jednak słońce nie zdążyło wzejść, niebo dopiero zaczynało powoli jaśnieć. Choć zamki ustąpiły, gdy otworzyła je dokładnie w ten sam sposób, co drzwi kamienicy, w której znalazła ciało, przez chwilę nie mogła wydostać się na zewnątrz. Zaspa blokowała wyjście. Warstwa śniegu miała ponad metr i zalegała, gdzie okiem nie sięgnąć. W nocy przez Kraków musiała przejść prawdziwa śnieżycyca i Sara zaczęła zastanawiać się, czy podczas snu mogła utracić panowanie nad własnymi zdolnościami. Czy przeszła przez Kraków, pogrążona we śnie, a za nią szły lód, wiatr i śnieg? Czy stąd brało się to zmęczenie?

Nie możesz zabierać ze sobą miasta.

Powinnaś nad sobą panować.

Wzdrygnęła się mimowolnie. Myśl, że być może to było jej dzieło – i że mogła posunąć się jeszcze dalej: nie tylko sparaliżować część miasta, ale nawet zniszczyć, a potem umrzeć we śnie z wyczerpania – była bardziej przerażająca niż ścigająca ją ciemność.

\*\*\*

Wyglądało na to, że śnieg pokrył większą część miasta, a temperatura gwałtownie spadła. Gdyby o tej porze roku odbywały się zajęcia na uczelniach, zapewne właśnie by je odwoływano. Komunikacja miejska działała z opóźnieniem, nie nadążano z odśnieżaniem chodników i ulic, w jednej z dzielnic został odcięty prąd. Poruszanie się po mieście było utrudnione i Sara po drodze wypatrzyła dwa uszkodzone samochody. Miała dziwne wrażenie, że pewnie w

radiu i Internecie trąbiono teraz o ofiarach śmiertelnych, rannych i zniszczeniach. Zapewne gdyby była bardziej altruistyczną osobą, wyrzuty sumienia nie dałyby jej spokoju. Ale Sara głównie złościła się na siebie, że utraciła kontrolę, zamiast przejmować samymi szkodami. Nawet ta złość pozostawała jednak mało znacząca: czarownica musiała skupić się na własnych problemach. Jeśli czegoś się bała, to tego, że sytuacja się powtórzy.

Każdy bank miał na usługach przynajmniej kilku czarodziei, którzy mieli pilnować, aby magiczni nie mogli włamać się do sejfów albo nielegalnie wybrać pieniędzy z bankomatów. Mimo to Sara zdołała wypłacić dwieście złotych z konta, na którym znajdowały się fundusze miejskie.

Było to wciąż odrobinę ryzykowne – jeżeli poszukiwania prowadzono wyjątkowo pilnie, ktoś mógł znaleźć ślad ingerencji. Liczyła jednak, że nikt na to nie wpadnie. Większość Loży stanowili czarodzieje – a chociaż posiadali ogromne możliwości, to magia dla nich miała zwykle jasno wytyczone granice. Większość nie pomyślałaby o czymś więcej niż gestach i formułkach.

Sara kupiła kawę, frytki i hamburgera w najbliższym barze. Najedzona, z kofeiną płynącą w żyłach, poczuła się mniej więcej jak człowiek. Potem w sklepie z używanymi książkami wygrzebała mapę miasta i książkę dla dzieci o przygodach małej Oli, a w kiosku zaopatrzyła się w długopisy i kartę do telefonu. Obecne położenie poważnie ograniczało jej możliwości, ale Sara nie planowała się poddawać.

Rybak odebrał po trzech sygnałach.

– Słucham?

– Tutaj pani od telefonu – poinformowała. – Ta, którą prawie potraciłeś. Byłbyś zainteresowany małym zleceniem?

– Zależy jakim, za ile i jak bardzo byłoby nielegalne – odparł ostrożnie Marcin Rybicki. Właściwie pochwałała takie podejście.

– Niezbyt nielegalne. Chciałabym, żebyś poszukał mi informacji o pewnej osobie. Portale społecznościowe, numer telefonu, wszystko, co zdołasz wygrzebać. Jeśli uwiniesz się szybko... Powiedzmy, że za pięć tysięcy.

Było ją na to stać, a naprawdę nie miała zamiaru oszczędzać, gdy w grę wchodziła jeśli nie jej wolność, to zapewne spokój i zdrowie psychiczne.

– To dość duża kwota.

– Jestem cholernie dobrą czarownicą – odparła. Nie mogła skontaktować się z nikim ze służb publicznych ani kazać komuś na zamku zdobyć informacje. Dodatkowo Rybak zdawał się posiadać możliwości, jakimi mało kto dysponował.

– Zapewniam, że mnie na to stać.

– To poważna sprawa?

– Życia i śmierci. Dosłownie.

Rybak przez chwilę milczał. Najwyraźniej cała sprawa nie do końca się mu podobała. Jednocześnie jednak chyba wzbudziła jego ciekawość.

– W porządku, ale musisz mi wyjaśnić, o co chodzi. Dlaczego chcesz ją znaleźć? I nie, tutaj się nie da dokupić pakietu „żadnych pytań”. Odpowiedzi mają być dodatkiem do wynagrodzenia.

Sara westchnęła cierpiętniczo. Powiedzenie mu wszystkiego nie wchodziło w grę. Ale mogła powiedzieć małą część prawdy, która powinna zadowolić Rybaka.

– Słyszałeś na pewno o ostatnich morderstwach. Zabito kogoś... kogo znałam

– powiedziała powoli. Twarz Rafała stanęła jej przed oczami. Ktoś, kogo znała. Prawda. Nawet jeśli nie miał dla niej żadnego znaczenia. – Boję się, że będę następna, w porządku? A ta dziewczyna... Chyba coś wiedziała, tyle że zapadła się pod ziemię. Nie chcę od razu iść z tym na policję.

– Skąd mam mieć pewność, że to nie ty jesteś mordercą i nie planujesz właśnie obdarcia jej ze skóry, bo ci uciekła?

– Wtedy nie dzwoniłabym do przypadkowych ludzi, którzy wiedzą, jak wyglądam i zawsze znajdą mój numer telefonu – wyjaśniła spokojnie. Nie była przecież mordercą. A nawet jeśli plany wobec Olki miała naprawdę mało przyjemne, nie obejmowały obdzierania ze skóry. To wymagałoby naprawdę wiele wysiłku i nie dałaby raczej rady zrobić tego porządnie. – Jak będzie?

– Przyjrę się temu – obiecał w końcu. – O kogo chodzi?

– Dzięki – mruknęła z ulgą. Musiała szukać wszelkich możliwych punktów zaczepienia. Naprawdę ciężko znaleźć magicznego, który chce zniknąć. Moc i więź z miastem pomagały, ale nie gwarantowały cudów. – Aleksandra Kostrzewa. Ma jakoś ze dwadzieścia trzy lata. Prawdopodobnie była kiedyś dziewczyną Tomasza Lemiatowskiego...

– Czekaj, tego, który zginął na Rynku? – przerwał jej Rybak.

– Tego. Mówiłam, że coś może wiedzieć, tak? Studiowała na Wydziale Magicznym. Praktykę. Wywalili ją kilka miesięcy temu. Wynajmowała pokój na

Krowodrzy, ale chyba się wyniosła.

– W porządku, zanotowałem. Zadzwoń za parę godzin.

Znów wyłączyła telefon, tak na wszelki wypadek. Korzystając z tego, że zakłęcie Lidii jeszcze działało, zaszyła się w kącie kawiarni, prawie pustej z powodu wczesnej pory i zapewne licznych apeli, by dziś pozostać w domu, zamówiła ciasto i zabrała się za samodzielne próby ustalenia czegokolwiek na temat miejsca pobytu Aleksandry Kostrzewy. Dwa kawałki szarlotki, dwie gorące czekolady i trzy godziny później jej osiągnięcia były dość mizerne. Zastanawiała się, czy skoro Olka najwidoczniej jakimś cudem usłyszała o rytuale wycięcia serca, mogła też wiedzieć, w jaki sposób skutecznie ukryć swoją lokalizację. Sara wydała więc niemal wszystkie pozostałe jej pieniądze na naleśniki z czekoladą i kawę – nie chciała, żeby obsługa zaczęła zerkać, co też robi tu jakaś kobieta podejrzenie mamrocząca nad mapą, skoro nie zamawia – i zaczęła próbować od nowa.

Tym razem nie szukała Olki, a drugiej czerwonej rękawiczki z pary. Istniało wprawdzie ryzyko, że ta leży gdzieś w koszu, był to jednak równie dobry punkt zaczepienia jak każdy inny. Po kolejnej godzinie, ku swojemu zdumieniu odkryła, że bliźniacza rękawiczka znajduje się na tym samym osiedlu, na którym znajdowało się jej mieszkanie. Nie. Sarze nie podobało się to w najmniejszym stopniu.

Jeśli okaże się jeszcze, że chodziło konkretnie o jej mieszkanie, to naprawdę trafi ją szlag.

Pochłonięta kreśleniem po mapie i próbami wyczucia czegokolwiek, nie od razu dostrzegła, że skóra na rękach blednie. Gdy to odnotowała, dłonie pokrywały już białe plamy. Czarownica poderwała się na równe nogi, błyskawicznie upchnęła mapę do kieszeni, a czerwoną rękawiczkę założyła na rękę. Naciągnęła kaptur na głowę i wystrzeliła z kawiarni, jakby goniło ją stado demonów. Wprawdzie wątpiła, aby poszukiwali jej oficjalnie, ale nagła zmiana wyglądu klientki z pewnością wywołałaby zainteresowanie.

\*\*\*

Do Rybaka zadzwoniła wkrótce po wyjściu z kawiarni.

– Usunęła konta na portalach społecznościowych – zrelacjonował bez wstępów, najwidoczniej doskonale wiedząc tym razem, kto chce się z nim skontaktować. – Nawet na magiconie, ale tam przechowują zawsze kopie. W każdym razie znalazłem jakieś zdjęcia jej i tego Tomasza, faktycznie chyba parka.



– Tylko tyle? – spytała, nawet nie próbując kryć rozczarowania. Niby za to miała mu dać pięć tysięcy?!

– Skąd – burknął, wyraźnie urażony. – Trzy dni temu wyczyściła swoje konto bankowe, mogę ci podać, skąd wypłaciła pieniądze. Nie było tego dużo, z pięć stów. Odkąd wyrzucili ją z uczelni, pracowała w barze, ale niedawno rzuciła robotę. Chyba ledwo wiązała koniec z końcem.

– To brzmi lepiej – przyznała. Nie wnikała nawet w to, jak określił położenie bankomatu. Skoro ona mogła taki przekonać, żeby wypłacił jej pieniądze, choć nie nosiła przy sobie karty, to czemu magia Rybaka nie miałyby zadziałać w taki sposób? – Przyślij mi adres smsem. Coś jeszcze?

– Tak. Spróbowałem do niej zadzwonić i odebrała...

– Coś jej powiedziałaś?! – Sara zatrzymała się w miejscu, mocno zaciskając palce na komórce. Gdyby odpowiedź brzmiała twierdząco, prawdopodobnie znalazłaby Rybaka i osobiście skopała mu tyłek.

– Tak, spytałem, czy jest Artek, a potem przeprosiłem za pomyłkę. Co ja, idiota? – spytał, chyba z lekka zirytowany. – Sądziła, że dzwoni jakiś Kacper. I to był numer Kacpra Nowakowskiego, jego adres też zdobyłem. Blisko bankomatu, z którego wybrała pieniądze. Zadowolona?

– Bardzo – odparła szczerze, bo rezultaty przekroczyły jej nadzieje. – Prześlij mi te adresy i numer konta. Będziesz miał pieniądze najdalej za parę dni.

Liczyła, że uda się jej załatwić wszystko szybciej. Jeśli nie, to pozostanie jej opuścić Kraków: były zaś dwa konta, o których istnieniu, jak sądziła, nikt nie wiedział i prędzej czy później znajdzie się miejsce, z którego będzie mogła zrobić przelew.

– Ty naprawdę masz zamiar mi zapłacić? – zapytał z niedowierzaniem.

– Przecież nie na żarty. – Zawahała się. Nie chciała go oszukiwać. Pomógł jej, najwidoczniej nawet nie licząc za bardzo, że dostanie swoją zapłatę. – O ile nie zginę w ciągu najbliższych dwóch dni, ale tego nie planuję.

Nie. Tego zdecydowanie nie planowała. Sara nawet nie chciała brać pod uwagę takiego scenariusza. W najgorszym razie mogła się wycofać i zostawić problem innym. Krystian znalazł jej mieszkanie, ale jeśli się uprze, zniknie na tyle skutecznie, że nie zostanie odnaleziona.

– Kurde. Ty mówiłaś poważnie, że to sprawa życia i śmierci?

– Smiertelnie poważnie – westchnęła. – Prześlij mi te dane, Rybak. Jeśli masz jakieś zdjęcie, to też. Postaram się o to, żebyś dostał swoją zapłatę. A jeśli jej nie dostaniesz, to możesz spokojnie dać komuś cynk o tej rozmowie.

Znów była w pełni sobą, gdy zbliżała się do osiedla. Szła jednak nietypowo dla samej siebie: zgarbiona, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nie patrzyła w oczy przechodniom. Kaptur skrywał jej włosy i częściowo twarz, dłonie trzymała w kieszeniach. Na jednej ręce wciąż miała cudzą rękawiczkę. Przyjście tutaj wywołało w czarownicy pewną nerwowość. Po pierwsze dlatego, że jeśli Krystian jej szukał, na pewno zostawił kogoś w okolicy. Po drugie, może i Aleksandra była podrzędną czarodziejką, ale musiała mieć pomoc. Jeżeli naprawdę gdzieś tu się zaszyla, Sarę czekało dość paskudne starcie. Kilka godzin w kawiarni i spacer po mieście sprawiły, że zregenerowała większość sił, niestety nie miała pojęcia, co takiego może przyzwać zdesperowana Olka.

Bankomat, o którym wspomniał Rybak, znajdował się tylko pół godziny drogi piechotą od osiedla. Adres Kacpra wskazywał na to, że mieszkał dwa bloki od Sary. Przez cały czas byli tak blisko. Przypadek? Takie zbiegi okoliczności nie istniały. Nie jej zdaniem przynajmniej.

– Wróciłaś?

Duch pojawił się, gdy przeciągała dłonią skrytą pod czerwoną rękawiczką po drzwiach wejściowych. Drgnęła niespokojnie, spoglądając w dół. Chłopiec zadzierał głowę, przypatrując się jej z ciekawością.

– Wróciłam? Nigdzie nie znikalam – mruknęła, wodząc przez chwilę palcami po klamce. Skóra na ręku mrowiła. O ile Sara nie wierzyła w opowieści o bratnich duszach, nieustannie się poszukujących, o tyle znalezienie przedmiotu pierwotnie będącego jednym z pary bądź częścią całości, było wykonalne, jeśli miało się takiego „bliźniaka”. – Hej, ludzie dalej cię nie widzą, co?

– Nie widzą – odparł podejrzliwie chłopiec. Sara się rozpromieniła. Julian, gdy robiła taką minę, zaczynał zwykle wietrzyć podstęp. Duch jednak nie znał jej dostatecznie, aby od razu rzucić się do ucieczki.

– Świetnie, szuraj na trzecie piętro i sprawdź, co jest w mieszkaniu numer dwadzieścia siedem – poinstruowała. Nawet jeśli mieszkanie było magicznie zabezpieczone, nie powinno stanowić to przeszkody dla kogoś niematerialnego.

– Ja? Ale dlaczego?! – oburzył się chłopiec. Sara nie odpowiedziała od razu, odsunęła się, by wypuścić jakąś panią wychodzącą na spacer z psem, po czym

śmignęła do środka. – Poza tym to nieładnie wchodzić do cudzego mieszkania bez zaproszenia.

– Ja cię nie zapraszałam, tak? A nie miałeś oporów.

– Ty mnie zaprosiłaś – wymamrotał cicho chłopiec. Czarownica prychnęła.

– Jestem wściekle pewna, że nie. No już, idź, rozejrzyj się. Przecież i tak nic ci się nie stanie, nie? – A nawet gdyby, to lepszy martwy duch niż ona. Przynajmniej w jej opinii. Dzieciak nie wydawał się zbyt chętny do pomocy: kręcił się, mamrotał coś pod nosem, szurał stopą o podłogę. – Do boju, młody, nie bądź tchórzem. Może opowiem ci za to jakąś bajkę.

– To przekupywanie dziecka – fuknął.

– Słodczy ci nie obiecuję, i tak nie mógłbyś ich zjeść... Przydadź się w końcu na coś.

Spojrzał na nią z urazą. O dziwo jednak tym razem posłuchał i ruszył schodami w górę. Podparła się więc o ścianę w pobliżu zejścia do piwnic. Czekał na jego powrót, starała się zbadać wszelkie magiczne ślady obecne w budynku – ale było ich niewiele. Nie wykraczały poza normę, na ich podstawie Sara nie odgadłaby nawet, że mieszka tu czarodziejka.

– Ogląda telewizję – poinformował chłopiec, materializując się przy jej boku.

– Trochę ci to zajęło – stwierdziła. Duch znikł na pół godziny i zaczynała już się zastanawiać, czy po prostu znowu sobie nie poszedł. – Kto?

– Dziewczyna. Ładna dziewczyna. Ma długie, kręcone włosy – zrelacjonował.

– Ogląda bajkę o księżniczce, która...

– Czekaj, nie było cię tyle, bo oglądałeś bajkę? – przerwała mu, unosząc brwi. Najchętniej dałaby teraz chłopcu w ucho. – Ta dziewczyna jest w twoim wieku?

– Nieee, bardziej jak ty.

Olka była zdecydowanie młodsza od niej, ale Sara nie wyglądała na kogoś, kto trzydziestkę przekroczył już jakiś czas temu. Chłopiec spokojnie mógł wziąć je za równolatki, a na zdjęciu przysłanym przez Rybaka, dziewczyna rzeczywiście miała kręcone włosy.

– Ogląda telewizję? I? – dociekała. Bezlitosna morderczyni oglądająca filmy animowane? Nie, to nie wydawało się Sarze szczególnie dziwne. – Ktoś jeszcze jest w mieszkaniu? Zauważyłeś coś podejrzanego?

– A co ma być? Serca w słoikach? – burknął. – Sama sobie tam idź i wszystko oglądaj.

– Żebyś wiedział, że pójde.

Kręgi przywołania, mroczne akcesoria i tym podobne, raczej trudno przegapić. Chyba że do tego stopnia zajęła go bajka o księżniczce, że nie zauważyłby nawet wielkiego, złego demona. Sara ruszyła na trzecie piętro. Przy samych drzwiach wciąż nie wyczuwała niczego podejrzanego, ba, nie były nawet chronione magią – przeszło jej przez myśl, że może jednak się pomyliła, podążanie za rękawiczką stanowiło głupotę, a ustalenia Rybaka nie były nic warte. Mimo to wparowała do środka. W najgorszym razie przestraszy jakąś niewinną rodzinę.

Mieszkanie miało dwa pokoje, jeden połączony z kuchnią. W tym większym faktycznie grał telewizor, po ekranie przewijały się animowane postacie. Dziewczyna – ładna, jasnowłosa, o drobnej, ślicznej buzi – spojrzała na niespodziewanego gościa. Sara rozpoznała w niej pannę ze zdjęcia, a sądząc po nagłej zmianie wyrazu twarzy Aleksandry, sama też została rozpoznana.

Dziewczyna poderwała się, usiłując chwycić lampkę stojącą na stoliku. Nie zdążyła. Moc uderzyła, rzucając ją o ścianę, a Sara przebiegła pokój, by zacisnąć dłoń na gardle Olki.

– Teraz sobie porozmawiamy – wyszczała czarownica. Ktoś, zwabiony hałasem, wypadł z łazienki, owinięty tylko ręcznikiem. Fala magii przetoczyła się przez pokój i wyrzuciła młodego mężczyznę w powietrze. Spadł na ścianę przedpokoju, tłukąc lustro. Krzyknął krótko z bólu.

Łatwe.

Głupio łatwe. Za łatwe.

– Gdzie jest broń? – spytała. Cofnęła rękę, a Aleksandra opadła na podłogę, nie przestała jednak się dusić. Jedną dłonią podpierała się o dywan, drugą kurczowo przyciskała do gardła. Sara nie planowała dać jej szansy na rzucenie żadnego zaklęcia, odcięła więc dopływ powietrza do płuc, tym samym chwilowo uniemożliwiając też udzielenie odpowiedzi. Z całej siły nadepnęła swoim ciężkim, wojskowym butem na rękę dziewczyny, łamiąc jej dwa palce. Wolą być pewna, że czarodziejka nie zdoła się bronić.

Chłopak w przedpokoju dźwignął się na kolana. Parę iskier spłynęło z jego palców, po czym natychmiast zgasło. Wybitnie nieudana próba użycia magii. Sara zacisnęła rękę w pięść, oddając Aleksandrze możliwość oddechu, odbierając ją za to mężczyźnie.

Nie. Nie miała pewności, czy byli winni, ale nawet jeśli nie... Będzie się z tego tłumaczyć później.

– Jakiś problem, kochanie? – zapytała czule szlochającą z bólu dziewczynę. Ta nie starała się rzucać zaklęć, jedynie próbowała odpełznąć od Sary. Kopniak trafił Aleksandrę między żebra i czarownica naprawdę, ale to naprawdę, nie dbała o to, czy któreś złamała. – Skąd ci przyszło do głowy, że możesz sobie do mnie bezkarnie strzelać?!

– Ja nie chciałam! – wyrwało się Olce. Tym samym potwierdziła wszystkie podejrzenia i wydała na siebie ostateczny wyrok. Do tej pory Sara nie była pewna: w wpadając tu i atakując w dużej mierze kierowała się impulsami, pozwalając sobie na zbyt wiele i mogła tego później żałować. – Ja tylko...

– Bez sztuczek – wysyczała czarownica, chwytając rękę dziewczyny i wykręcając ją za plecy. Zignorowała kolejne wycie bólu, wywołane urażeniem połamanych palców. Czarodziej, nawet jeśli przeciętny i kształcony tylko przez parę semestrów, wciąż pozostawał niebezpieczny. Sara zerknęła jeszcze na moment w stronę przedpokoju. Nie chciała zabijać, jeszcze nie: zostawiła chłopaka w spokoju, gdy stracił przytomność. Najwidoczniej nie był nawet czarodziejem. – Teraz poznasz zasady: nie masz prawa zachować milczenia, wszystko co powiesz, zostanie użyte przeciwko tobie, a jeśli nie odpowiesz mi grzecznie na pytania, połamię ci kolejne paluszki. Skąd znałaś rytuał wyrwania serca?

Olka szlochała, kiedy Sara unieruchamiała jej ręce. Czarownica usiadła dziewczynie na plecach, ograniczając możliwość ruchów, i nacisnęła na połamane palce, gdy odpowiedź nie padła natychmiast.

– Ciii – wymruczała, znowu przez chwilę podduszając Aleksandrę, by sąsiadów nie sprowadziły krzyki, a gdy ta otworzyła usta do wrzasku, Sara uniemożliwiła jej zaczerpnięcie powietrza. Czarownica pochyliła się teraz trochę, tak by jej własne wargi znalazły się w pobliżu ucha dziewczyny. – Bądź grzeczna, skarbie, to może nawet cię nie zabiję.

W końcu musiała kogoś przywlec do Romana i Lidii, żeby łaskawie się od niej odczepili.

– No? Skąd znałaś ten rytuał?

– Od Tomka! Tomka Lemiatowskiego!

– Powiedzmy, że ci wierzę – zdecydowała po chwili namysłu Sara. Wyczuwała coś w pokoju Tomasza, a wedle słów Rafała nie był tak krystalicznie czysty, jak wszyscy myśleli. Poplecznik nocnego króla... – Zabiłaś go, bo ci groził?

– Zos... ta... wił mnie, kiedy... zabrali mi... moc – wyjęczała Olka, a Sara zeszywniała na moment. Zabrali moc? Aleksandra szarpnęła się, omal udało jej się wyrwać. Wściekła czarownica rąbnęła ją łokciem w głowę, po czym znów postarała się unieruchomić ręce dziewczyny. Zabrali moc. To dało się zrobić: z wielkim trudem i nie w każdym przypadku. W teorii można było też to cofnąć. I to wyjaśniałoby brak jakichkolwiek zabezpieczeń, brak walki... tyle że...

– Uznali cię za aż tak niebezpieczną? – wymruczała. Nie słyszała o tym, ale też do teraz nie interesowała się losem tych, którzy wzięli udział w Paradzie. To nie stanowiło jej sprawy. Publicznie poinformowano o wydaleniach z uczelni, o zakazie praktykowania, o nałożeniu pieczęci...

Aleksandry nikt nie sprawdzał zbyt dokładnie jako potencjalnej ofiary, bo nie było już mocy do odebrania wraz z sercem. Nie mogła też właściwie odprawić rytuału. Chłopak leżący w przedpokoju, zdolny zaledwie do skrzescania paru iskier, też nie powinien być w stanie tego zrobić – ale być może ta dwójka o tym nie wiedziała.

– Po co, do cholery, próbowałaś pożerać cudze serca?! Odpierdoliło ci?! – wrzasnęła wściekła czarownica, bo skoro Aleksandra nie miała mocy, żadną miarą nie mogła być tą, która pośredniczyła we wzywaniu duchów.

– Chciałam odzyskać moc – wydyszała Aleksandra. – Chcę moją magię z powrotem!

– Duchy. Cholera, jak przywołałaś tyle duchów? – Bo może był jednak sposób. Może jej przyjaciel, który był chyba tym Kacprem, dysponującym zaledwie okrucieństwem mocy, zawarł jakąś umowę, przyzwał coś spoza światów. Może Tomek przekazał jej więcej informacji. Olka nie próbowała się już wyrwać, szlochała, z twarzą wciśniętą w dywan, a Sara czuła coraz większą złość i wstyd, że ktoś tak żalosny, ktoś tak słaby, omal jej nie zabił.

– To nie ja, to nie ja – powtarzała dziewczyna.

Duch chłopca stał na progu, przypatrując się tej scenie.

Jego twarz niczego nie wyrażała.

# ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

## BAJKA O CZARNOKSIEŻNIKU

Sara odzyskała własne łóżko i – co ważniejsze – dostęp do bieżącej wody i czystych ubrań. Przynajmniej na razie. Roman wcale nie był zadowolony z odnalezienia sprawców i upierał się, że to jakiś sprytny podstęp. Sugerował między innymi, że Pierwsza zmusiła ich do zeznań torturami (co właściwie nie było tak dalekie od prawdy, ale przecież nie kazała im przyznawać się do niczego, czego nie zrobili), a potem nawet, że zdołała jakoś opanować ich wolę.

Jak na przewodniczącego Łoży Magii, Roman Wawrzyniec<sup>6</sup> naprawdę nie potrafił z godnością przyjąć porażki.

Aleksandra miała motywy i miała możliwości. Wyglądało na to, że zwyczajnie zdołała nakłonić Tomasza na spotkanie. Rafał zgodził się z nią porozmawiać w zaparkowanym przed blokiem aucie. Michał sam przyszedł w wizytą. Nie było opętania, nie było żadnych śladów aktywności magicznych bytów – wszystko robiła sama, z pomocą Kacpra, który prawie nie potrafił czarować, ale za to był dość silny, by pomóc z ciałem i dość bogaty, by wspomóc dziewczynę finansowo. Zbrodnie nie miały w sobie niczego nadnaturalnego... i tego chyba nikt nie oczekiwał. Och, no dobrze, niczego poza nieudanymi eksperymentami z wrywaniem serc.

Zemsta, powód, który Sara naprawdę dobrze rozumiała, tego ostatniego nie usprawiedliwiała.

Cała sprawa byłaby zakończona, gdyby nie jeden drobny szczegół: duchy ani myślały zniknąć. Prędzej czy później Roman zorientuje się, że wciąż coś jest nie tak. I na pewno spróbuje obwinić o to ją. A Sara nie miała już pomysłu, gdzie szukać – ani przez chwilę nie przeszło jej na myśl, że te dwie sprawy mogą nie być ze sobą powiązane. Splatały się od samego początku i nie brała nawet pod uwagę, że znalezienie mordercy może tego wszystkiego nie zakończyć.

– Obiecałaś mi bajkę – upomniał się duch, gdy po długiej, wyczerpującej rozmowie z Lidią i Romanem, pozbyciu się z pokoju Juliana, prysznicu i przelaniu

pieniędzy na konto Rybaka, zmęczona padła na łóżko. Chciała jedynie spać: jednak cudza obecność, nawet niematerialna, nie pozwalała jej zamknąć oczu.

– Nie zasłużyłeś – burknęła. – Jutro. Idź sobie, teraz chcę się wyspać.

– To ja ci opowiem bajkę. Na dobranoc.

– Nie chcę twoich bajek – parsknęła Sara, naciągając sobie kołdrę na głowę. Było już mocno po północy, a po tym wszystkim naprawdę potrzebowała chwili odpoczynku. – Daj mi spać.

– Spodoba ci się – obiecał chłopiec. Głos zabrzmiał bliżej niż wcześniej, najwidoczniej usiadł przy łóżku. – Był sobie raz czarodziej, najpotężniejszy spośród wszystkich w całym kraju. Nie bał się nikogo i niczego, i ciągle chciał więcej: więcej mocy, więcej wiedzy, więcej władzy. Eksperymentował, szukał, czytał księgi i nawet nagiął do swojej woli parę stworzeń, do których żaden czarodziej zbliżyć się nie powinien. Ale on naprawdę był potężny.

– I bardzo głupi, w takim razie. To koniec? – spytała z nadzieją, wyłaniając się spod kołdry. Chłopiec przecząco pokręcił głową.

– Nie. To dopiero początek. Czarodziej zdobywał moc, zdobywał wiedzę i władzę, i w końcu był najsilniejszy nie tylko w całym kraju, ale też prawie na całym świecie. Przynajmniej tak lubił o sobie myśleć. Przeżył wiele przygód, o których potem opowiadano baśnie i legendy. A gdy już nie mógł spotkać nikogo, kto byłby mu równy, a żadne wyzwanie nie było prawdziwym wyzwaniem, gdy demony spełniały jego rozkazy, a inny magiczni drżeli na dźwięk jego imienia bądź uwiedzeni potęgą przysięgali mu służbę, umyślił sobie, że pokona samą śmierć.

Podparła się o wezglowie łóżka i przyciągnęła kolana do klatki piersiowej. Baśń brzmiała trochę jak te, które kiedyś sama opowiadała Julianowi, niepokojąco przypominała historie zapisane przez pana Borgię. Baśnie, które były prawdziwe.

To nie bajka – przeszło jej przez myśl. Wiedziała, że zna imię tego czarodzieja, który później został czarnoksiężnikiem.

– Jak to zrobił? To wie tylko on, ale zdołał osiągnąć swój cel: pokonał śmierć na wiele różnych sposobów. Ale pani Śmierć jest zazdrosna i nie lubi, kiedy ktoś wydziera jej ofiary. A czarodziej ożywiał umarłych, często przyzywał potężne moce i w swoim zadufaniu nie zauważał, że zostają po nich ślady. Że gdy odchodzą, to nigdy nie do końca. Przylepiały się do niego i coraz bardziej oblepiały miasto, z



którym był za mocny związany, by jego przemiana pozostawała bez wpływu na nie...

– Przestań.

– Aż wreszcie nie zamknął do końca otwartej bramy – kontynuował chłopiec, jakby jej nie usłyszał. – Magia pleniła się, nieopanowana. Ktoś musiał ją powstrzymać i zapłacić za to. Pani Śmierć radośnie sięgnęła po czarodzieja. Wtedy została pokonana po raz ostatni: umknął przed nią daleko, daleko, do innego świata, zamykając jednocześnie wszystkie drzwi. Nie wiedział tylko, że oszukał i sam siebie, bo gdy później chciał wrócić, nie potrafił już znaleźć drogi. Podoba ci się moja bajka, czarownico? Wiesz, że niektóre historie wracają wciąż i wciąż od nowa? Czarnoksiężnik nie był pierwszy. Nie był też ostatni...

– Skąd ją znasz? – spytała powoli, przeciągając sylaby. Lewa dłoń powoli wślizgnęła się pod poduszkę, szukając rękojeści sztyletu. We śnie zdołał zranic ducha. Czy podobnie będzie w rzeczywistości? Chłopiec opierał się wszystkim innym próbom wygnania...

– Ta opowieść mieszka w lustrach – odparł niezrozumiale. – Dobrej nocy, czarownico.

Obdarzył ją uśmiechem i rozpląnął się w powietrzu, ale cała wcześniejsza senność Sary znikła. Długo jeszcze leżała na łóżku, wpatrując się w ciemność.

\*\*\*

Nawet nie próbowała okiełznać włosów. Były zbyt krótkie, aby ułożyć z nich jakąś sensowną fryzurę i za długie, aby na głowie bez wysiłku utrzymywać względny porządek. Kilka razy tylko przeciągnęła ciemne pasma szczotką, a makijaż ograniczyła do czarnych linii wokół oczu. W połączeniu z bladą cerą i czerwienią ust, sprawiało to, że wyglądała na trochę starszą niż zwykle. I nadmiernie zafascynowaną mrokiem, ewentualnie gotykiem czy wampirami.

Przez chwilę kusiło ją, by założyć jeansy albo wojskowe spodnie, ale Julian pewnie przez taki wybryk najpierw dostałby apopleksji, a potem postanowił wreszcie nieodwołalnie uśmiercić swoją nadworną czarownicę. Ludzie zazwyczaj podejrzewali, że Sara ubiera się w taki sposób, bo nie znosi sukienek lub chce coś zamanifestować. Mieli rację jedynie po części. Nie żywiła głęboko zakorzenionej niechęci do eleganckich ubrań – jeansy były zwyczajnie wygodniejsze, a ubierała się tak w dużej mierze dlatego, że w związku z pełnionym stanowiskiem, oczekiwano od niej czegoś zupełnie innego. Tego rodzaju przekora, chociaż

przystająca bardziej zbuntowanej nastolatce niż dorosłej czarownicy, stanowiła nieodłączną część charakteru Sary.

Teraz pewnie wszyscy spodziewali się po niej czerni. Właśnie dlatego ostatecznie wybrała czerwień.

Nie miała ochoty na udział w balu sylwestrowym Juliana. Zgodziła się jednak pójść na ten kompromis i pojawić choćby na chwilę, a obietnice czarownic coś znaczą. Ponadto teraz stanowiło to swego rodzaju manifestację. Patrzcie, jestem tu, chociaż wasz przewodniczący oskarżał mnie o szaleństwo i morderstwa. Złapałam tę wariatkę, która strzelała do ludzi, a niektórym wrywała serca! Strzelała do mnie, a ja połamałam jej palce. Hura, Pierwsza znów ratuje sytuację. Nie zwracajcie uwagi na te duchy, wciąż pałające się po mieście nocą, to tylko drobna niedogodność...

Po wejściu do sali balowej, można było odnieść wrażenie, że przypadkiem zabłąkało się na plan najnowszej adaptacji baśni o Królowej Śniegu. Zatrudniona przez Juliana firma za pomocą rekwizytów, dekoracji i magii sprawiła, że z sufitu zwisały stalaktyty, ściany pokrywały śnieg i lód, iskrzące w świetle magicznych kul, a stoły i krzesła umieszczone pod jedną ze ścian wyglądały jak wyrzeźbione w lodzie. Złudne wrażenie, oczywiście. Śnieg nie był prawdziwy, a w pomieszczeniu utrzymywała się dodatnia temperatura. Sarze wystarczyło rozejrzeć się wokół, by stwierdzić, że król tym razem chciał wyrzucić wrażenie na gościach. Zazwyczaj stawiał raczej na elegancką prostotę. Być może stanowiło to element strategii odwracania uwagi od ostatnich wydarzeń. W środku pomieszczenia znalazło się nawet miejsce na lodową fontannę, w której zamarzała woda.

Dekoracje Juliana wywarły na Sarze nieco upiorne wrażenie. Przez chwilę przypatrywała się temu wszystkiemu, a oczyma wyobraźni widziała Wawel skuty lodem, ulice zasypane śniegiem i zamrożone budynki. Myślała o duchach powracających zza grobu, o snach, o Lustrze Twardowskiego, czarnoksiężniku w tramwaju, śmierci na śniegu i przebudzeniu na kościelnej ławce. Warunki nie sprzyjały jednak zamyśleniu. Na sali roilo się od gości, orkiestra grała na podwyższeniu, muzyka mieszała się ze szmerem rozmów. W tym roku na salonach święciła triumfy nowa moda na suknie mieniące się różnymi odcieniami danej barwy i choć otaczała ich biel, na parkiecie roilo się od kolorów. Sara, w prostej sukni o jednolitej barwie, nie rzucała się specjalnie w oczy, ale wiedziała, że niektórzy odnotowali jej pojawienie się.

Szalona wiedźma jego królewskiej mości, po której można spodziewać się tylko kolejnego skandalu. Sumiennie zapracowała sobie na złą opinię i wiedziała, że gdy goście na nią spoglądają, zastanawiają się, czy nie szykuje czegoś paskudnego. Oficjalne uroczystości z jej udziałem pięciokrotnie zakończyły się wyzwaniem na pojedynki, a jeszcze częściej dochodziło do nieprzyjemnych wymian zdań. Czasem winny był ktoś inny, czasem ona, czasem obie strony po równi. Może gdyby miała w sobie nieco więcej pokory, gdyby potrafiła choć odrobinę współpracować, obecna sytuacja byłaby łatwiejsza. Wiedziałaaby do kogo się zwrócić, komu przyznać, że sprawa wcale się nie skończyła, że nie chodzi tylko o duchy. Nie każdy na tej sali byłby potencjalnym rywalem. Mogłaby uzyskać pomoc.

Ale Sara Weronika Sokolska nie umiała i nie chciała o nią prosić.

Podoba ci się moja bajka, czarownico?

– Spodziewałam się raczej, że wybierzesz czerni.

Lidia nadeszła, gdy Sara, podpierając się o oblodzoną kolumnę, obserwowała króla tańczącego z najnowszą kandydatką na królową. Przynajmniej wedle prasy, bo czarownica miała dziwne wrażenie, że mimo upływu czasu Julian nie zdołał do końca wyleczyć się z uczuć wobec świętej pamięci panny Niepołomic.

– Nie lubię być zbyt przewidywalna, Lidko – odmruknęła, unosząc do ust kieliszek. Szampan rozlał się na języku, a w głowie Sary zrodziło się pytanie, jak wielka afery wybuchłaby, gdyby upiła się na królewskim balu. Bogowie jej świadkami, że miała na to wielką ochotę.

– Coś sugerujesz? – Biała Czarodziejka zmrużyła błękitne oczy. Ona również nie zdecydowała się na podążenie za najnowszą modą, choć jej suknia zdecydowanie zwracała uwagę. Wyglądała, jakby utkano ją z płatków śniegu, w czym zapewne spory udział miała magia. Blond loki czarodziejka rozpuściła, iskrzyły się w nich lodowe gwiazdy. Makijaż, znów wbrew obowiązującej modzie, ograniczyła do srebrzystego cienia do powiek. Patrząc na Skibińską w lodowym otoczeniu, można było odnieść wrażenie, że oto jest Królowa Śniegu na swoich włościach.

– Ja? Gdzieżbym śmiała! Wiesz, że biel strasznie łatwo się brudzi?

– Ubrania można wyprać – stwierdziła rzeczowo Lidia. Sara wykrzywiła usta w pogardliwym uśmiechu, odstawiając pusty kieliszek na tacę niesioną przez

przechodzącego obok kelnera. Nie, to nie biel ubrań miała na myśli. – Myślałam nad pewną sprawą.

– Doprawdy? Doszłaś do jakichś fascynujących wniosków?

– Nawet kilku, ale nie wszystkimi się podzielę. – Uśmiech, jakim Lidia obdarzyła kelnera, był uroczy i chłopak, nim odszedł, odruchowo też odpowiedział uśmiechem. W przeciwieństwie do Sary, Biała Czarodziejka umiała postępować z ludźmi. – Obie wiemy, że ani Aleksandra, ani ten biedny Kacper nie mogli nas zaatakować w Parku. Jedyne, co potrafi chłopak, to parę prostych iluzji. Pomocne przy dokonywaniu zbrodni, ułatwia sprawianie wrażenia, że wlecze pijanego kolegę, nic więcej.

– Powala mnie twoja logika – skwitowała sucho Sara. Oficjalnie sprawa została zamknięta, ale czarownica nawet przez chwilę nie liczyła na to, że Lidia i Krystian nie dostrzegą, że coś tutaj nie gra. – Nie, to nie mogli być oni. Ba, być może coś wpłynęło na Aleksandrę.

Niekoniecznie. Ludzie byli zdolni do najdziwniejszych, najbardziej bezsensownych zbrodni, a dziewczyna miała niezły motyw. Profesor, który zdecydował o tym, że stanie się kozłem ofiarnym. Policjant, który ją ujął. Ukochany, przez którego wplątała się w tę sprawę, będący też szansą na odzyskanie mocy. Znajomy, odmawiający pomocy. Czarownica, która narobiła zamieszania i miała dość magii, aby jej serce mogło zwrócić utracone zdolności. Zemsta, złość, pragnienie. Potężna motywacja.

– Cóż, wszyscy dostali to, czego chcieli. Zabójczyni i jej współnik schwytani

– mruknęła Sara, przesuwając dłonią po kolumnie. Sztuczny lód był suchy i ciepły w dotyku. Nienaturalny.

– Może poza Romanem. On chciałby twojej głowy, niekoniecznie w koszyku piknikowym – rzuciła lekkim tonem Lidia. – Szkoda, że Krystian nie chce przyjąć stanowiska przewodniczącego. Powtarza, że za często musiałby udzielać wtedy wywiadów.

– Nie obwołano by go przewodniczącym. – Za bardzo starał się nie pokazywać wszystkich swoich możliwości, żeby większa liczba członków Łoży na poważnie rozważała jego kandydaturę. A jemu, Sara była tego pewna, taki stan rzeczy odpowiadał. Chmielewski należał do ludzi, którzy woleli pozostawać choć częściowo w cieniu. – Do czegoś zmierzasz?

– Może po prostu czerpię przyjemność z konwersacji? – zakpiła Skibińska. – Co masz zamiar zrobić z tymi duchami?

– Plan zakłada odegnanie każdego z osobna, po kolei – odparła pozornie obojętnie Sara. Choćby nie wiedzieć jak chciała, nie zdołałaby zrobić tego sama, zwłaszcza, że pewnie w wielu przypadkach konieczne będzie niszczenie ciał. – Jego wysokość już wysłał stosowną notę na Uniwersytet i do sekretarza Łoży.

– Wedle wersji dla mas, winni wszystkiemu są Aleksandra i Kacper. Dla tych lepiej poinformowanych, to efekt uboczny jej zabawy z wyrywaniem serc. – Lidia bawiła się kieliszkiem z białym winem, obserwując gości. Mówiła cicho, stojąc tuż przy boku Sary: ewidentnie nie chciała, aby ktoś usłyszał zbyt wiele. – Kto za to wszystko odpowiada naprawdę, Piekielnico?

– Skąd wniosek, że to wiem, Lidko?

To było właśnie najgorsze. Nie wiedziała, a opowieść chłopca odbijała się echem w jej głowie. Naruszenie granic pomiędzy śmiercią a życiem, uchylone drzwi. Twardowski, który uczynił to pierwszy, i którego teraz spotykała w snach i na jawie.

– Zawsze wiesz więcej, niż mówisz.

– Jak my wszyscy – odparła sucho Sara. Wiedza w ich świecie była cenniejsza niż złoto. Nawet jeśli magii uczono już na uniwersytetach i publikowano monografie na temat zaklęć i rytuałów, niektórzy wciąż pilnie strzegli pewnych formuł i tajemnic. Informacje na temat innych ludzi mogły stać się walutą, zapewnić wpływy czy przysługi.

Obie umilkły na chwilę, gdy obok znów przechodził kelner. Sara porwała z tacy kieliszek z czerwonym winem. Kiedy upiła łyk, przez ułamek sekundy mogłaby przysiąc, że właśnie napiła się krwi: ale nie, to było zwykłe wino. Ot, kolejny omam, wytwór wyobraźni.

– Ale ty jedna potrafisz targować się z demonami. Jak dla mnie ta cała ciemność wyciekająca z ziemi całkiem przypominała demoniczną aktywność. Powiedz, Piekielnico, czy nie odwiedzałaś ostatnio pewnego koguta?

Czarownica mocniej zacisnęła palce na szkle i zaistniała realna groźba, że to pęknie jej w dłoni. Zmusiła się do zachowania spokoju.

– Nie, Lidko. Za to wiem, że ty próbowałaś tam zejść przed kilkoma tygodniami. Czego u niego szukałaś? Nieprzeliczonych skarbów? Sądziłam, że twoja rodzina ma dość pieniędzy.

Zatruta strzała tym razem sięgnęła celu. Policzki Skibińskiej zaróżowiły się lekko. I tak wytrzymała długo, nim wreszcie ciekawość czy może pragnienie stały się nie do opanowania. Zdradzono jej, jak znaleźć demona, powierzono jego imię, klucz do potęgi, jaką władał. Z początku powstrzymywały ją strach i rozsądek, ale pewnego dnia coś popchnęło kobietę ku tajemnemu przyjsciu, ku podziemnym korytarzom.

Sara wiedziała, że tak będzie. Jeśli nawet nie zrobiłaby tego Lidia, prędzej czy później znalazłby się ktoś inny. I dlatego, gdy Biała Czarodziejka próbowała zejść do podziemi, odkryła, że te zostały zawałone, a czary, już wcześniej broniące przejścia, wzmocniono. Magia i gruzy broniły kryjówki diabła z Krzysztoforów.

– Byłam ciekawa, co może mi powiedzieć.

– Wszystko, co tylko zechcesz. Po prostu wiele zabrałby w zamian – stwierdziła Sara. – Zmieniłby cię. Tak sprytnie, że nie zauważyłabyś niczego, póki nie byłoby za późno.

– Niby w jaki sposób? – parsknęła Lidia, Sara mogła jednak przysiąc, że to tylko poza. Biała Czarodziejka wyjątkowo nie zlekceważyła jej słów. Być może – tylko być może – naprawdę mogłaby zostać Pierwszą i nie skończyłoby się to tragedią.

– Skąd mam to wiedzieć? Może zaczęłabyś mu służyć, może by cię zabił, może zabrał wszystko, co sprawia, że jesteś sobą. Może stałabyś się zła do szpiku kości. A może tylko taka, jak ja.

– Niedoczekanie. Poza tym mam lepszy gust, jeśli chodzi o ubrania – skwitowała Lidia po chwili milczenia, podpierając się o lodową kolumnę z drugiej strony. Sara w odpowiedzi tylko się uśmiechnęła. Obserwowała iskrzenie zamrożonej wody w fontannie. Na sali prowadzono w tym momencie dziesiątki rozmów, z których część była zupełnie błaha, a część mogła wpłynąć na losy całego państwa. Ukradkiem przypatrywano się królowi i jego partnerce – jutro w brukowcach zaroi się od spekulacji odnośnie potencjalnych zaręczyn. Przez chwilę prawie współczuła Julianowi, którego każdy krok śledził praktycznie cały kraj.

Z różnobarwnego tłumu odłączył się Krystian, mało rzucający się w oczy, w swoim szarym, nudnym garniturze. Zmierzał w stronę kobiet, stojących przy lodowej kolumnie. Nieświadomie przybrały podobne pozycje, podparte o filar, sącząc wino z wysokich kieliszków. Ale już nawet barwa trunków się nie zgadzała.

Chmielewski zawsze zastanawiał się, czy Lidia po prostu woli białe wino, czy to kolejny element jej starannie zaplanowanego wizerunku. Skibińska niewiele rzeczy pozostawiała przypadkowi. Była bez wątplenia jedną z najbardziej efektownych kobiet na sali: starannie ufryzowane loki opadały luźno na plecy, naszyjnik skrzył się od magicznego światła, pantofelki wyglądały jak wykonane z nieprzezroczystego szkła, suknia – jak stworzona ze śniegu. Biała Czarodziejka musiała wcześniej dowiedzieć się, w jakiej scenerii odbędzie się bal noworoczny i dostosowała do niej wybór stroju. Mogłaby z powodzeniem uchodzić za władczynię, bardziej królewska niż sam król. Tym mocniej kontrastowała z ciemnowłosą, rozczochraną Sarą, bez biżuterii, w czerwonej, krótkiej sukni. Czarodziejka ze starych baśni, czarownica zaprzeczająca całą sobą bajkowym wizerunkom.

Czasem jednak Krystian miał wrażenie, że dostrzega między nimi pewne ulotne podobieństwo charakterów, choć obie pewnie wydrapałyby mu oczy za samą sugestią. Z drugiej strony, może właśnie w tym tkwiła analogia, jaką zauważał?

– Lidio. Wyglądasz olśniewająco – powitał Skibińską z uśmiechem. – Wybacz, chciałem porwać twoją rozmówczynię, ja i nadworna czarownica musimy uciąć sobie małą pogawędkę.

– Musimy? – zdziwiła się szczerze Sara. Pogawędki z Chmielewskim, które zawsze wiązały się z jakimiś nieprzyjemnymi wieściami, były na jej liście rzeczy do zrobienia tylko o oczko wyżej od kąpielii w basenie pełnym piranii.

– Musimy – uciał stanowczo Krystian, bezceremonialnie zabierając czarownicy wino i kiwając ręką na jednego z kelnerów krążących po sali z tacami. Złe przeczucia Sary zostały potwierdzone już kolejnym zdaniem, które wypowiedział czarodziej, ciągnąc ją za nadgarstek na parkiet. – Odkryłem, że przynajmniej trzykrotnie w historii odnotowano podobne przypadki.

Nie była zdziwiona, że zdołał dotrzeć do jakichś zapisków, których ona nie zdobyła. Miał pod tym względem znacznie większe możliwości, poza tym jej brakło czasu nawet na przetrząśnięcie dokładnie archiwów zabezpieczonych kiedyś przez Kalinę. Krystian gromadził okruchy wiedzy, zarówno magicznej, jak i tej o znanych sobie ludziach, niczym najcenniejsze skarby.

– Nie zapytasz, jakie konkretnie? – spytał, gdy długo nie odpowiadała.

– Po co, sam chcesz mi powiedzieć – odparła, odruchowo starając się dostosować krok do kroku Chmielewskiego. Nie tańczył dobrze, miał też

problemy z prowadzeniem. Nie należał do osób często pojawiających się na przyjęciach i mogła iść o zakład, że nigdy w życiu nie przestąpił progu żadnego klubu.

– Czynisz z bycia nieznośną prawdziwą sztukę – stwierdził bez choćby odrobiny złości w głosie, i czy to niechcący, czy w ramach nauczki, nadepnął jej na stopę. – Istnieją zapiski o tym, że duchy pojawiały się w pewnym miasteczku w Stanach w okresie polowań na czarownice. Ostatecznie cała wioska została spalona, prawdopodobnie przez jakiegoś maga, większość mieszkańców zginęła, a duchy same znikły.

– Część „duchy same znikły” mi się podoba, ale ta z pożarem już mniej – oceniła, w zemście za drugie przydepnięcie wbijając obcas w jego but. Krystian skrzywił się, co dawało sporą satysfakcję. Zazwyczaj, gdy rozmawiali, pozostawał niematerialny, a co za tym idzie, także nietykalny.

– Baśń pana Borgii o panu nawiedzonym zamku także wydaje się mieć swoje źródła w prawdziwych wydarzeniach.

Drgnęła, zmyliła krok, zaraz jednak znów odzyskała poczucie rytmu, a zdeptana kolejny raz, po prostu przejęła prowadzenie. Znała wszystkie te historie na pamięć, a nie zdołała skojarzyć tej konkretnej z obecnymi wydarzeniami.

– Był sobie raz zbójca, który zawarł umowę z mrocznymi istotami. Wzniósł dla niego zamek z ciemnego kamienia, potężny i niezdobyty – zacytowała mimowolnie, wściekła na samą siebie. Historia, jak większość baśni spisanych przez Borgię, nie kończyła się optymistycznie, a jej zakończenie w połączeniu ze słowami wypowiedzianymi przez ciemnowłosego chłopca sprawiło, że Sarze zrobiło się niedobrze. – Na końcu duchy porywają jego duszę.

– Jakiś czas temu zacząłem śledzić źródła tych baśni. – Zapewne powodowany słowami, które sama do niego skierowała. – Są mocne podstawy, żeby sądzić, że w obecnie już nieistniejącym zamku w Irlandii, kiedyś zaistniał podobny problem. Nie da się dowiedzieć zbyt wiele, to było ponad tysiąc lat temu. Ale jest coś jeszcze. W szesnastym wieku kilka duchów pojawiło się w Krakowie. Ponieważ mamy mnóstwo legend o czarnych i białych damach w okolicy, nikt nie traktował tych zapisków zbyt poważnie.

Jeśli napomknięcie o baśni o nawiedzonym zamku ją zaniepokoiło, to te słowa były jak cios pięścią prosto w żołądek. Na początek szesnastego wieku przypadła bowiem okres najbardziej intensywnej aktywności Mistrza Twardowskiego. Nie



odpowiadała, mechanicznie wykonując kolejne kroki, nawet jeszcze w kilka sekund po tym, jak umilkła muzyka.

...duchy porwały jego duszę...

...zginęła część mieszkańców...

...Pani Śmierć sięgnęła po czarodzieja...

– Potem po prostu znikły. Brak jakichś przesłanek o tym, że były szkodliwe. Zresztą, nikt się nimi specjalnie nie przejmował, mieli akurat epidemię i parę innych problemów, a w dodatku wynikła ta cała afera z Twardowskim. Istnieje więc szansa, że sytuacja unormuje się nawet bez naszej ingerencji, choć rzecz jasna i tak lepiej spróbować się ich pozbyć... Piekielnico, coś nie tak?

Sara stała, jak wrośnięta w ziemię, ani nie schodząc z parkietu, ani nie tańcząc, chociaż orkiestra zaczęła grać kolejny utwór. Powoli wyplątała dłoń spomiędzy palców Krystiana. Coś nie tak, Piekielnico? Wszystko.

– Nic. Zupełnie nic – odparła. Elementy układanki powoli wskakiwały na swoje miejsce: i był ktoś, kto przecież pamiętał wiek XVI, kto pamiętał Jana Twardowskiego, kto mógł odpowiedzieć na jej pytania. – Szczęśliwego Nowego Roku, Krystianie.

Odwróciła się i zniknęła mu z oczu gdzieś w tłumie.

\*\*\*

W smoczej jamie o tej porze roku powinien panować ziąb, ale przy leżu Smoka regularnie wymieniano magiczne kamienie, generujące ciepło i wypełniające jego jaskinię błękitnym blaskiem. Wprawdzie doskonale widział w ciemnościach, nie lubił jednak chłodu i gdy temperatura robiła się zbyt niska, zapadał w letarg.

Smok Wawelski był istotą pochodzącą z innych czasów, ukształtowaną przez dawną magię. Był też jednym ze strażników miasta, jedynym, o którym wiadomo powszechnie – potężna, ziejąca ogniem bestia wychodziła ze swego leża rzadko, gdy jednak już to robiła, siała spustoszenie. Przez setki lat swego żywota Smok widział i słyszał wiele. Jego wiedza mogłaby zawstydzić i zadziwić chyba wszystkich uniwersyteckich profesorów. Kiedyś Sara lubiła go odwiedzać – aż do chwili, gdy odkryła, że Smok wie zbyt wiele także o niej samej.

– Zastanawiałem się, kiedy wpadniesz, Saniko.

Przylgnęła do kamiennej ściany, jakby chciała zlać się z nią w jedno. Potężny kształt poruszył się, Smok powoli zmieniał pozycję, by usiąść. W przytłumionym, niebieskim blasku zalśniły jego żółte, gadzie ślepie, światło odbijało się w łuskach.

– Prawie brakowało mi naszych pogawędek – dodał.

– Mam czuć się zaszczycona? – spytała sucho. Wiedziała, że w pewnym sensie właśnie tak powinno być. Z punktu widzenia smoka życie śmiertelników trwało krótko. Nawet długa egzystencja najpotężniejszych czarodziei dla niego była zaledwie jedną chwilą. Żaden człowiek nie mógłby stać się dla rezydenta smoczej jamy prawdziwym towarzyszem i przyjacielem: dzieliła ich przepaść, i to nie dlatego, że smok miał kilka metrów wzrostu i zionął ogniem.

– Prawdopodobnie – przyznał nieskromnie. – Byłem z tobą szczerzy, Saniko. Żałuję, że właśnie ta szczerzość nas poróżniła. Może powinienem był milczeć?

Sara zacisnęła zęby. Przez chwilę czuła się niemal jak skarcone dziecko. Nie możesz znieść odrobiny prawdy, czarownico? Wolałabyś wysłuchiwać kłamstw? Nie patrzyła na Smoka. Podpierała czoło o ścianę, oczy miała przymknięte.

– To Kalina powinna była milczeć.

– Dlaczego? Uważasz, że była ci coś winna?

– Nie, do cholery – warknęła czarownica. Dławiła ją wściekłość na samą myśl o Kalinie Czerwonej Iskrze. Takiej pięknej, takiej potężnej. Takiej sprytnej. Urodzonej intrygantce. – Oszukała mnie więcej razy, niż mogę zliczyć. Wykorzystała. Ale nic nie była mi winna, ja nie jestem nic winna jej. Nie jestem nic winna nikomu.

– Tak sądzisz, Saniko? – wymruczał Smok. Błękitne światło magicznych kamieni przygasło, włosy Sary poruszyły się pod wpływem lekkiego podmuchu wiatru. – Pierwsi są winni obronę tej krainie... a przede wszystkim temu miastu.

– Broniałam go przez całe lata – odparła. – Może już wystarczy?

– Poznałem wielu Pierwszych. Mężczyzn i kobiety, władających różnymi rodzajami magii. Wszystkich, których mogę uznać za prawdziwych, łączyło tylko jedno. Zgadniesz, co takiego?

– Żaden z nich nie zrezygnował – odpowiedziała martwym głosem Sara. Nie porzucali służby, nie przechodzili na emeryturę. Większość ginęła, nim ich siły podupadły na dobre, nim ciała zaczynały odmawiać posłuszeństwa. Nie dlatego, że nie mogli odejść. Nie chcieli. Z początku sądziła, że gdy uporządkuje cały ten bałagan, gdy władza Juliana się umocni, wycofa się. Ta myśl towarzyszyła jej przez pierwsze tygodnie, w końcu jednak Sara przestała oszukiwać samą siebie. Nie odeszła dotąd nie z poczucia obowiązku czy dobroci serca, nie z przywiązania do

zbyt wcześnie koronowanego króla nawet, a dlatego, że trzymały ją tu silne więzy.

– Oprócz... jednego, który odszedł na drugą stronę lustra...

– Jan – Smok westchnął, a jego ciepły oddech owionął Sarę. Mocno zacisnęła szczęki. Oto był powód, który sprowadził ją do podziemi. Czarnoksiężnik z halucynacji, ze snu, z baśni ducha. Gromadziła zapiski i opowieści, ale tutaj, pod Wawelem, żył ten, który go pamiętał. Który zapewne wiedział, co popchnęło go do odejścia. – Przez dobre trzysta lat przed nim nie było w Krakowie nikogo równie potężnego. I nikt taki nie nadszedł długo po nim. Umysł miał ostry jak brzytwa, w ludziach i bez magii czytał jak w książkach. Był silny, ale też szaleńczo ambitny, pewny siebie, zachłanny. Wyobraź sobie, że raz zdołał ukraść mi łuskę do swoich eksperymentów...

– I mamy powód, dla którego uciekł na drugą stronę lustra.

Smok poruszył się. Czarownica musiała zmusić się do stania spokojnie. Nigdy nie uważała go za wroga, lecz gdy drapieżnik tej wielkości powoli podchodzi do człowieka, chęć ucieczki jest naturalną reakcją.

– Czy gdyby pytał mnie o ciebie i o twoją śmierć, chciałabyś, żebym odpowiedział?

– On mnie nie interesuje – syknęła. – Nie interesowałby. To on próbuje wejść mi do głowy. To on chciał... sama nie wiem. Schwytać mnie w jakąś pułapkę. To on teraz próbuje mnie przekonać, że powinnam iść w jego ślady!

To, albo oszalała już do końca, a jej obłąd miał ciemne oczy Mistrza Twardowskiego. Głęboko wciągnęła powietrze. Wiedziała, że bestia siedzi tuż za nią, na plecach czuła jej oddech. Gdyby Smok zechciał, mógłby teraz przegryźć ją na pół. Tknięta tą myślą odwróciła się gwałtownie, podpierając o ścianę tym razem plecami, spojrzała prosto w złociste ślepia.

– Spokojnie, Saniko. Boisz się, że spróbuję zakończyć twoje życie? – spytał niemalże łagodnie. – Jan Twardowski, dawno, dawno temu, omal nie zniszczył całego miasta w pogoni za potęgą. Naruszył równowagę pomiędzy światami. Gdyby chodziło o jakiekolwiek inne miejsce, pewnie porzuciłby je bez żalu i bez zastanowienia. Ale to była jego słabość, słabość was wszystkich, którzy zostaliście Pierwszymi: kochał Kraków. To też część obrony miasta, zapewniająca, że strażnik nie zdoła zmienić strony. Nie mógł uratować stolicy. Tego mogłaby dokonać tylko jego krew. Ofiara z najpotężniejszego spośród czarodziei, związanego z miastem

jak nikt inny. Druga strona istnienia wyciągała po niego dłonie, próbując przyciągnąć do siebie.

– Ale czarnoksiężnik bał się śmierci – wyszeptała Sara takim tonem, jakby kończyła opowiadać baśń. Coś ścisnęło ją w piersi i miała wrażenie, że za chwilę zabraknie jej tchu. Zaczynała rozumieć, co naprawdę oznacza obecność duchów w Krakowie. – Nie chciał umierać i nie chciał zniszczyć miasta. Stworzył więc świat, w którym był wszechpotężny i nieśmiertelny.

– O tak, po raz kolejny zdołał wszystkich oszukać. Także siebie. Lustrzany świat był w końcu tylko odbiciem. Jan przepadł, przepadła jego moc i wszystko się skończyło. Ofiara w pewnym sensie została złożona. A on żył. Tyle że w fałszywej rzeczywistości.

– Nie ozywiałam zmarłych. Nie wzywałam demonów ani bogów.

Miała ochotę wrzasnąć, że to niesprawiedliwe. Że się na to nie zgadza. Dławiła ją złość i jeszcze jakieś uczucie, którego sama nie potrafiła nazwać. Wiedziała, że to dziecinne i nijak nie może pomóc, ale nic nie mogła na to poradzić.

– Przyzywałeś ducha i by uwięzić tego biednego, zdradzonego chłopca, uwolniłaś potężne moce. Równowaga w mieście i tak była zachwiana. Po ulicach chodzili dawni bogowie i przychodzili ściągnięci do ciebie. A wcześniej przyzwano nocnego króla...

– Nie zrobiłam tego – warknęła. Wezwała ducha, uwolniła jego rycerzy, związała Klause jako kolejnego strażnika, bo musiała to wszystko uczynić. Ale nie ona wpuściła do miasta mroczną magię. Nie ona próbowała dać nocnemu królowi nowe życie.

– To bez znaczenia, Saniko. Ktoś musi zapłacić.

– To nie będę ja.

– Tracisz kontrolę.

Dopiero, gdy zwrócił jej na to uwagę, zrozumiała, że temperatura w jaskini spadła. Podłoże pokryło się szronem, który osiadał też na łuskach Smoka. Sara odetchnęła, zaciskając dłonie w pięści. W przeszłości czarownicy zdarzało się, że magia wymykała się spod kontroli, że nie panowała nad swoimi mocami do końca. Teraz jednak działo się to zbyt często i na zbyt dużą skalę. Otworzyła usta, by zadać pytanie – i zaraz je zamknęła. Sama nie była do końca pewna, co ją powstrzymało. Duma czy obawa przed odpowiedzią?

– Wszystko wokół ciebie szaleje, więc to samo dzieje się z twoją magią – odparł Smok, odpowiadając na niezadane pytanie. – Próbuje cię bronić przed zagrożeniem, które wyczuwasz podświadomie. Powiedz mi, Saniko, nie działy się żadne dziwne rzeczy? Wypadki?

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się we własne dłonie, powoli rozprostowując i zaciskając palce, ściągając ku sobie magię. Chłód nie wpływał dobrze na Smoka Wawelskiego. Myślała o krwi na śniegu, o zielonych światłach, które powinny być czerwone, o ściągającym ją wilku.

– Świat próbuje wrócić do równowagi. Twoja moc przyciąga anomalie.

– Nie będę dobrowolną ofiarą – warknęła nagle. – Nie zamknę przejść swoją krwią. I nie odejdę na drugą stronę lustra, żeby moja magia znikła z miasta, żebym nie istniała w świecie żywych.

– Więc pociągniesz je ze sobą?

Zamrożone budynki. Ludzie umierający z wychłodzenia we własnych mieszkaniach. Pękające rury, zamarzająca Vistula, ptaki spadające z nieba w locie. Samochody znikające pod zaspami. Wawel ledwo widoczny pod śniegiem. Widziała to wszystko oczyma wyobraźni, martwy Kraków, i myśl o tym zdawała się niemal nie do zniesienia.

– Odejdę – powiedziała cicho. Mogłaby przysiąc, że w brzuchu coś się jej skręciło, gdy wypowiedziała te słowa, a aura zamku jakby zamarła. – Skoro równowagę zakłócono tutaj, po prostu odejdę. Niech zajmie się tym ktoś inny.

– Duchy pozostaną. Wciąż będziesz w niebezpieczeństwie. To nie sprawi, że problem zniknie.

– Zmniejszy się! – znów podniosła głos, czując, jak narasta w niej wściekłość. Smok Wawelski usiłował przekonać ją, że powinna umrzeć. Swoją krwią i życiem zapieczętować przyzwane moce. W głębi duszy wiedziała, że nie powinna spodziewać się niczego innego: z jego perspektywy jej egzystencja była zaledwie chwilą. Smok nie przywiązywał się do ludzi, ulotnych, szybko znikających. Dla niego liczyło się jedynie miasto. Gród władców Polanii, równie stary jak on, trwający mimo wojen, klęsk żywiołowych i magicznych katastrof. Bestia była jego obrońcą i ona, Sara, nie miała tu znaczenia. Ludzie rodzili się i umierali, miasto trwało, mury trwalsze były niż ludzkie życie.

Postąpiłaby tak samo. Gdyby wiedziała, że miastu zagraża pojedyncza osoba, nawet całkiem niewinna, zabiłaby ją bez chwili wahania. Zabójstwa i pojawienie

się duchów nie były powiązane – jeśli już to tylko o tyle, że coś mogło popchnąć Aleksandrę do próby zabicia Pierwszej Czarownicy. Nie miała prawa czuć się zdradzona i wściekła. A jednak, tak właśnie się poczuła.

– Uciekniesz? Czy sama nie mówiłaś mi, że czarownice nie uciekają?

– Czarownice czasem muszą dokonać taktycznego odwrotu – warknęła Sara. Nie próbowała walczyć ze złością. Bała się, że gdyby ta opadła, mogłaby zostać zastąpiona przez rozpacz. Odejdzie. Więzy zostaną zerwane, nowe duchy nie będą już pojawiać się tak często, a sama dziwna magia, przestanie aż tak nastawać na jej życie. Ona i miasto pierwszy raz większą szansę na przetrwanie mieli osobno. – Czy to była Kalina? Ona namieszała?

Nie miała zamiaru pytać, a jednak słowa same się wyrwały. Nie był pierwszy, nie był ostatni. Ślady przyłgnęły do miasta, bo był z nim związany. Sara była powiązana z Krakowem i to, co robiła, pogorszyło sytuację. Kto inny mógł zaszkodzić wcześniej, jeśli nie inna Pierwsza? Ta, która skądś zdobyła ten sztylet, ta, która studiowała mroczną magię...

Odpowiedź nie padła. Ale tak naprawdę jej nie oczekiwała. Smok nie lubił wyjaśniać zbyt wiele. Może nie mógł, może nie chciał, a może po prostu nie wiedział dość.

– Cokolwiek uczyniła Kalina, zapłaciła cenę. Co zrobisz ty?

– Przepuść mnie.

Moc wibrowała w koniuszkach palców. Smok górował nad nią, szron powoli znikał ze szkarłatnych, błyszczących łusek. Nie wiedziała, jaką ma szansę w starciu z nim, choć zakładała, że niezbyt dużą. Był ogniem, był brutalną, fizyczną siłą, był strażnikiem Wawelu i Krakowa pewnie jeszcze nim po raz pierwszy przyszła na świat. Nie chciała z nim walczyć i nie sądziła, że zdołałaby w takiej walce zwyciężyć. Mimo to czarownica nie planowała oddać życia dobrowolnie.

– Boisz się mnie, Saniko? – spytał Smok.

– Nie.

Nawet gdyby odczuwała strach, nie potrafiłaby się do tego przyznać. Nie bała się jednak Smoka, chociaż wiedziała, że zapewne pod wieloma względami jest znacznie silniejszy od niej. Ciężko było ją przerazić: teraz obawiała się czegoś zupełnie innego niż smocze zęby i szpony. Obserwowała wielki łeb, czekając aż ten wystrzeli do przodu, w próbie rozerwania jej na strzępy.

Smok odsunął się powoli, umożliwiając Sarze przejście.

– Słusznie – odparł. – Oboje jesteśmy strażnikami. Nie przeleję twojej krwi. Nasza walka mogłaby tylko zaszkodzić.

Powoli wypuściła powietrze z płuc. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że wstrzymywała oddech. Wyminęła Smoka, wciąż spodziewając się ataku. Ten jednak nie nadszedł i bez przeszkód dotarła do wyjścia z leża. Nogi miała miękkie, jakby przebiegła maraton, szła ostrożnie, by nie stracić równowagi na wysokich obcasach.

– Żegnaj, Saniko – przemówił gdzieś za jej plecami. Te słowa w uszach czarownicy brzmiały jak ostateczny wyrok: nie spotkają się więcej. Dlatego, że postanowiła odejść czy też sądził, że zginie?

– Żegnaj, Smoku.

Mimo, że starała się, by brzmiało to obojętnie, w jej głosie słychać było gorycz.

---

<sup>6</sup>Roman Wawrzyniec – czarodziej, przewodniczący Loży Magii w latach 2012-2017. Posiadał talent pozwalający na rozpoznawanie kłamstw. Po zdaniu przywództwa w Loży nie ubiegał się o reelekcję, prawdopodobnie dlatego, że pod sam koniec kadencji wyszło na jaw, że utracił swoją magiczną moc. Był pierwszym przypadkiem naturalnego „wygaśnięcia” zdolności u czarodzieja (patrz: Kompleks Wawrzyńca).

# ROZDZIAŁ JEDENASTY

## I DUCHY PORWAŁY JEGO DUSZĘ

Kiedyś znacznie łatwiej było zmieścić cały majątek do plecaka. Pospieszne pakowanie w noc sylwestrową koło dwudziestej drugiej wymagało decyzji, co zabrać ze sobą, a co zostawić. Sara starała się nie przywiązywać do przedmiotów, ale lata spędzone w Krakowie oduczyły ją przechowywania wyłącznie tego, z czym będzie mogła bez problemów ruszyć w drogę. Czarownica pośpiesznie upychała w plecaku niezbędne rzeczy tak, by zajmowały możliwie mało miejsca. Czerwona sukienka i buty leżały porzucone na podłodze: dokądkolwiek zaprowadzi ją los, raczej nie będzie ich potrzebowała.

Odchodziła tak, jak zawsze – bez pożegnania. Zanim ktokolwiek zorientuje się, że Pierwsza Czarownica znikła na dobre, ona będzie daleko stąd. Gdy wsuwała do kieszeni zwitek banknotów, uderzyła ją myśl, że kiedyś tak przepadła Kalina. Nikt nigdy nie dowiedział się, co spotkało Czerwoną Iskrę. Nie zabrała żadnych rzeczy, nie zostawiła wiadomości. I pewnie kiedyś, dawno temu, tak samo wyglądało to z Twardowskim... Sara zamarła na chwilę, przypatrując się długopisowi leżącemu na stoliku, ale niby co mogłaby napisać? „Przepraszam”? Nie chciała nikogo prosić o przebaczenie. „Odchodzę”? „Życzę szczęścia”? Nie wyjaśni przecież, dlaczego znika. Ani Julianowi, ani nikomu innemu. Nie było żadnych słów do przekazania, niczego, co chciałaby powiedzieć, a czego jeszcze nie powiedziała. Pożegnalne listy nie były w jej stylu.

W końcu, nim wyszła z pokoju, na pierwszej stronie książki z baśniami pozostawionej na blacie, zapisała krótką wiadomość:

„Lidia nadaje się na zastępstwo średnio, ale lepiej niż ktokolwiek, kogo znam.  
To jedyne wyjście, Julianie. Powodzenia.”

Zbyt długo czekano kiedyś na Czerwoną Iskrę, zastanawiając się, co ją spotkało, pielęgnując nadzieję na jej powrót. Niech tym razem wszystko zostanie szybko ucięte, a następca od razu wyznaczony. Nie chciała skazywać Juliana na niepewność i dni pełne wyczekiwania na wiadomość, podczas gdy magia chroniąca króla i zamek będzie słabnąć.



Wymkniecie się z Wawelu tak, by nie zostać dostrzeżoną, nie było dla Sary trudne. Stojąc pod murami po raz ostatni sięgnęła do aury zamku, skontrolowała wszystkie osłony, chłonęła otaczającą królewską siedzibę magię. Starła się nie myśleć za wiele, skupić wyłącznie na chwili obecnej. Aura Wawelu zdawała się jej tej nocy pełna dziwnego wyczekiwania. Być może z powodu zgromadzonych w środku ludzi, oczekujących na przyjście Nowego Roku i wszystkiego, co ten ze sobą przyniesie.

Poza Krakowem od dawna już czuła się trochę słabsza, trochę bardziej zagubiona. Tu znała każdą ulicę, każdy tramwaj, tu nigdy nie była sama, tu zawsze było gdzie sięgnąć po dodatkowe źródło mocy. Wiedziała, że z początku poza stolicą będzie jej trudno nie tylko nawyknąć od nowa do życia w drodze, ale też do pewnych ograniczeń związanych z magią. Już teraz, gdy oddalała się od zamku, mogłaby przysiąc, że zaczyna słabnąć, chociaż może to była tylko jej własna wyobraźnia. Nie przesadza się starych drzew, głosiło ludowe przysłowie, a ona w tej chwili czuła się bardzo stara i bardzo zmęczona: ale to nic, to zmęczenie tkwiło w głowie, nie w ciele, szła więc po prostu naprzód. Zabrać jeszcze kilka rzeczy z mieszkania, które nie będzie już należało do niej, odwiedzić jedną osobę, bo złożyła obietnicę, zawsze zaś dotrzymywała przyrzeczeń, nawet tych, których żałowała, a potem wraz z Nowym Rokiem ruszyć dalej. Nie wiedziała jeszcze dokąd, ale to nie miało żadnego znaczenia.

Miała swoją magię i nie potrzebowała niczego więcej. Przynajmniej próbowała sama siebie o tym przekonać.

Kraków nie spał tej nocy, nie spała cała Polonia, cały świat. Co jakiś czas na niebie rozbłyskiwały petardy, wystrzelone zbyt wcześnie przez zniecierpliwionych świętujących, raz czy dwa czerń rozjaśniły magiczne ognie. Grupki podchmielonej młodzieży włóczyły się po mieście, z niektórych mieszkań dobiegały dźwięki głośnej muzyki, na Rynku trwała w najlepsze zabawa. Panujący tam gwar, aura podniecenia, zabawy, omal nie ściągnęły jej w tamtą stronę, ale zmusiła się do zmienienia kierunku. Zwlekanie mogło tylko wszystko utrudnić, a ona nie mogła ufać ani swojej magii, ani miastu pełnemu duchów.

Pod wcześniej wyszukanym adresem w najlepsze imprezowało przynajmniej ze trzydzieści osób, z których połowa już nie bardzo nadawała się do czegokolwiek, choć do północy zostało jeszcze trochę czasu. Sara nie musiała używać magii, by

dostać się do środka – drzwi były otwarte, nikt nie zwracał na nią uwagi, choć nie zdjęła nawet kurtki, a chusta skrywała większą część twarzy.

A gdyby to był człowiek? Co wtedy byś zrobiła?

Głos Wiele Pieśni rozbrzmiał gdzieś w jej pamięci.

Od łapania ludzi mamy policję.

Rzadko polowała na ludzi. Jeśli już, to zwykle byli to czarodzieje, którzy pozwolili sobie na zbyt wiele – ale w Krakowie nieczęsto dochodziło do takich przypadków i zazwyczaj chodziło o drobne sprawy. Za drobne, aby Pierwsza Czarownica musiała się nimi kłopotać osobiście. Wbrew pozorom, szaleni magiczni, pragnący władzy nad światem bądź mocy równej bogom, nie pojawiali się jak grzyby po deszczu i większość z nich dość szybko robiła krzywdę sama sobie.

To nie była jej sprawa. Nie powinna tu być. Nie powinna się tym zajmować – ale głupio i impulsywnie złożyła obietnicę, nie myśląc nad tym za wiele, a słowa tych, którzy władali pewnymi rodzajami magii, umiały ciążyć niczym ołów.

Ale gdyby wpadł mi w ręce, zabiłabym go i podpaliła ciało, bo Julian już zbyt wiele pieniędzy z podatków przeznaczają na utrzymanie więzień, a wyroki sądów są śmieszne.

Z drugiej strony, miała na sumieniu parę ludzkich żywotów, a Paweł Toras nie różnił się bardzo od inkuba, który kiedyś wypijał życie śmiertelniczek. Właściwie niczym, poza jednym: Sara nie powinna mieć prawa do decydowania o jego życiu i śmierci. Nikt jej go nie dał. Czarnoksiężnicy, demony, ludzie oddający cześć dawnym bogom, nastający na spokój miasta – to ich obejmowały kompetencje Pierwszej Czarownicy.

Paweł, były chłopak tragicznie zmarłej Aliny Sadowskiej, należał do tych z gości, którzy byli już kompletnie pijani. Gdyby Sara mogła uchodzić za pozytywną bohaterkę, zapewne zawlekłaby go na policję, by nie narażać na szwank własnej duszy, nie stać się podobną swoim ofiarom. Ale w tej historii nie była dobrą wróżką ani księżniczką o czystym sercu – była czarownicą, dziewczyną pogranicza.

Wystarczyło tylko trochę magii, poruszenie powietrza w płucach. Zabijanie nie powinno być aż tak proste. Upity i chyba upalony mężczyzna nigdy nie odzyska przytomności, a nikt nie sprowadzi specjalnie dla niego najpotężniejszych czarodziei, by szukali jakichś śladów. Nikt z bawiących się w mieszkaniu ludzi

nawet niczego nie zauważył: gospodarz dalej tkwił w fotelu, głowa opadła mu na ramię. Może zauważą, że coś jest nie tak, gdy wybije północ, może dopiero nad ranem. Tragiczna, przypadkowa, niesprawiedliwa śmierć – ale życie nie jest sprawiedliwe.

Sara wyszła z mieszkania, sama czując się trochę jak duch, nieobecna tak naprawdę pomiędzy otaczającymi ją osobami.

– Jednak dotrzymałaś obietnicy.

Alka siedziała na murku przed blokiem. Sine ślady wyraźnie odznaczały się na szyi i ramionach. Sara zatrzymała się, zadzierając głowę. Obecność dziewczyny z jakiegoś powodu nie wydała się jej ani trochę zaskakująca, chociaż wcześniej zdawało się, że duch Alki jest związany z miejscem, w którym zginęła.

– Zawsze dotrzymuję obietnic.

– Wszystkich? – Pięta miarowo uderzała o murek, nie wydając żadnego dźwięku.

– Wszystkich. Dlatego rzadko je składam.

– Życzenia, obietnice, umowy. Nawet ja znam te bajki. Kto by pomyślał, że naprawdę mają tyle wspólnego z magią?

– Może dlatego, że wszystkie baśnie są prawdziwe. Co tutaj robisz, Alka?

Dziewczyna zadarła głowę, przez chwilę przypatrywała się niebu.

– Nie widać gwiazd – mruknęła z żalem. – Nie wiem. Coś mnie przyciągnęło. Może baśnie są prawdziwe, ale już nie „długo i szczęśliwie”.

– To fakt – przytaknęła Sara, poprawiając na ramieniu plecak. – Muszę iść.

Odwróciła się, szybkim krokiem kierując się w stronę głównej ulicy. O tej porze w ostatni dzień roku złapanie autobusu było niemal niemożliwe, większą część drogi musiała pokonać na piechotę. Pojawienie się Alki sprawiło, że czarownica co jakiś czas rozglądała się na boki, odruchowo poszukując jakichś nieprawidłowości, rozważając, czy to może być kolejny sen. Raz czy dwa zdało się jej, że dostrzeża duchy i wtedy w głowie Sary raz za razem rozbrzmiewał głos radiowego spikera: „...duchy, w ostatnim czasie coraz częściej wzbudzające panikę w mieszkańcach Krakowa, ściągnęły gromadnie w miejsce jej śmierci!”.

Ktoś spłonął w pożarze, ktoś został porwany przez duchy, ktoś przeszedł na drugą stronę lustra. Ofiara latająca powstała wyrwę. Nie, Sara nie miała zamiaru nią być. Mogła walczyć, nawet wtedy, gdy sprawa była pozornie przegrana, gdy szanse pozostawały niewielkie – ale nie była tą bohaterką, która poświęcała

własne życie dla innych. Odruchowo przyspieszyła kroku, dręczona nieprzyjemnym przeczuciem, że mogła wstrzymać się z opuszczeniem Wawelu do rana.

Latarnia zgasła. Cienie zaczęły ściągać w jedno miejsce. Sara zatrzymała się, gromadząc energię, przez chwilę niepewna, czy znów z chodnika nie powstanie demon bądź nie wyskoczy na nią ogromny wilk – ale kształtująca się sylwetka była znajoma i mało niebezpieczna. Wiele Pieśni. Tylko jeszcze jeden cień miasta. Mimo to czarownica żałowała, że nie ma ze sobą sztyletu nasyconego magią i krwią tak mocno, że mógł zabić niemal wszystko. Nie mogła pozbawić Krakowa tej ochrony i spoczywał teraz ukryty w podziemiach Wawelu, a ona czuła się trochę tak, jakby pozbawiono ją ręki.

– Nie możesz tak po prostu odejść.

– Nie? – zdziwiła się Sara. – No to patrz.

Zdażyła przejść kilka kroków, zanim cień przesunął się po ścianie, padł na chodnik tuż przed nią i ponownie uformował się w kobiecą sylwetkę, owiniętą chustami i szalami tak, że było widać tylko jej oczy. Czarownica musiała zatrzymać się gwałtownie, by nie wpaść prosto na Wiele Pieśni.

– Miasto...

– Miasto będzie musiało poradzić sobie beze mnie! Niech Lidia szuka sposobów na jego ochronę. Poważnie, wszyscy oczekujecie, że grzecznie zgodzę się zostać męczennicą? Nie jestem...

Urwała. Kim właściwie?

– Aż tak naiwna – dokończyła w końcu kulawo. To pewnie byłoby bardzo szlachetne, to było to, co należało zrobić, ale też nie każdy miał ochotę ot tak rozstawać się z życiem. Poprawiła plecak na ramieniu, dłoń zanurzyła w kieszeni kurtki, poszukując zapalniczki. Odrobina światła mogła jeśli nie przegonić Wiele Pieśni na dobre, to przynajmniej trochę ją zniechęcić. – Mam dosyć. Po prostu zostawcie mnie w spokoju.

– Miałaś to zatrzymać – jęknęła żałośnie Wiele Pieśni. Brzmiało to niemal jak dziecięca skarga.

– Jeśli chciałaś, żebym coś zrobiła, trzeba było podzielić się swoją wiedzą – skwitowała Sara, obracając zapalniczkę pomiędzy palcami. – Półśłówka, drobne wskazówki. Wybacz, nie jestem dobra w zagadkach. Może kolejnym pójdzie lepiej.

– Tylko szepty zasłyszane w ciemnościach. Myślisz, że wiedziałam wiele więcej? Moje oczy nie dostrzegają tego, co ci towarzyszy, ilekroć przychodziłam, nie chciałaś słuchać. Zawsze nieufna. Zawsze zapatrzona w siebie. Zawsze wszystko wiedząca najlepiej, mała Sanika, nie ufająca ludziom i bogom.

Huk wystrzelonej petardy. Pijackie śmiechy gdzieś na balkonie. Drażniący uszy sygnał karetki, która mogła śpiewać dla Pawła. Dalekie dźwięki muzyki, chłodna powierzchnia zapalniczki pod palcami, obłok pary ulatającej z ust. Nocne, zachmurzone niebo. Nic specjalnego, drobiazgi, elementy życia. I – o bogowie

– tak bardzo kochała żyć. Nawet jeśli duchy przenikały na tę stronę po to, by zabrać ją ze sobą, nie zamierzała po prostu się poddać.

– *Some of them want to abuse you. Some of them want to be abused* – zanuciła cicho Sara za muzyką słyszalną z jednego z mieszkań. Mała Sanika, nie ufająca ludziom i bogom. Tak wielu chciało ją wykorzystać. Prawie tylu, ilu w pewnym sensie wykorzystwała sama. – Znajdź kogoś innego. Do składania ofiar czy ochrony miasta.

Pstryknięcie. Magiczny blask rozpalony przez zapalniczkę sprawił, że Wiele Pieśni rzuciła się do tyłu. Światło raniło ją i do pewnego stopnia pozostawało to dla Sary fascynujące. Teraz jednak chodziło wyłącznie o usunięcie z drogi niewygodnej przeszkody. Czarownica ruszyła dalej, podtrzymując płomień własną energią. Wciąż wyczuwała obecność Wiele Pieśni, gdzieś na samej granicy światła, uparcie idącej za nią.

– Zesłaś ze ścieżki.

Chłopiec stał na chodniku, zadzierając głowę, żeby na nią spojrzeć. W jednej chwili nieobecny, w następnej stojący na jej drodze. Nie jawił się już Sarze jako nieszkodliwe (choć martwe) dziecko. Był czymś obcym i niebezpiecznym, przybyszem z drugiej strony. Pojawił się, gdy umierała na śniegu, po tym, jak zaatakował ją wilk, gdy śniła koszmary i kiedy jakaś obca moc zawładnęła zupełnie zwykłym tramwajem. Teraz niektóre ze słów, jakie wypowiedział, nabierały nowego znaczenia, a opowieści o czarnoksiężniku nie miałyby prawa znać przeciętne dziecko.

– Tak naprawdę nie obchodzi mnie, kim jesteś – stwierdziła, znów boleśnie odczuwając brak sztyletu, który ukryła na Wawelu. Nie była pewna, czy ostrze zdołałoby zranić istotę niematerialną, ale istniała taka możliwość. Zapalniczkę

wrzuciła do kieszeni: wolała mieć wolne ręce. – Odchodzę. Zostawcie mnie w spokoju.

– To nie takie proste, wiédźmo – odparł chłopiec poważnie. . Kim jest wiédźma? – Powinnaś była umrzeć w tamtym parku. Jeśli nie za pierwszym, to za drugim razem. W wymykaniu się śmierci jesteś naprawdę niesamowita.

Raz. Ciemność zabierająca Klausa, usiłująca pochłonąć także ją. Dwa. Ból i krew plamiąca śnieg. Raz, dwa, trzy, wiédźmo. Do trzech razy sztuka. Pewnego dnia opuści cię szczęście.

– Trening czyni mistrza – skwitowała, siłąc się na beztroski ton. Zrobiła krok w tył, mając zamiar po prostu odejść, gdy gdzieś za sobą usłyszała ciche warknięcie. Zamarła. Wiedziała, co zobaczy, jeszcze nim spojrzała za siebie: kształt wilka z jej snów, który ścigał ją potem też na jawie. Chłopiec i jego bestia.

Odskoczyła gwałtownie – plecak padł na ziemię, zerwał się wiatr. W głowie Sary szumiało, serce szaleńczo tłukło się w piersi. Tym razem nie było po co umykać – i nie miałyby dokąd, i nie chciała rzucać się do szaleńczej ucieczki po raz kolejny. Atak, którego oczekiwała, jednak nie nastąpił. Przypatrywali się jej po prostu obaj: chłopiec i wilk cienia. A może tylko chłopiec – potwór nie miał czegoś takiego jak oczy.

Nie wyczuwała od nich magii. Nie czuła też aury miasta. Nicość. Całkowity brak bodźców, które mógłby odebrać ten szósty zmysł, pozwalający niektórym na wyczuwanie mocy. Nie należeli do tego świata. Byli nicością. Ich obecność pozostawała niemożliwa do odnotowania przez czarodziei czy czarownice, tak jak nie dało się wyczuć Krystiana podróżującego w niematerialnego formie.

I może dlatego nie atakują – uświadomiła sobie Sara po sekundach, a może minutach oczekiwania na starcie, gdy wiatr szalał wokół niej, nie dotykając chłopca i wilka. Były koszmary, strzał w parku, szalejąca sygnalizacja świetlna i auto nadjeżdżające w odpowiednim momencie. Aleksandra chcąc dostać jej serce, słaby, ale dziwnie sprytny demon, Roman udowadniający, że oszalała. Głosy w telefonie, audycja w radiu. Pędzący tramwaj. Wilk ścigał ją przez miasto, ale nie uczynił przecież krzywdy, za to omal nie sprawił, że w panice sama sobie ją zrobiła. Mogła wpaść pod koła auta, użyć zbyt wiele mocy. Demony atakujące w pobliżu parku – i dopiero w nim samym nadciągająca dziwna ciemność.

Nie należeli do tego świata. Nie było ich tu. Mogli szeptać, pewnie nie tylko do niej, zsyłać sny, nakłaniać do określonych zachowań, ingerować w drobnym

zakresie, otwierać ścieżkę, ale pozostawali niezdolni do zabicia jej bezpośrednio: przynajmniej jeszcze teraz. Ta konkluzja nie sprawiła jednak, że Sara się rozluźniła. Mogła nie mieć racji, a pomyłka drogo by ją kosztowała.

– Odchodzę – powtórzyła cicho. Gardło miała wyschnięte, trudno było wypowiedzieć nawet jedno słowo.

– Pójdę za tobą – zadeklarował po prostu chłopiec. – Będę iść twoim tropem i szeptać w twoich snach.

– Przywykłam do koszmarów – syknęła, nie spuszczać oczu z wilka. Nie, ta możliwość wcale się jej nie podobała, ale też Sara nie wierzyła, że nie ma żadnego sposobu, by zmylić ten trop, by pozbyć się tej istoty. Zawsze było jakieś wyjście. A jeśli nie, należało je sobie stworzyć, wybić nowe drzwi w ścianie.

– Kto tu jest? – Głos Wiele Pieśni dobiegł gdzieś z ciemności. Po raz pierwszy Sarze wydało się, że słyszy w nim nutę niepokoju. *Jest przy tobie coś, czego nie potrafię zobaczyć.* Czarownica na nią nie spojrzała, ale chłopiec zwrócił oczy ku Wiele Pieśni, kąciki ust mu drgnęły.

– Spójrz na nią, moja mała wiedźmo – powiedział, ostatnie słowa wypowiadając niemalże pieszczotliwym tonem. Sara zacisnęła mocno szczęki: nie podobał się jej ani ten ton, ani określenie. – Czy boisz się śmierci aż tak bardzo, że chciałabyś się stać taka, jak ona? Żałosna kreatura, nie żyjąca naprawdę, jeden z cieni miasta. A może umkniesz na drugą stronę lustra? Naprawdę chcesz uciekać przez całe życie?

Niemalże odruchowo odwróciła głowę, by faktycznie spojrzeć na Wiele Pieśni, choć było to postępowanie wyjątkowo nierozważne. Zawsze brała ją za jedną z tych dziwnych istot magicznych, powstających czasem w miastach, nowy rodzaj stworzeń ze starych legend. Może coś starszego, co dostosowało się do zmiany warunków. Wiele Pieśni, od ładnych paru lat śledząca Sarę gdzieś pomiędzy cieni. Wiele Pieśni, dobrze znająca miasto, zbierająca historie. Wiele Pieśni, która dużo słyszała, dużo wiedziała.

Chciałabyś stać się taka, jak ona?

A może umkniesz na drugą stronę lustra?

– Saro?

– Powiedz mi, pieśniarko... – wymruczała Sara. – Powiedz mi, czy byłaś kiedyś człowiekiem? Kobieta, która próbowała zrobić coś, czego nie powinna i to ją przemieniło?

Odpowiedź nie padała. Może to zupełnie nic nie znaczyło. Może czarownica się myliła, może chłopiec kłamał. Sara jednak nie zawsze kierowała się twardą logiką, a teraz jej nerwy i tak były mocno nadszarpnięte. Złość, jaką odczuwała, błyskawicznie zmieniała się w ślepy szał. Skoczyła w ciemność, zapominając na chwilę o wilku i duchu, wpadła prosto na Wiele Pieśni, zwalając ją z nóg. Nim zdążyła wymierzyć cios, istota zdematerializowała się i Sara padła na chodnik, omal nie rozbijając sobie nosa.

– Przestań!

Okrzyk nie mógł jej powstrzymać. Nie, nie zamierzała przestać. Prawdę mówiąc dopiero zaczynała. Czarownica odepchnęła się od ziemi, posyłając strumień nieukształtowanej energii ku tworzącej się dopiero sylwetce Wiele Pieśni, ta jednak po prostu znów zmieniała się w strzępy ciemności. Materialna tylko wtedy, gdy chciała, nieuchwytna niczym cień pośród cieni.

– Nie jestem twoim wrogiem.

Tym razem pojawiła się z tyłu, próbując pochwycić Sarę w zadziwiająco mocny uścisk. Łokieć czarownicy trafił w brzuch, powietrze wokół zgęstniało, ale Wiele Pieśni po raz wtóry rozpląnęła się pośród mroku, niewrażliwa na ciosy i magię.

– Ty pierdolona suko! Przywołałaś Klause! I nie jesteś moim wrogiem?!

Czarownica dopadła najbliższej latarni, karmiąc ją energią, przeciwstawiając swoją magię mocy Wiele Pieśni, zmuszając lampę do ponownego zabłyśnięcia. Kobieta, stwór, Kalina, jej cień, cofnęła się, osłaniając oczy, usiłując umknąć przed blaskiem. Być może sztylet byłby bronią przeciwko niej, ale Sara już go nie miała – lecz wciąż Wiele Pieśni miała jedną słabość, coś czego nie mogła znieść. Światło. Sara żałowała, ten jeden, jedyne raz żałowała, że nie posiada magii Lidii – ona umiałaby wyczarować blask z niczego, rozjaśnić ciemną uliczkę w pobliżu osiedla w jednej chwili. Czarownica mogła skorzystać z poświęty księżyca – ale ten skrywał się za chmurami. Mogła używać neonowego blasku miasta, lecz Wiele Pieśni wygaszała elektryczne światła i tu Sara musiała na każdym kroku walczyć z jej mocą.

– Stanisław umierał!

Słowa nawet nie dotarły do Sary. Puściła je mimo uszu, rozniecając kolejną latarnię, bo istota już niemal opuściła jasny krąg. Nie rozpoznała imienia ojca Juliana, a nawet gdyby, nic by to nie zmieniło: umierał i umarł, po walce z



chorobą, którą nawet najpotężniejsza magia mogła tylko zahamować. Tak to już zdarzało się śmiertelnikom.

Nigdzie nie było już widać chłopca ani wilka. A może tylko Sara nie potrafiła w tym momencie ich zobaczyć, wszystkie myśli, cały swój gniew skupiwszy na Wiele Pieśni. W jednej chwili zepchnęła na nią całą winę, i nie chciała słyszeć o powodach, o skutkach, o tym, że może to wszystko nie do końca tak, i że nigdy winy nie ponosi tylko jedna osoba. Za ciemność, która nadciągnęła nad miasto, za krew na śniegu, za strach przed niewidzialnym wrogiem i szaleństwem. Za Klause. Za pułapkę, w jaką została schwytana.

Spróbowała cisnąć przeciwniczką o ziemię, ale wiatr tylko potargał czarne chusty, gdy Wiele Pieśni odczołgiwała się od światła. Ta magia nie chciała się jej imać. Nie szkodzi. Sara skoczyła, długim, nieludzkim susem i zacisnęła dłonie na ramionach Wiele Pieśni. Po palcach czarownicy przeskakiwały iskierki nieopanowanej magii, gdy wlokła istotę tam, gdzie było jaśniej, tam, gdzie nie mogła rozplątać się w ciemności. Ta chyba wreszcie zrozumiała, że czarownica nie zamierza rozmawiać. Szarpnęła się, ciało na moment utraciło na materialności, wyzwalając się z uścisku. Obróciła się, jedną ręką chwytając przegub Sary, drugą usiłując sięgnąć gardła, ale czarownica gwałtownie pochyliła się, uderzając głową w nos Wiele Pieśni. Ta walczyła na ślepo, mocno zaciskając powieki – jej oczy nie potrafiły znieść światła latarni. Sara zaś nacierała, z furią wymierzając kolejne ciosy, nie dbając o to, że zdają się nie wyrządzać większej krzywdy. Wiele Pieśni nie była już w pełni istotą z krwi i kości. Nie czuła bólu w normalny sposób, nie odnosiła obrażeń jak ludzie. Fragmenty jej ciała wciąż traciły materialność pod dłońmi czarownicy. Najbliższe latarnie mrugały, a gdy na moment przygasły, Wiele Pieśni znów stała się nieuchwytnym cieniem i prześlizgnęła się na plecy Sary. Dłonie nacisnęły na głowę czarownicy, wciskając twarz w śnieg, uniemożliwiając zaczerpnięcie powietrza. Magia, która wcześniej nie mogła zatrzymać istoty, teraz poderwała samą Sarę, z ucepioną jej pleców Wiele Pieśni, po czym obie uderzyły o latarnię. Wiele Pieśni rozpadła się na dziesiątki strzępów ciemności, a czarownica osunęła na ziemię, walcząc z zamroczeniem. Wstając, podparła się o latarnię, jednocześnie próbując zniwelować moc, która ją zgasiła. Blask na nowo rozproszył ciemności, warstwa lodu zaczęła sunąć po ziemi, sięgając ku zmuszonej ponownie do materializacji Wiele Pieśni. To nie

wystarczyło, bo choć nie mogła w pełni zniknąć, kontury jej ciała wciąż się rozmywały, magia nie mogła na dobre zamrozić istoty.

Ściana lodu zaczęła rosnąć przed Wiele Pieśni, zatrzymując ją w kręgu światła, a Sara znów się na nią rzuciła, w ślepej furii gotowa próbować zabić *to coś* gołymi rękami. Ktoś gdzieś krzyknął. Może dostrzeżono dwie walczące kobiety? Ale to nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Wiele Pieśni zwiotczała, a latarnia zaczęła mrugać, jakby zaraz miała zgasnąć. Sara też znieruchomiała i obie przez chwilę skupiały się na jednym, walce o tę drobinę światła. W ciemności czarownica nie miałaby żadnych szans: a jedna z nich musiała tu zginąć – albo ta, która wszystko zaczęła i pierwsza uchyliła drzwi, albo ta, która czystym przypadkiem doprowadziła to do końca. Z nosa Sary popłynęła krew, szum w głowie narastał. Latarnia przygasła.

A księżyc wyjrzał na moment zza chmur.

Nie był w pełni. Niebo pozostawało zachmurzone, zaraz miał znów się skryć. Ale czarownicy to wystarczyło, przynajmniej na chwilę. Sięgnęła po blask, kierując go prosto na Wiele Pieśni. Śnieg wokół nich srebrzył się w świetle księżyca, skóra Sary, przygniatającej istotę do ziemi własnym ciałem, też zdawała się jarzyć.

– Niech się stanie światłość! – warknęła Sara. Latarnie rozbłysły. Najbliższa część bloku, którego okna przed chwilą tonęły w ciemności, odzyskała prąd. Oczy Wiele Pieśni krwawiły, gdy bezradnie szarpała się w uścisku czarownicy, spod której palców sączył się księżycowy blask. Nie była istotą potężną w walce – wiele widziała, wiele słyszała, ale tak naprawdę niewiele mogła. Tylko zniknąć i się pojawiać. Tylko szeptać. Z potęgi, jaką dysponowała kiedyś, jako człowiek, nic nie pozostało. Nie stała się taka, jak Klaus. Zyskała nieśmiertelność, utraciła wszystko inne. – Było warto?!

– Nie – wyksztusiła Wiele Pieśni. Na cokolwiek liczyła Kalina Czerwona Iskra, gdy zaczęła eksperymentować tak, jak niegdyś Twardowski, gdy próbowała naruszyć granice pomiędzy światami, nie otrzymała tego, czego pragnęła.

– Chcecie kogoś, kto zakłócił tę waszą przeklętą równowagę?! Proszę bardzo! Daję wam ją! – krzyknęła czarownica, sama niepewna, do kogo konkretnie adresuje te słowa. Wilka już nigdzie nie było. Być może wokół zrobiło się dla niego za jasno bądź przestał być potrzebny. Chłopiec jednak podszedł bliżej. Sara, przytrzymująca pojękującą Wiele Pieśni, widziała tylko jego buty.

– Myślisz, że to takie proste?

– To nigdy nie jest proste.

Księżyc znów skrył się za chmurami, latarnie zamrugały, sylwetka Wiele Pieśni jakby zadrgała. Sara gwałtownym ruchem wyciągnęła z kieszeni zapalniczkę, pstryknęła, magiczne światła zaślnęły. Istota znieruchomiła. Dźwięk, który wydobył się spod szali, przypominał trochę szloch.

– Widzisz, może to zaczęła, ale nie zrobiła wszystkiego i już nie jest człowiekiem. Nie jest Pierwszą.

– Była nią – syknęła Sara. – Dalej jest związana z miastem. Zresztą, chrząć się.

Przypatrywała się twarzy Kaliny. Nie Kaliny, lecz tego, co z niej zostało. Ale widziała tylko zaciśnięte powieki, spod których sączyła się krew. Wiele Pieśni nie miała już siły walczyć i Sara szarpnęła za chusty, usiłując je zedrzyć, odsłonić ciało, skórę. Przyszło jej to z niespodziewanym trudem, dopiero po chwili zdołała odciągnąć kawałek materiału, a palce czarownicy naznaczyła krew, trochę bardziej lepka i ciemna niż u człowieka. To już pod żadnym względem nie była Czerwona Iskra i to z jednej strony wszystko trochę ułatwiało, z drugiej tylko potęgowało gniew.

– Sanika – wyszeptała z trudem Wiele Pieśni, ale choć słowo było znajome, to nawet głos nie przypominał już głosu Kaliny. Gdyby Sara nie nienawidziła jej w tym momencie tak bardzo, zabiłaby ją tylko z litości, tylko dlatego, że nie wierzyła i nie chciała wierzyć, że Kalina wybrałaby taki los dobrowolnie – coś zmieniło czarodziejkę za bardzo albo nie pozwalało jej na śmierć. A może było coś, co trzymało ją przy życiu, jakiś powód, by wieść dalej tę żalną egzystencję? Czarownica jednak nie chciała go znać. – Ja nie...

Przytknęła zapalniczkę do zakrwawionej chusty, łącząc magię z magią. Jasny płomień zaczął pochłaniać materiał, tak, jak już nieraz pochłaniał trupy magicznych istot, jak pożarł serce inkuba. Rozprzestrzeniał się szybko, nie dotykając jednak ciała czarownicy. Blask nasilał się, Sara przymknęła oczy – i klęczała sama na trawniku, a wiatr zabierał błękitny pył. Duch stał obok, chichocząc cicho.

– Wilkowi spodobała się ta ofiara – powiedział w końcu, kucając przy niej. Chwycił rękę czarownicy, zbyt otępiełej i zmęczonej, żeby wyrwać dłoń. Dotyk, o dziwo, był materialny i ciepły. – Drugi raz Pierwszy się wymyka, naginając

reguły. Ale wiesz? Żadne z was nie uciekło tak naprawdę. Mylisz się, jeśli myślisz, że to skończone. Że po prostu odejdę.

Pociągnął jej rękę do góry. Przez ułamek sekundy mogłaby przysiąc, że przebiegł po niej pająk, ale trwała przecież zima i to musiało być złudzenie.

– Moja mała wiedźmo – wyszeptał chłopiec, rozplývając się powoli w powietrzu. – Żadna z was, nawet najgorsze z najgorszych, żadna, nie urodziła się złą, mroczną wiedźmą. Nawet twoja matka kiedyś była księżniczką o łagodnym uśmiechu. A ty właśnie złożyłaś nam ofiarę.

Gdzieś z pobliskich bloków dobiegły pokrzykiwania. Nie nerwowe, pełne przestachu – tylko hałas czyniony przez świętujących ludzi, wylegających przed budynki i na balkony. Fajerwerki, wcześniej wybuchające sporadycznie, zaczęły rozjaśniać niebo. Sara klęczała na śniegu, zadzierając głowę i przypatrując się sztucznym ogniom. Gniew odszedł, pozostawiając zmęczenie i otępienie. Z nosa ciekła jej krew.

Żyła.

Miasto świętowało.

Zaczynał się Nowy Rok.

















Wiedźma Jego Królewskiej Mości  
Copyright © Magdalena Kubasiewicz  
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn  
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.  
Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017 r.  
druk ISBN 978-83-7995-114-7  
epub ISBN 978-83-7995-115-4 mobi ISBN 978-83-7995-116-1  
Redakcja: Dawid Wiktorski  
Korekta: Katarzyna Dug  
Ilustracja na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn  
Projekt okładki: Paweł Dobkowski  
Konwersja ebooka: Marcin A. Dobkowski | [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)  
Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)

[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach: [www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl) [www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)





## Idź i czekaj mrozów MARTA KRAJEWSKA

W świecie, gdzie puszcza włada leszy, w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród chat przemykają zmory i strzygonie, młodziutka Venda musi stanąć na straży bezpieczeństwa mieszkańców Wilczej Doliny. Przyjdzie jej mierzyć się nie tylko z bogami czy stworzeniami nocy, ale znacznie groźniejszymi przeciwnikami: samotnością, strachem i zwątpieniem.

Na oczach Vendy wypełnia się starożytne proroctwo. Do Wilczej Doliny powraca DaWern – ostatni z Wilkarów. Zemsta Pana Lasów za rzeź jego dzieci wydaje się nieunikniona. Czy zakazana miłość stanie na drodze przeznaczeniu, czy też pozwoli wypełnić przerażającą przepowiednię? Jak potoczą się losy zakochanego w zielarce syna karczmarza, pięknej minstrelki Stalki, towarzyszącego jej wojownika i innych mieszkańców wioski, z których każdy skrywa swoje tajemnice?

*„Stare opowieści krążą między nami, a my żyjemy między nimi. Podążałem znajomymi tropami, gubiłem się w nich i dawałem oplatać pełnej grozy magii, w którą schwytała mnie autorka.”* – **Paweł Majka**, autor „Pokoju światów” i „Wojen Przestrzeni”, dwukrotny zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego

**PIERWSZY TOM OPowieści z Wilczej Doliny**



## ZASZYJ OCZY WILKOM MARTA KRAJEWSKA

Podczas każdej pełni księżyca mieszkańcy Wilczej Doliny ryglują drzwi w chatach i siedzą w ciszy, nasłuchując z niepokojem wycia wilkołaka. Pochłonięta własnymi kłopotami Venda nie potrafi w pełni poświęcić się obowiązkom Opiekunki. Nikt nie wie, jak wygórowaną cenę zapłaciła dziewczyna za pomoc otrzymaną od Pana Lasu i jak długo jeszcze będzie jego dłużniczką.

Atra, niepomna ostrzeżeń, pragnie nie tylko odzyskać to, co utraciła, ale również zemścić się. W trakcie swoich poszukiwań odkrywa, że być może ostatni z wilkarów będzie w stanie jej pomóc. Czy jednak jej starania nie doprowadzą do jeszcze większych nieszczęść? Więź łącząca Vendę i DaWerna nie może zostać zerwana bez straszliwych konsekwencji.

W świętym gaju bogowie milczą, a Venda czuje się opuszczona i bezsilna. Nad Wilczą Doliną zapada zmrok...

*„Nikt, tak jak Marta Krajewska, nie potrafi przedstawiać słowiańskiej fantazy poprzez lokalność z jej barwnymi obrzędami i rytuałami. „Zaszyj oczy wilkom” nie jest kolejną epicką opowieścią o zbiorowisku herosów albo jeszcze jedną wariacją na temat „Gry o Tron”. To oryginalna, swojska a przy tym tajemnicza fantazy.”* - **Paweł Majka**, autor „Pokoju światów” i „Wojen Przestrzeni”, dwukrotny zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego

DRUGI TOM OPowieści z WILCZEJ DOLINY



## NOC MIĘDZY TAM I TU MARTA KRAJEWSKA

Oto wzruszająca historia siedmioletniego Bratmiła. Pewnej letniej nocy samotnie wyrusza na poszukiwanie swojej siostrzyczki, małej Paprotki. W lesie spotka istoty ze słowiańskich baśni i legend, które pomogą mu odnaleźć nie tylko ją, ale przede wszystkim siebie.

Marta Krajewska z wdziękiem porusza trudny temat rywalizacji między rodzeństwem. Zaprasza dzieci i ich rodziców na wyprawę do spowitego słowiańską magią świata. Z wyprawy Tam Wasze pociechy wrócą Tu odmienione i bardziej kochające.

OPOWIEŚĆ Z WILCZEJ DOLINY





## KOMANDORIA 54 MARCIN A. GUZEK

Na rubieżach upadającego Imperium, w dowodzonej przez Olafa Komandorii 54, stacjonuje grupa nowicjuszy Zakonu Szarej Straży. Ten mały i niedoświadczony oddział ma za zadanie egzekwować prawo i zapewnić osadnikom bezpieczeństwo. Nie będzie to jednak proste.

Na pograniczu schronienia szukają adepci zakazanych sztuk, przestępcy i zbiegli niewolnicy. Granicę przekraczają dzikie plemiona, a w łupieżczych wyprawach towarzyszą im potężni szamani i nadprzyrodzone istoty. Imperium wystawia przeciwko nim nie grupę rycerzy w lśniących zbrojach, a niedoświadczonych rekrutów pod wodzą zgorzkniałego weterana. Czy to może się skończyć inaczej niż pożogą i zgliszczami, płaczem ocalałych i lamentem wziętych w niewolę?

*„Przyjemny mariaż historycznej wiedzy autora z fabularną lekkością, przyprawiony ostrymi żeleźcami toporów i świstem strzał. W sam raz by umilić deszczowe popołudnie.” - Jacek Łukawski, autor „Krew i stal” i „Grom i szkwał”*

PIERWSZY TOM SZARYCH PŁASZCZY

MARCIN A. GUZEK



KOMANDORIA 54  
SZARE PŁASZCZE

## CZAROWNICA ZNAD KAŁUŻY ARTUR OLCHOWY

Świat sprzed wojny, która zdziesiątkowała ludzkość, pamięta już tylko Koślawa – stara zielarka mieszkająca nieopodal mazurskiego Okartowa. Przeczuwając zbliżającą się śmierć, przyjmuje na ucznia syna miejscowego gospodarza, by przekazać mu całą swą wiedzę.

Tymczasem do wsi przybywa nowy wikariusz. Realizując swoją szczególną misję, burzy ustalony ład okartowskiej społeczności.

W walce o małą ojczyznę i jej mieszkańców Czarownicy przyjdzie zmierzyć się nie tylko z bezwzględnymi i niekiedy szalonymi ludźmi, lecz także z własną starością, chorobą i sumieniem.

*„Przed wami niesamowita książka autora, którego naprawdę warto zapamiętać. Szczerze polecam!” - Robert J. Szmidt, autor „Samotności Anioła Zagłady”, „Łatwo być bogiem” i „Ucieczki z raję”*

*„Proza Olchowego to proza specyficzna. Jeśli szukacie literatury stricte rozrywkowej, to „Czarownica...” jak i inne produkcje Artura nie jest dla was. Rozrywkę tam bowiem znajdziecie, ale doprawioną przyprawami, które niekoniecznie zniesie co słabsza czytelnicza głowa.” - Marcin Podlewski, autor cyklu „Głębia”*

PIERWSZY TOM OPowieści ZNAD KAŁUŻY



## WYSPA MGIEŁ MARIA ZDYBSKA

Czasami dwie dusze łączy więź silniejsza niż śmierć.

Ona – przybrana córka pirata, uratowana z morskiej kipieli. W jej przeszłości ukryty jest klucz do potężnej mocy, która może przynieść wybawienie lub zgubę.

On – potężny mag, wyrzutek, arogant i sybaryta. Od lat poszukuje, choć sam nie wie, czego i dlaczego.

Kiedy jednak ich drogi się spotykają, przejmują nad nimi kontrolę siły potężniejsze od nich samych. Bogowie i demony, nieumarli i czarnoksiężnicy, zapomniana magia i stracone życia – droga do ich poznania zaczyna się na tajemniczej Wyspie Mgieł.

*„Wyspa Mgieł” to powieść young-adult fantasy przesiąknięta zapachem morza, pełna przygód, barwnych opisów i fantastycznych istot. Poznaj losy wyrzuconej przez morze Lirr i daj się oczarować tajemniczemu magowi o imieniu Raiden. – Melissa Darwood, autorka „Pryncypium”, „Larista” i „Luonto”*

PIERWSZY TOM KRUCZEGO SERCA



## SPRAWA KLARY B. ANNA KARNICKA

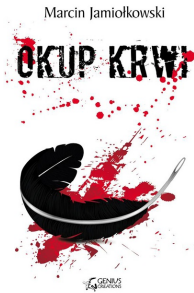
Dziewiętnastoletni Martin ponad wszystko pragnie pracować w teatrze lalkowym. Zaproszenie na egzamin wstępny do prestiżowej Praskiej Szkoły Lalkarzy wydaje mu się spełnieniem najgorętszych marzeń. Chłopak nie zdaje sobie jednak sprawy, że kiedy tylko osiągnie swój cel, Praga, jego rodzinne miasto, odkryje przed nim swoje mroczne i przerażające oblicze.

Spełnienie marzeń nie zawsze jest tym, czym się wydaje...

*„W książce Anny Karnickiej jest wszystko, co powinno znaleźć się w dobrej powieści. dla młodzieży – przygoda, zagadki, niebanalni bohaterowie. Jednocześnie autorka nie pozwala sobie na popadanie w schematy, a jej historia to nie cukierkowa opowiastka, w której wszyscy żyją długo i szczęśliwie.”* - **Magdalena**

**Kubasiewicz**, autorka „Spalić wiedźmę” i „Wiedźma Jego Królewskiej Mości”

PIERWSZY TOM PARADOKSU MARIONETKI



## OKUP KRWI MARCIN JAMIOŁKOWSKI

Herbert wiecie spokojne życie w jednej z podwarszawskich miejscowości, gdzie nikt nie zna jego mrocznej przeszłości. Nawet przed ukochaną kobietą skrzętnie skrywa kim jest naprawdę. Bycie skromnym krawcem z Podkowy Leśnej jest spełnieniem jego marzeń.

Przeszłość jednak nie pozwala o sobie zapomnieć. Melania zostaje uprowadzona i jej życie zależy tylko od tego czy Herbert zdąży na czas dostarczyć tajemniczą przesyłkę do Warszawy – miasta, od dawna pozbawionego magii, w którym moce Herberta nie działają.

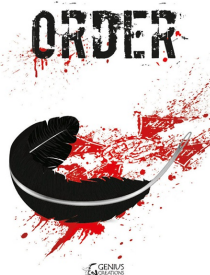
Pokonanie 30 kilometrów w kilka godzin nie wydaje się być wielkim wyzwaniem. Staje się nim jednak, kiedy jego tropem ruszają: magowie, wysłannicy tajemniczego Bractwa Miast, wyznawcy Bazyliuszka, najemnicy i policja. Przeszkody piętrzą się na każdym kroku i tylko poznani przypadkowo sojusznicy oraz niespodziewanie budząca się do życia magia stolicy dają szansę na ocalenie ukochanej.

Czasu jest coraz mniej.

Warszawa nie miała do tej pory swojego maga. Teraz już ma! Nazywa się Herbert Kruk.

PIERWSZY TOM PRZYGÓD HERBERTA KRUKA

Marcin Jamiołkowski



## ORDER MARCIN JAMIOŁKOWSKI

Magia powróciła do Warszawy, a wraz z nią nadciągnęły kłopoty – zaginął ważny dla bezpieczeństwa stolicy artefakt. Prowadzone konwencjonalnymi metodami śledztwo nie przynosi rezultatów, a więc czas na rozwiązania magiczne. Do pomocy zostaje zwerbowany Herbert Kruk.

Kto planuje wyrządzić krzywdę pozbawionej ochrony Warszawie i jej mieszkańcom? Jaką moc kryje w sobie Order, który miasto otrzymało kilkadziesiąt lat temu z rąk potężnego maga i dlaczego został skradziony?

„Coś się wydarzy” – mówią ogłoszenia w autobusach. Czy ponure przeczucia Herberta się sprawdzają? Jakie sekrety skrywają tajemnicze tunele, położone głęboko pod Warszawą?

Tropy prowadzą w różne miejsca, a czasu jest jak zwykle za mało.

*„Wpędzić maga w kłopoty to jedno, ale wpłatać tak ciekawie i zabawnie, jak to zrobił Marcin Jamiołkowski, to naprawdę wyższa szkoła jazdy. Dawno się tak świetnie nie bawiłem, czytając książkę polskiego autora. Dodatkowy plus za podejście do magii oraz legend. Naprawdę pomysłowa urban fantasy.”* - **Romuald Pawlak**, autor bestsellerowych powieści „Armia ślepców”, „Inne okręty” i „Rycerz bezkonny”

DRUGI TOM PRZYGÓD HERBERTA KRUKA



## BEZSENNI MARCIN JAMIOŁKOWSKI

W stolicy wybucha seria tajemniczych pożarów. W dziwny sposób łączą się one z niezwykle błękitnym płomieniem, który nawiedza sny młodej blogerki, wabiąc przypadkowe ofiary i paląc je na popiół. Ktoś... lub coś morduje Bezsennych, ulubieńców Złotej Kaczki, niepodzielnie władającej magiczną Warszawą.

Herbert Kruk jak zwykle ma szczęście – lub pecha – znaleźć się w samym centrum wydarzeń.

Czy mag wygra wyścig z czasem i zdoła ponownie ocalić stolicę? Jakie intrygi rozgrywają się na Dworze Złotej Pani? Czy agent rosyjskiego Archiwum X okaże się sojusznikiem, czy może śmiertelnym wrogiem? Jaką cenę trzeba będzie zapłacić za pomoc rusalki? I wreszcie – czy warszawski czarodziej zdoła uratować swoją matkę, od lat zamkniętą w magicznym kryształce?

*„Magiczna Warszawa pełna ognia, piękny i niebezpieczny dwór Złotej Pani, intryga, uroczy główny bohater, czyli Kruk po raz trzeci rzuca czar na czytelników. „Bezseni” w niczym nie ustępują poprzednim częściom cyklu.”* - **Magdalena Kubasiewicz**, autorka „Spalić wiedźmę”

TRZĘCI TOM PRZYGÓD HERBERTA KRUKA